



D·A·R·I·U·S·Z

DOMAGALSKI

CHEREM

WSTRZĄSNIE TWOJA OPINIA O CHRZEŚCIJANSTWIE



foto © Adam Rakowski

I NA N
NA ZABIO
CO
MEZCZY

D·A·R·I·U·S·Z

DOMAGALSKI



25.46

Wiking. Nie może żyć bez morza i wiatru. Urodzony w Gdyni, zamieszkały w Gdańsku. Nad stan berserka przedkłada jednak buddyjski spokój. Typowa zodiakalna Waga, dążąca do taoistycznej równowagi. Pasjonat historii, szczególnie okresu średniowiecza i starożytności.

Zwykształcenia tokarz, elektryk, elektronik, automatyk, specjalista do spraw marketingu i systemów zarządzania jakością. Rocznik 1972.

Pisał od dzieciństwa, jednak nie przypuszczał, że zadebiutuje jako scenarzysta komiksów o przygodach Jarla i jego hordu nieokrzesanych wikingów. Pierwsze publikowane opowiadania to humoreski o dzielnych marynarzach polskiej floty wojennej z ORP „Dzik”, drukowane w miesięczniku „Science Fiction Fantasy i Horror”. Ma na koncie również mini powieść z gatunku hard SF „Silentium Universi”.

Zpasji do historii zrodził się krzyżacki cykl powieściowy, obejmujący trzy pozycje: „Delikatne uderzenie pioruna”, „Aksamitny dotyk nocy” oraz „Gniewny pomruk burzy”, wydane przez wydawnictwo Fabryka Słów. Uzupełnieniem i rozszerzeniem serii jest zbiór opowiadań „I niechaj cisza wznieci wojnę”. Wydarzenia opisane w wymienionych książkach obejmują okres wielkiej wojny z zakonem krzyżackim (1409-1411), gdzie historia przyprawiona została elementami mistycyzmu.





D·A·R·I·U·S·Z
DOMAGALSKI
CHEREM



Lublin 2011

*„Wywróćcie ołtarze, połamiecie ich stele, aszery
ich ogniem spalicie, porąbiecie w kawałki posągi
ich bogów. Żniwczycie ich imię na tym miejscu.”*

BIBLIA; Księga Powtórzonego Prawa 12, 3



PROLOG

WRZESIEŃ 194 ROK N.E.

Świtało.

Niebo przybrało barwę krwistej czerwieni, będącej zwiastunem upalnego dnia, jak również bitwy, która miała rozstrzygnąć o losach cesarstwa. Wkrótce legiony rzymskie ruszą do bratobójczej walki, nie pierwszej w dziejach Imperium i zapewne nie ostatniej. Wszystko miało dokonać się w Issos, na granicy Cylicji i Syrii, gdzie góry Taurus schodzą ku równinie, która dalej spada stromo w kierunku Morza Śródziemnego. Ponad pięćset lat temu właśnie tutaj Aleksander Macedoński pokonał perskie zastępy Dariusza Kodomana. Jednakże teraz inna to była wojna i inni prowadzili ją wodzowie.

Cezar Septymiusz Sewer był postawnym mężczyzną o kręconych włosach i śniadym obliczu. Gładząc palcami bujną brodę, spoglądał na okryte mrokiem wzgórze, niecierpliwie czekając, aż promienie słońca rozświetlą stromy stok porośnięty sosną, jodłą i cedrem. Właśnie tam pomiędzy drzewami ukryły się wojska nieprzyjaciela, a on pragnął jak najszybciej rozbić armię uzurpatora

i zakończyć wojnę domową, by móc wreszcie powrócić do Rzymu.

Sewer był imperatorem zaledwie od roku, a już przyszło mu walczyć o władzę z Pescenniuszem Nigrem – człowiekiem, który we wschodnich prowincjach zdobył znaczne wpływy i posiadał oddane wojsko. Bił nawet własne monety, a w samym Rzymie cieszył się większą popularnością niż cesarz. Nie trzeba było długo czekać na przewrót. Syryjskie legiony ogłosiły Nigra imperatorem, a poparła je w tym ludność Antiochii. Z dnia na dzień do buntu przyłączały się kolejne prowincje, miasta i stacjonujące tam centurie. Sewer nie zamierzał czekać. Zebrał wojsko i wyruszył do Syrii ukarać uzurpatora.

Cesarz westchnął ciężko i poprawił na ramionach purpurowy płaszcz, z którym nie zamierzał się rozstać. Nagle zerwał się poranny wiatr niosący chłód z nad morza, ale wiadomym było, że gdy tylko wszędzie słońce, równina zamieni się w gorące, azjatyckie piekło. Sewer, wychowany w afrykańskim mieście Leptis Magna, gdzie jego rodzina posiadała znaczne majątki, przyzwyczajony był do upału, jednakże żołnierze z legionów naddunajskich męczyli się okrutnie. Z tego też powodu pragnął rozstrzygnąć bitwę jak najszybciej. Wiedział jednak, że nie będzie to łatwe.

Legiony nieprzyjaciela zajęły dogodną pozycję na wzgórzu, po prawej stronie mając las, po lewej strome urwisko wybrzeża. Szeregi wojsk Nigra wzmocniła młodzież z Antiochii. Co prawda młodzieńcy doświadczeniem ustępowali wyćwiczonym żołnierzom Sewera, ale byli za to pełni zapału i głęboko przekonani o słuszności sprawy, za którą walczyli.

Do imperatora podszedł mężczyzna odziany w czerwona kapłańską szatę, z głęboko nasuniętym na czoło kapturem. Stanął trzy kroki od władcy, kłaniając się głęboko.

– Wzywałeś mnie, panie – mówił gardłowo i chrapliwie, a słowa wypowiadał z nutką semickiego akcentu.

Septymiusz Sewer przez chwilę przyglądał się mężczyźnie, który cierpliwie czekał z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Przerastał imperatora niemal o głowę, a przecież ten, jak na Rzymianina, był słusznego wzrostu. Kapłan miał podłużną twarz, wydatny nos i pełne wargi, ale największe wrażenie robiły oczy – ziejące czernią niczym nocne niebo. Wypełniała je tysiącletnia wiedza. Cezar był pewien, że widziały rzeczy, o których się nikomu nie śniło: miasta przed wiekami pogrzebane pod piaskami pustyni i wznoszące się ku niebu świątynie zapomnianych bogów. Sewer uśmiechnął się lekko. Takie same oczy miała jego żona – Julia Domna, która także pochodziła z Syrii.

– Musisz mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę, mistrzu – rzekł, mając w pamięci pomoc, jaką otrzymał zaledwie przed kilkoma tygodniami.

W drodze do Syrii wojska Sewera stanęły u stóp potężnych gór Taurus. Z jednej strony piętrzyły się skały, z drugiej ziała przepaść, a jedyne przejście przez trudno dostępny wąski przesmyk zostało obsadzone przez wroga. Uzurpator postawił umocnienia, za którymi jego żołnierze mogli odpierać ataki przez całe tygodnie, a nawet miesiące.

Szturmy nie dawały żadnego rezultatu, a legionistów cesarza ogarniało coraz większe zniechęcenie. Mo-

rale z dnia na dzień słabło. W obozie szeptano, że Niger sprzymierzył się z jakąś pradawną, straszliwą mocą. Zawsze widziany był w towarzystwie dwóch doradców w czerni, magów biegłych w sztuce rzucania czarów. I gdy wydawało się, że kampania zakończy się klęską, cesarz poprosił o pomoc kapłana poleconego przez jego żonę – Julię. Wówczas wydarzył się cud.

Pomimo że był środek lata i deszcz o tej porze roku w Antiochii prawie nigdy nie padał, nocą zerwała się gwałtowna burza. Z gór spłynęły zlebami rwące strumienie, wezbrane wody podmyły fundamenty murów, a po fortyfikacjach zostały tylko gruzy. Przerażeni kataklizmem obrońcy uciekli, pozostawiając wolne przejście.

– Uczynię wszystko, co w mojej mocy – odparł kapłan, a jego głos zabrzmiał echem jakiejś dziwnej melancholii. Spojrzał na wzgórze, jakby w szarudze budzącego się dnia dostrzegał więcej niż imperator. – Rozkażcie legionom ruszać do boju, a jazda niechaj objedzie las na zachodzie i zaatakuje tyły wojsk nieprzyjaciela.

– Jeźdźcy nie dadzą rady. – Cesarz pokręcił głową. – Wcześniej zostaną zauważeni i wyróżnieni przez żołnierzy Nigra.

– Wrogowie ich nie spostrzegą. Zaufaj mi. Wszak ten, któremu służę, nie na darmo nazywany jest Bogiem Deszczu. – Kapłan uśmiechnął się, ukazując rząd białych zębów. Następnie uklonił się lekko i odszedł.

Septymiusz Sewer spoglądał jeszcze chwilę za tajemniczym mężczyzną, zastanawiając się, czy powinien mu zaufać. Zaraz miał posłać do walki legiony naddunajskie, złożone z najwierniejszych mu ludzi, i gdyby kapłan zawiódł, czekała ich pewna śmierć. Czy miał jednak

inne wyjście? Jeśli nie ujarzmi uzurpatora, straci władzę, a tym samym życie.

Westchnął ciężko i przeniósł spojrzenie na obóz, w którym legionisści szykowali się do bitwy. Po raz ostatni ostrzyli miecze, sprawdzali ostrość grotów hast, przywdziewali zbroje i zakładali na głowy galee. Wielu z nich nie przeżyje dzisiejszego dnia, ich ciała pozostaną tutaj na zawsze, w obcej ziemi, leżącej na obszarze Imperium Rzymskiego, ale nigdy niebędącej ich domem. Jednakże bez słowa skargi chwyтали za tarcze i stawali w szeregach. Centuria przy centurii. Wieczorem okaże się, komu sprzyja Fortuna, a kto odejdzie do krainy śmierci.

Imperator przywołał dowódców i wydał stosowne rozkazy. Zaraz potem jego najlepszy wódz, Anullinus, pędził na czele ali, złożonej ze stu dwudziestu kawalerzystów z zadaniem okrążenia lasu i wyjścia na tyły wojsk nieprzyjaciela.

Zza wzgórza wychynęło słońce, leniwie pnąc się po firmamencie. Septymiesz Sewer na to czekał. Dał znak centurionom i w górę wzniesiono osadzone na wysokich drzewcach rzymskie orły oraz legionowe sztandary. Zagrały rogi, rykiem wypełniając okolicę, i kohorty jedna po drugiej ruszyły do natarcia.

Piasek sucho chrząścił pod sandałami żołnierzy, gdy ci ramię w ramię posuwali się do przodu. Legionisści z pierwszego szeregu każdej centurii trzymali przed sobą duże, prostokątne tarcze, z wymalowanymi wizerunkami zwierząt, piorunów lub symbolami religijnymi. Wojownicy na skraju szyku dzierżyli tarcze z boku, zaś ci wewnątrz tuż nad głowami, tworząc w ten sposób osłonę

dla całej formacji. Przypominała skorupę żółwia i chroniła przed gradem strzał, jak również przed rzucanymi przez wroga oszczepami.

Nagle niebo poczerniało od kamieni. Wystrzelone z katapult przez chwilę szybowały w powietrzu niczym ptaki, żeby zaraz opaść gwałtownie na ziemię. Po okolicy rozniósł się rumor, trzask pękających tarcz i krzyki umierających. Jednakże nikt nie zwolnił kroku, nikt nie uciekł. Żołnierze legionów naddunajskich dotarli do wzgórza i nie zmieniając szyku, zaczęli wspinać się po stoku. Niewiele dzieliło ich od wałów obronnych, za którymi ukrył się nieprzyjaciel.

W porannej ciszy, niczym zwiastuny nadchodzącej śmierci, rozległy się złowrogie skrzypnięcia. Legioniści poczuli, jak strach pełźnie im po plecach, na czoła wystąpił im zimny pot. Oni, weterani wielu wojen, dobrze wiedzieli, co oznacza ów dźwięk. Balisty! Przy pomocy mechanizmów korbowych wrogowie naciągali ciężki straszliwych machin i zaraz w stronę szturmujących poleciały wystrzelone z impetem bełty, kamienie i kłody drewna. Pociski rozbijały tarcze, gruchotały kości, uderzały w ciała żołnierzy, pozostawiając krwawą miazgę. W niebo wzbily się wrzaski okaleczonych i jęki umierających.

Mocno poszczerbione kohorty Sewera dotarły wreszcie do umocnień, ale zaraz poleciały oszczepy, zabijając dziesiątki legionistów. Potem żołnierze wyciągnęli gladiusy, krótkie obosieczne miecze o kulistej głowicy, i zwarli się w bezpardonowym starciu. Szczęk oręża brzmiał niczym grzmienie burzy. Krew tryskała na twarze, plamiła zbroje, lniane tuniki, barwiła szkarłatem

okoliczne drzewa i wsiąkała w piasek. Mimo że walczyli ze sobą Rzymianie, nikt nie okazywał litości i nikt o nią nie błagał. Leżących dobijano sztychem miecza lub miażdżono im gardła dolną krawędzią tarczy.

Septymiusz Sewer z niepokojem obserwował, jak jego wojska odbijają się od wroga niczym fale od skalistych brzegów wyspy Lipari, gdzie cesarz niegdyś zażywał wypoczynku. Pomimo wojennego doświadczenia, weterani z legionów naddunajskich nie mogli poradzić sobie z obrońcami, walczącymi z niezwykłą zaciekłością. Ponadto dwaj tajemniczy sprzymierzeńcy Nigra, korzystając z czarów, skutecznie odpierali legionistów, rażąc ich ślepotą lub paląc żywym ogniem. Szala zwycięstwa nieubłaganie przechylała się na stronę nieprzyjaciela.

Imperator podniósł wzrok, spoglądając w bezchmurne niebo. Słońce stało już prawie w zenicie i upał stawał się nie do wytrzymania. Niedługo żołnierze zaczną padać nie tylko pod ciosami mieczy i włóczni wroga, ale również z wycieńczenia. Sewer wiedział, że jeśli zaraz nie zdarzy się cud, jego armia zostanie rozbita, a on niczym pies z podkulonym ogonem będzie musiał uciekać do Rzymu. Jednakże pozbawiony wiernych legionów, z piętnem klęski wojennej, nie mógł liczyć na przychyłność senatu i mieszkańców miasta, którzy prędzej czy później wydadzą go w ręce Nigra. Wówczas pozostanie mu tylko rzucić się na miecz.

Przeniósł spojrzenie na obóz, do którego niewolnicy znosili okaleczonych żołnierzy, w którym medycy opatrywali rannych, słudzy rozdawali żywność i wodę. W oczach tych ludzi ujrzał bezradność, oni nie wierzyli już w zwycięstwo.

Nagle spostrzegł kapłana, z którym niedawno rozmawiał. Mężczyzna wspiął się na wał okalający obóz, wzniosł ręce do góry i zaczął recytować modlitwy w jakimś starożytnym, gardłowym języku, przywodzącym na myśl piaski pustyni. W jednej chwili niebo pociemniało, nie wiadomo skąd pojawiły się ciężkie, deszczowe chmury i zadudnił grom. Raptownie zerwały się ulewa, siekająca deszczem twarze obrońców, i wichura, która niszczyła fortyfikacje wroga. Dzięki temu legionieści Sewera zdołali się wreszcie przedrzeć i wbić klinem w szeregi wojsk nieprzyjaciela.

W sercu cezara obudziła się nadzieja. Jego kohorty brnęły do przodu, ale bitwa nie była jeszcze skończona. Pescenniusz Niger był wytrawnym wodzem i przy pomocy swoich tajemniczych sprzymierzeńców zdołał opanować panikę, tchnąć w swoich żołnierzy dodatkowy zapał, zmuszając ich do desperackiej walki.

Szala zwycięstwa ponownie przechyliła się na stronę uzurpatora, ale wówczas wydarzyło się coś, co zdecydowało o zwycięstwie legionów Sewera.

Na wzgórzu pojawiła się konnica Anullinusa, który objechał las i pod osłoną deszczu wdarł się na tyły nieprzyjaciela. Jeźdźcy spadli na wrogów niczym zgraja wilków na bezradną łanię. Ciężkimi spathami rozrąbywali czaszki, miażdżyli kości i tratowali końmi. Wreszcie opór został złamany. Legionieści syryjscy i młodzi żołnierze z Antiochii w popłochu zbiegali ze wzgórza, przewracając się i grzęznąc w błocie, pragnąc uciec jak najdalej od tego koszmaru. Niektórym udało się przedrzeć, jednak na placu boju pozostało dwadzieścia tysięcy poległych.

Pescenniusz Niger wraz z garstką przybocznych zbiegł do Antiochii, gdzie zamierzał się obwarować. Jednak tam już wiadano o klęsce. Na ulicach panował popłoch, wybuchały zamieszki i wiadomym było, że miasto nie zdoła się obronić. Zrozpaczony Niger próbował dostać się za Eufkrat i poszukać schronienia u Partów, został jednak doścignięty przez jeźdźców Anullinusa, który osobiście pozbawił go życia, a odciętą głowę rzucił do stóp Septymiusza Sewera.

Natomiast jego dwóch tajemniczych sprzymierzeńców w czerni nigdy nie odnaleziono.



ROZDZIAŁ 1

PIĄTEK – WTOREK, 9 – 13 LIPCA 2010 R.

Potężny tir mknął z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę po niemal pustej o tej porze krajowej jedyńce. Po trzeciej w nocy ruch w stronę Trójmiasta zawsze jest znikomy.

Dwudziestotonowy kontener wywierał zbyt duży nacisk na oś naczepy i kierowca, niski mężczyzna o przetłuszczonych włosach obawiał się o stan wozu. Miał na imię Marek, o czym świadczyła umieszczona za przednią szybą tablica rejestracyjna. W poprzednim tygodniu dwa razy złapał gumę i raz złamał ośkę. Obiecał sobie, że nigdy więcej nie weźmie tak ciężkiego „pudła”. Ale wiedział, że następnym razem będzie tak samo, bowiem niezwykle rzadko trafiał się lekki ładunek. Spedytorzy w dobie ogólnoświatowego kryzysu cięli koszty, upychając towar w kontenerze do maksimum. Po każdym kursie Marek większość zarobionych pieniędzy przeznaczał na naprawy.

Westchnął ciężko. Powinien się cieszyć, że w ogóle ma pracę. Od czasu kryzysu polski eksport był w odwro-

cie, przez co drastycznie zmniejszyło się zapotrzebowanie na usługi transportowe. Firmy przewoźnicze jedna po drugiej bankrutowały i coraz trudniej było o nowe zlecenia. Wielu kierowców wylądowało na bezrobociu. Na szczęście szef miał znajomości wśród spedytorów w Bałtyckim Terminalu Kontenerowym i jak na razie na brak kursów nie narzekał. Lecz to mogło w każdej chwili się zmienić.

Zimny dreszcz przeszedł Marka na myśl, że mógłby stracić pracę. Przez całe życie jeździł na tirach i tak naprawdę nic innego robić nie potrafił. Nie wyobrażał sobie zmiany zawodu. Zresztą dobiegał już pięćdziesiątki i wątpił, żeby gdziekolwiek indziej znalazł zatrudnienie. Jednak zarabiać musiał. Żona od piętnastu lat była na rencie i pieniądze, jakie otrzymywała od państwa, starczały jedynie na leki, córka jeszcze studiowała, a syn dopiero poszedł do liceum. Marek obawiał się, że jego rodzina pozostanie bez środków do życia.

Postanowił przestać zadręczać się ponurymi myślami i włączył radio. Znalazł ulubioną stację „Złote Przeboje” i uśmiechnął się, gdy z głośników popłynęła „Autobiografia” Perfectu. Odśpiewał wraz z Grzegorzem Markowskim ostatnią zwrotkę i refren, przypominając sobie, jak w młodości kołysał się z dziewczynami do tej melodii. To były niezapomniane czasy szalonych prywatek, bułgarskiego wina rozlewane w szklanki i zdartych płyt adapterowych.

Wtedy wszystko było łatwe i proste. Zdawało się, że komunizm będzie trwał wiecznie, a pracę miał każdy. Co prawda sklepy świeciły pustkami, a cukier, mięso, papierosy i alkohol były na kartki, ale każdy jakoś sobie

radził. Marek lepiej odnajdywał się w tamtej szarej rzeczywistości, gdzie bardziej liczyły się spryt i cierpliwość, niż w erze kolorowych billboardów, mnogości towarów atakujących konsumenta ze sklepowych półek, kredytów, w świecie brutalnego kapitalizmu, gdzie należało rozpychać się łokciami i bezpardonowo walczyć o swoje. Po przełomie w osiemdziesiątym dziewiątym i wejściu do Polski kapitalizmu, o którym tak wielu wtedy marzyło, a tak mało go naprawdę rozumiało, on poczuł się, jakby wrzucono go do całkiem innej bajki. Przedtem był fachowcem po zawodowej szkole samochodowej, mającym dobry zawód, bo na kierowców zawsze było zapotrzebowanie, a tu nagle okazało się, że bez wyższego wykształcenia, znajomości komputerów i języków obcych jest nikim.

Muzyka powoli ucichła i w radiu rozpoczął się serwis. Marek zerknął na zegar wbudowany w tablicę rozdzielczą. Minęła czwarta, co oznaczało, że był w trasie już ponad dziesięć godzin. Zatrzymał się tylko w Częstochowie zaledwie na pół godziny, żeby zjeść obiad w przydrożnej restauracji. Schabowy z ziemniakami był całkiem smaczny, ale daleko mu było do domowych posiłków serwowanych przez żonę.

Chciał być już w domu, zanurzyć się w miękkim, ciepłym łóżku i odespać te wszystkie nocne kursy. Jednak czekały go jeszcze jakieś trzy godziny jazdy do gdyńskiego portu, potem rozładunek i dopiero wówczas mógł zjechać na parking. Nagle zaklął i wściekle uderzył otwartą dłońią w kierownicę. Przypomniał sobie, że musi jeszcze pobrać jeden kontener i dostarczyć go do odbiorcy.

Zerknął na leżące na siedzeniu pasażera dokumenty przewozowe i w nikłym blasku mijanych latarni zdołał odczytać miejsce dostawy. Na szczęście znajdowało się niedaleko Gdańska. Pamiętał z rozmowy ze spedytorem, że ma to być mienie przesiedlenia, zatem ładunek nie powinien być ciężki. Istniała szansa, że zdoła wszystko załatwić do południa. To go trochę uspokoiło.

Ponownie przeniósł spojrzenie na skąpaną w światłach reflektorów jezdnię i bezmyślnie wpatrywał się w białą, przerywaną linię, dzielącą szosę na dwa pasy. Zmęczenie dawało o sobie powoli znać i sen niczym złodziej zakradał się pod powieki, które z sekundy na sekundę stawały się coraz cięższe i cięższe.

Podgłośnił radio i skupił całą uwagę na prowadzeniu samochodu. Minął właśnie niewielką miejscowość o nazwie Rulewo i drogowskaz wskazywał, że do Gdyni pozostało zaledwie sto kilometrów. Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidywalnego, za dwie godziny powinien być w porcie. Zdąży tuż przed porannymi korkami.

Nagle oślepiły go światła pędzącego z naprzeciwka samochodu. Jego kierowca musiał zasnąć i zmienić pas ruchu. Przerażony Marek mocno nacisnął hamulec i wykręcił kierownicę. Za późno. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był potworny huk miażdżonych blach i towarzyszący mu upiorny trzask pękających szyb. Potem osunął się w objęcia ciemności...

Otworzył szeroko oczy i aż krzyknął z wrażenia. Nadal trzymał kierownicę i wpatrywał się w pustą drogę. Musiał zasnąć na kilka sekund. A wypadek był zaledwie koszmarem sennym. Natychmiast zwolnił i zjechał na pobocze. Wyłączył silnik. Był zlany potem, serce biło mu

jak oszalałe. Wziął kilka głębokich oddechów, ale nadal był roztrzęsiony. Pierwszy raz zdarzyło mu się zasnąć za kółkiem.

Sięgnął do schowka po nową paczkę niebieskich LM-mów. Drżącymi rękoma zerwał banderolę, szybko wydobyl papierosa i zapalił, delektując się jego cierpkim smakiem. Co prawda rzucił palenie przed dwoma laty, gdy na okresowych badaniach okazało się, że jego płuca wyglądają paskudnie i tylko patrzeć, jak pojawią się rakotwórcze zmiany, ale od czasu do czasu w sytuacjach stresowych pozwalał sobie na dymka. To była z pewnością jedna z takich chwil.

Po kilku minutach uspokoił się, otworzył boczną szybę i wyrzucił niedopałek za okno. Ujrzał znak informujący o parkingu oddalonym zaledwie o pięć kilometrów. Postanowił, że prześpi się tam do rana. Zapalił silnik i ostrożnie ruszył przed siebie. Mając w pamięci ostatnie zdarzenie, jechał wolno, najwyżej czterdziestką, uważnie spoglądając na drogę. Teraz marzył jedynie o tym, żeby bezpiecznie dotrzeć na postój, zasnąć i zapomnieć o koszmarze.

Wypatrując parkingu, spoglądał na sylwetki drzew wynurzające się z mroku. Dopóki nie omiotły ich światła reflektorów, przypominały upiory sterczące na poboczu i wysuwające ku niemu szpony.

Po obu stronach jezdni aż po horyzont rozciągały się uprawne pola, podmokłe łąki i trzęsawiska. Epatowały grozą i Marek zastanawiał się, jakie dziwne istoty mógłby tam w nocy spotkać. Może utopce, którymi straszyla go w dzieciństwie babka? Istoty powstałe z dusz ludzi, którzy niegdyś utonęli. Fizycznie byli im podobni,

wyróżniali się tylko większą głową, zielonymi włosami i napuchniętym ciałem, jakby po tygodniu wyciągniętym z wody. A może spotkałby wiły i rusalki, tańczące nago na polach, obwieszane wieńcami z kwiatów? Podobno tych, którzy przeszkadzali im w zabawie, karały, zsyłając na nich szaleństwo. Wyobraźnia Marka pracowała na pełnych obrotach i przypominał sobie kolejne babcine opowieści o strzygach grasujących po zmroku, wąpierzach wysysających krew oraz innych kreaturach nocy, wyżerających wnętrzności swoich ofiar.

Mężczyzna wzdrygnął się na myśl o okropieństwach czyhających w ciemnościach, które odpędzić mogły jedynie promienie słoneczne, i przeniósł spojrzenie na drogę. Nagle w blasku reflektorów dostrzegł postać stojącą pośrodku jezdni. Zaskoczony, nie zareagował na czas. Dopiero po chwili nacisnął hamulec do oporu, jednak już wiedział, że nie zdoła w porę zatrzymać tira. Zamknął oczy, słysząc potworny pisk opon i głucho uderzenie ciała o zderzak. Kilka sekund później ciężarówka stanęła, a on siedział jeszcze dobrą chwilę z przymkniętymi powiekami, wmawiając sobie, że to znowu sen i zaraz się obudzi.

Wreszcie otworzył oczy i wyskoczył z pojazdu, gotów stawić czoło rzeczywistości. Zdawał sobie sprawę z widoku, jaki zastanie: zgruchotane ciało, krew na asfalcie i rozszarpane ludzkie szczątki.

Jednakże nic takiego nie było. Dostrzegł natomiast spowitego w czerni człowieka, wyłaniającego się z tyłu samochodu. Marka ogarnęło przerażenie. Wiedział, że żadna ludzka istota nie przeżyłaby takiego wypadku.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była upiornie blada twarz.

– Nadchodzą! Oni nadchodzą!

Słowa wykrzykiwane były przez młodego, rudowłosego mężczyznę, stojącego na czaszy fontanny Neptuna w Gdańsku. W prawej dłoni dzierzył Biblię, lewą kurczowo trzymał się rzeźbionego trójzębu groźnie celującego w przechodniów. Młodzieniec miał na sobie szary, rozciągnięty sweter, wytarte dżinsy, a wizerunku szaleńca dopełniały wychudzona twarz, kilkudniowy zarost i niezdrowy blask niebieskich oczu.

Odlany w brązie posąg boga morza pozostawał niewzruszony, lecz turyści zwiedzający Długi Targ w to słoneczne, wakacyjne przedpołudnie uśmiechali się pod nosem, zakładając, że szaleniec jest częścią tutejszego folkloru. Niektórzy pukali się w czoło, dając w ten sposób do zrozumienia, co o nim myślą, ale niezrażony młodzieniec kontynuował tyradę:

– Aniołowie Pana nadchodzą! Zwiastun Śmierci i Zwiastun Zniszczenia. A gdy oni dwaj przybędą, nastanie koniec. Zaprawdę powiadam wam, nasze miasta podzielą los Sodomy i Gomory, albowiem srogi jest Jego gniew. Zatem zaklinam was, ukorzcie się przed boskim majestatem, wyrzeknijcie się grzechu, wyrzucicie z serc waszych nienawiść i zło. Jedynie tak możecie ocalić samych siebie.

Młody mężczyzna zamilkł na chwilę, uniósł oczy ku niebu, jakby tam szukał natchnienia do dalszej przemowy.

– Pomnijcie, co Bóg rzekł Abrahamowi, gdy wraz z dwoma swoimi aniołami szedł do Sodomy i Gomory

z zamiarem ukarania miast za ich nieprawość. Powiedział, że wstrzyma karzącą rękę, gdy znajdzie się przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych. Jednakże spoglądam na wasze twarze i widzę złość, zaglądam w wasze serca wypełnione żółcią i wiem, że nie goście w nich miłość do bliźniego, dostrzegam wasze dusze i powiadam wam, że są one czarne niczym otchłanie piekła. Ale nie jest jeszcze za późno. Opamiętajcie się! Zamiast bić pokłony fałszywym bożkom w telewizorze, nabywać coraz więcej dóbr materialnych w szatańskich świątyniach konsumpcji i oddawać się rozpuście oraz hedonistycznej zabawie, skierujcie swoje modlitwy ku Bogu. Wówczas unikniecie Jego gniewu.

Rudowłosa mocniej potrząsnął Biblią, chcąc tym gestem nadać ważności swoim słowom.

– Strzeżcie się Aniołów Zagłady! Nawiedzają nasz świat od tysiącleci, karząc grzeszników i przynosząc zagładę. To oni zniszczyli Sodomę i Gomorę, spuszczając na miasta nawalnicę siarki i ognia. Wówczas ziemia zatrzęsała się, domy obróciły się w kupę dymiących gruzowisk. Ich dziełem była zagłada Pompejów, epidemia dżumy w średniowieczu, która wymordowała jedną trzecią ludności Europy, oraz wielki pożar w Chicago. Przed ośmiu laty ponownie się zjawili, żeby poskromić współczesny Babilon, siedlisko demonów i schronienie dla wszelkiego ducha nieczystego. A miejscem tym był Nowy Jork, centrum światowego biznesu, miasto diamentów, handlu i gwiazd filmowych, które czczone są niczym bogowie. W Apokalipsie Świętego Jana stoi, iż wszystkie narody piły wino szaleńczej rozpusty jego i królowie ziemi uprawiali z nim wszeteczeństwo,

a kupcy ziemi wzbogacili się na wielkim jego prze-
pychu.

Nagle młodzieniec spostrzegł trzech rozgniewanych policjantów, którzy wyłonili się zza rogu ulicy Kramarskiej i zmierzali w jego stronę. Zaczął mówić coraz szybciej, w obawie, że nie zdąży przekazać całej swojej wiedzy, niezwykle, według jego mniemania, ważnej.

– I Bóg pokarał Nowy Jork, wysyłając Aniołów Śmierci. Zgodnie z przepowiednią przybyli na żelaznych ptakach, niszcząc dwie wieże, które niczym Babel pysznie sięgały chmur, i zabrali tysiące ludzkich istnień. Spłonęły wieże Babilonu, a wraz z nimi bożek mamony oraz bożek zysku. I kupcy na ziemi płakać będą i smucić się nad nim, bo już nikt nie zechce kupować od nich towaru. Czyż tak właśnie nie było? Nowojorska giełda została zamknięta na cztery dni i wszelki handel ustał, bowiem groza zawisła nad światem. A prezydenci i przywódcy wszystkich narodów solidaryzowali się z Nowym Jorkiem, ubolewali, płakali, współczuli, nie wiedząc, że było to dzieło Boga. Czytajcie Pismo Święte, tam wszystko jest objawione. Dzień sądu jest bliski! Ukorzcie się, bowiem Aniołowie Śmierci już tu są...

Rudowłosy chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tym właśnie momencie policjanci otworzyli okalającą fontannę żelazną kratę zdobioną herbami Gdańska oraz polskimi orłami i weszli do wewnątrz. Wdrapali się na trzon, ciężkimi buciorami profanując misterne rzeźby, usiłując ściągnąć szaleńca z postumentu. Jednakże młodzieniec zręcznie niczym małpa skakał po czaszy, chowając się za posągiem Neptuna, unikając wyciągniętych ku niemu rąk funkcjonariuszy. Policjanci nie-

udolnie podskakiwali, próbując chwycić go za nogawki spodni. Wyglądało to na tyle komicznie, że wzbudzało salwy śmiechu wśród coraz liczniej zgromadzonych gapiów. Niektórzy, zamiast fotografować piękne fasady kamienic gdańskiej starówki, kierowali obiektywy na rozgrywającą się scenę.

Szaleniec, widząc, że znalazł się w potrzasku, i zdając sobie sprawę, że prędzej czy później policjanci zdołają ściągnąć go z fontanny, mocno odbił się od krawędzi czasy i przeskoczył trzon oraz żelazną kratę. Ale jego skok z ponaddwumetrowej wysokości zakończył się nieszczęśliwie. Zwichnął kostkę i przewrócił się na bruk. Zaraz podbiegli do niego policjanci, przycisnęli do ziemi i założyli kajdanki. Następnie postawili go na nogi i skutego, utykającego, zaczęli prowadzić do najbliższego posterunku policji przy ulicy Pivnej.

Młodzieniec, pogodzony z losem, nie stawiał oporu. Spoglądał na przechodniów, szukając w ich oczach zrozumienia, ale oni, zaprzątnięci własnymi sprawami, poświęcili mu zaledwie drobną chwilę swojego drogocennego czasu, traktując całe wydarzenie jako ciekawostkę, którą potem opowiedzą znajomym. Nikt nie zastanawiał się nad słowami rudowłosego.

Nagle szaleniec spostrzegł coś, co sprawiło, że jego twarz stała się biała niczym papier. Trudno było odgadnąć, czy spogląda na dziwaczne rzeźby ozdabiające fasadę Dworu Artusa, czy w okna Złotej Kamienicy, gdzie jak głosi legenda można ujrzeć świetlistą postać ducha Judyty Speymann. Może przestraszył się czarnego krucha siedzącego na latarni i łypiącego strasznymi ślepiami, niczym strażnik tajemnic przeszłości? A może w tłumie

przechodniów dostrzegł kogoś, kogo nigdy nie chciałby spotkać na swojej drodze?

– *Akar, Akar, Akar* – wyszeptał drżącymi ustami.

Tylko gołębie przemierzające starówkę, które wydały się być jedynymi uważnymi słuchaczami kazania, poczuły nadchodzącą grozę. Poderwały się w górę, we wspólnym, instynktownym zrywie, spłoszone czymś, czego ludzkie zmysły nie zdołają ogarnąć. Okrążyły trzykrotnie okolicę i wreszcie, uspokojone, ponownie osiadły na ziemi, zabierając się za wydziobywanie okruszków.

Nikt ze spacerujących ludzi nie przeczuwał zagrożenia, a ono było już wśród nich.

Andrzej Kamiński wolno szedł gdańską starówką. Nie spieszyło mu się, miał jeszcze trochę czasu. Choć od hotelu „Hanza”, w którym się zatrzymał, do miejsca spotkania dzieliło go zaledwie trzysta metrów, postanowił wyjść wcześniej i zwiedzić miasto.

Najpierw przechadzał się zabytkowymi uliczkami Gdańska, podziwiając rzeźbione fasady kamienic, rozkoszując się ciepłem promieni słonecznych. Piękna pogoda wyciągnęła na spacer wielu ludzi. Idąc, mijał matki trzymające za ręce dzieci, wrywające się ku gołębim, emerytki z gderającymi mężami u boku, niemieckich turystów, których w Gdańsku o każdej porze było sporo, i dziewczyny, będące właścicielkami długich, opalonych nóg. Niektóre uśmiechały się do niego kusząco, czemu wcale się nie dziwił. Wakacje zawsze sprzyjały roman-

som, a on, mimo że zbliżał się do czterdziestki, uchodził za atrakcyjnego mężczyznę.

Był wysokim brunetem o brązowych oczach, szczupłym i wysportowanym. Nigdy nie narzekał na brak kobiet, ale z żadną się na stałe nie związał. Może miała na to wpływ jego praca? A może jakaś skaza w jego charakterze, powodująca, że najdłuższy związek przetrwał zaledwie rok?

Gdy obszedł już uliczki Straganiarską, Świętojańską, Szeroką i Świętego Ducha, wstąpił do Bazyliki Mariackiej, gdzie przez dłuższą chwilę podziwiał dziewiętnastowieczną kopię tryptyku „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga. Spoglądał na twarz Jezusa Chrystusa pełną majestatu i powagi, na której trudno było dostrzec ślady miłosierdzia. Ale on występował tu jako sędzia, ten, który miał dokonać wyboru, wskazać, komu pisane Królestwo Niebieskie, przedstawione w lewej części tryptyku, a komu Piekło, ukazane w prawym skrzydle ołtarza. Dusze sprawiedliwych witane były w raju przez świętego Piotra, a aniołowie wręczali im szaty. Natomiast potępiency, gnani nago przez czarne demony wprost w ogień piekielne, wyli ze strachu.

Znawców sztuki fascynowały detale owego dzieła, technika wykonania, pełne dynamizmu i ekspresji postaci, natomiast Andrzeja zachwycał sam przekaz. Sąd Ostateczny, od którego nie ma odwołania, gdzie adwokaci nie mają prawa wnosić apelacji, a dla skazańców nie ma amnestii i pozostaje tylko wieczna radość lub wieczne cierpienie.

Po wyjściu z Bazyliki Mariackiej Kamiński skierował się na zachód, obejrzał słynną Złotą Bramę, poświęcając

sporo uwagi ósmiu rzeźbom ustawionym na attykach, alegorycznie symbolizującym cnoty obywatelskie i dążenia mieszczan. Próbował rozpoznać co reprezentują poszczególne figury, ale po kilku minutach sobie odpuścił i ruszył w dół ulicy Długiej, zmierzając w stronę Motławy.

Mijając ratusz, niedaleko fontanny Neptuna ujrzał zaskakującą scenę. Trzech policjantów prowadziło skutego kajdankami rudowłosego młodzieńca, który sprawiał wrażenie człowieka niespełna rozumu. Kamińskiemu przez moment wydawało się, że gdy szaleniec spojrzął na niego, przestraszył się i zaczął coś mamrotać pod nosem. Andrzej poczuł dreszcz, jakby gdzieś czaiło się niebezpieczeństwo. Rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Spacerowicze przemierzający starówkę, turyści pstrykający zdjęcia, dzieci goniące gołębie, zakochane pary kryjące się w cieniu na ławeczkach – nikt nie zwracał na niego uwagi.

Poluźnił nieco krawat, zdjął czarną marynarkę i zarzucił sobie na ramię. Dzisiejszy dzień zapowiadał się naprawdę upalnie. Cóż się dziwić, pierwsze dni lipca. Spojrzał na zegarek, była za dziesięć jedenasta. Mocniej ścisnął trzymaną w ręku skórzaną aktówkę i przyspieszył kroku. Przeszedł pod Zieloną Bramą, która została zbudowana jako gdańska rezydencja królów Polski. Niestety, pomimo swojego przeznaczenia, nigdy żadnego z nich nie gościła, ale ponoć zatrzymała się tu kiedyś Maria Ludwiga Gonzaga, przyszła żona Władysława IV.

Kamiński skręcił na Długie Pobrzeże i szedł teraz wzdłuż Motławy, po prawej mając przystań Żegluga Gdańskiej, po lewej sklepy sprzedające biżuterię z bursztynu, z której miasto było znane od zawsze. W oddali

majaczył zabytkowy Żuraw – dźwig wybudowany w piętnastym wieku, służący do załadunku towarów i stawiania masztów. Jednak Andrzej do Żurawia nie doszedł, skręcił w uliczkę Mariacką, stając przed obdrapanym budynkiem Muzeum Archeologicznego. Wdrapał się po stromych betonowych schodach, zupełnie niepasujących do stylowej kamienicy, pchnął ciężkie, drewniane drzwi i znalazł się w obszernym holu. Natychmiast ogarnął go kojący chłód i poczuł specyficzny zapach minionych epok, tak charakterystyczny dla wszystkich muzeów.

Podszedł do recepcji, gdzie młoda kobieta z włosami spiętymi w kucyk tłumaczyła niemieckim turystom cennik. Stojący na czele wycieczki, gruby i opryskliwy starszy mężczyzna, na którym gestapowski mundur leżałby jak ulał, nie mógł zrozumieć, dlaczego za robienie zdjęć musi wnieść dodatkową opłatę. Recepcjonistka cały czas miała przyklejony do twarzy służbowy uśmiech, mówiła powoli i cierpliwie, ale gdyby jej oczy mogły strzelać piorunami, Niemiec byłby już martwy.

Andrzej stwierdził, że nie będzie dodatkowo stresował dziewczyny i postanowił poczekać. Zaczął przechadzać się wzdłuż holu, spoglądając na gabloty, w których umieszczone zostały książki, przewodniki oraz niektóre z eksponatów, żeby zainteresować klienta i skłonić go do zakupu biletu i odwiedzenia muzeum. Wewnątrz na zwiedzających czekały wystawy stałe, jak choćby ta dotycząca doliny Nilu albo dziejów Pomorza Gdańskiego. Niezwykle atrakcyjnie prezentowała się również ekspozycja arcydzieł bursztyniarskich.

Kamiński przystanął przy regale prezentującym monety z okresu Cesarstwa Rzymskiego. Przyglądał się

awersom, na których rytownicy umieszczali portrety nie tylko panujących władców, ale także członków ich rodzin. Tak więc obok denara uwieczniającego Marka Aureliusza można było ujrzeć na leżącej obok sestercji jego żonę Faustynę Młodszą, monety z podobiznami Trajana i Sabiny, Trajana i Plotiny oraz Septymiusza Sewera i Julii Domny. Szczególną uwagę Andrzeja zwróciła ta ostatnia, denar przedstawiający kobietę o cudownych rysach twarzy. Całości dopełniała łabędzia szyja, starannie ufryzowane loki i pełne usta. Zapewne miała oliwkową skórę, jak na Syryjkę przystało, i ciemne oczy, które musiały oszałamiać mężczyzn. Julia Domna bez cienia wątpliwości była niezwykle piękną kobietą. Nic dziwnego, że Sewer oszalał z miłości do niej i gdy tylko dowiedział się o śmierci swojej pierwszej żony, natychmiast się Domnie oświadczył.

Zapatrzony w podobiznę Julii Domny, nie spostrzegł, kiedy Niemcy opuścili muzeum i pozostał w holu sam.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała recepcjonistka.

Kamiński podszedł do jej stanowiska i uśmiechnął się życzliwie, wiedząc, że dziewczyna ma na dzisiaj dość swojej pracy.

– Jestem umówiony z profesorem Bonc-Chojnarskim na jedenastą.

Recepcjonistka otworzyła skórzany kalendarz, gdzie zapewne notowane były godziny spotkań pracowników muzeum. Chwilę wodziła palcem po zapisanej stronie, marszcząc groźnie brwi.

– Pan Andrzej Kamiński? – zapytała, nie podnosząc wzroku.

– Tak.

– Profesor czeka na pana – poinformowała chłodnym tonem. – Proszę iść na trzecie piętro, tam odnajdzie pan jego pokój.

Andrzej podziękował i ruszył schodami na górę. Po drodze mijał sale wystawiennicze i przez chwilę korciło go, żeby zajrzeć, pozwiedzać, bo starożytne artefakty budziły w nim dziwną nostalgię, ale zaraz przypomniał sobie, po co tak naprawdę tu przyszedł.

Wreszcie dotarł na trzecie piętro i stanął przed drzwiami, na których widniała tabliczka: prof. dr hab. Aleksander Bonc-Chojnarski.

W gabinecie zavalonym książkami, skoroszytami oraz nieskatalogowanymi jeszcze eksponatami stało duże dębowe biurko, za którym siedział wciśnięty głęboko w fotel niepozorny, łysiejący mężczyzna. Miał na sobie sztruksową, brązową marynarkę, powycieraną na łokciach, i niebieską koszulę, co niezbyt dobrze się komponowało. Profesor sprawiał wrażenie roztrzepanego i zapewne niewielką wagę przywiązywał do ubioru. Gdy Kamiński wszedł do pokoju, nawet nie raczył na niego spojrzeć, zajęty wpisywaniem czegoś w zeszyt.

– Proszę, niech pan siada – wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. – Czym mogę panu służyć? Proszę się pospieszyć, gdyż mam naprawdę niewiele czasu.

Andrzej uśmiechnął się pod nosem. Profesor potraktował go z nonszalancją, jak jednego ze swoich studentów lub namolnego akwizytora. Postanowił to zmienić.

– Nazywam się Andrzej Kamiński. – Podszedł do stołu i wyciągnął rękę na przywitanie, podsuwając ją pod profesorski nos. – Jestem oficerem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego z Departamentu Zwalczenia Sekt Religijnych.

Aleksander Bonc-Chojnarski, chcąc nie chcąc, musiał odłożyć pióro i podać Andrzejowi dłoń. Wreszcie podniósł głowę i zaintrygowany spojrzał na gościa.

– Proszę, niech pan spocznie – ponowił zaproszenie, lecz teraz już uprzejmiej. Poprawił okulary w staromodnych oprawkach, odchylił się w fotelu i splótł dłonie na piersi. – Nie wiedziałem, że taki departament istnieje.

– Proszę mi wierzyć, że ja przed miesiącem też jeszcze nie wiedziałem – odparł Kamiński. – Został powołany niedawno, wyodrębnił się z Departamentu Przeciwdziałania Terroryzmowi. Właśnie stamtąd zostałem oddelegowany.

– Łapał pan terrorystów? – Profesor uniósł brwi.

Andrzej roześmiał się i pokręcił głową.

– Ależ skąd! Od tego są specjalne oddziały. Ja zajmowałem się analizowaniem otrzymanywanych informacji, weryfikowaniem ich źródeł, a także typowaniem grup potencjalnych zamachowców.

– Rozumiem. – Na pooranym zmarszczkami obliczu archeologa pojawił się nikły uśmiech. – Bardzo jestem ciekaw, co pana do mnie sprowadza? Niestety nie mogę poświęcić panu zbyt wiele czasu, bowiem mamy w muzeum wystawę czasową poświęconą numizmatyce...

– Zauważyłem w gablotach monety z okresu cesarstwa rzymskiego. Doprawdy ciekawe okazy.

– Zna się pan na archeologii?

– Trochę – odpowiedział Andrzej. – Jednak bardziej zajmuje mnie historia.

Aleksander Bonc-Chojnarski coraz życzliwiej patrzył na swojego gościa.

– Jest pan z wykształcenia historykiem?

– Niestety nie, historia to tylko moje hobby. Ukończyłem socjologię i stąd też moja praca w departamencie.

– To musi być niezwykle zajmujące?

– Co?

– Badanie procesów zachodzących w społeczeństwie, zgłębianie zachowań ludzkich i próba przewidzenia ich reakcji na zmiany polityczne. A potem urabianie opinii publicznej poprzez socjotechniczne manipulacje. Czyż nie na tym polega pańska praca?

Andrzej zmarszczył czoło, zrozumiałwszy, że profesor sobie z niego kpi.

– Myli się pan – odparł oschle. – W departamencie zajmujemy się analizowaniem instytucji religijnych w kontekście społecznym. Przede wszystkim skupiamy się na sektach i badamy, czy mogą stanowić zagrożenie dla obywateli, jak również dla bezpieczeństwa państwa.

– Powinniście zatem zacząć od Kościoła katolickiego – w głosie archeologa zabrzmiał sarkazm. – Wszak spełnia wszystkie kryteria określające sekty.

– Czyżby?

– Po pierwsze, oderwanie od innej religii. – Bonc-Chojnarski zaczął wyliczać na palcach. – Najpierw chrześcijaństwo oderwało się od judaizmu, a potem w samym jego łonie doszło do licznych rozłamów, jak choćby podczas wielkiej schizmy, gdy Kościół katolicki przyjął obrządek łaciński, własną tradycję liturgiczną

i oczywiście strukturę. Po drugie, silna rola przywódcy. Na czele Kościoła katolickiego stoi papież nazywany Ojcem Świętym, tytułem go deifikującym. Już za życia stawia się mu pomniki, jak niegdyś Stalinowi, otaczany jest czcią, ludzie się do niego modlą i uznają jako nieomylnego. Wszyscy hierarchowie Kościoła są mu bezwzględnie posłuszni.

Twarz profesora nabrała rumieńców, a w jego głosie brzmiał coraz większy zapal.

– Po trzecie, pranie mózgu. Wyznawcy werbowani są już w wieku niemowlęcym, wbrew swojej woli. To rodzice decydują, czy dziecko zostanie ochrzczone i tym samym zostanie członkiem Kościoła. No a potem zaczyna się już indoktrynacja, religia w szkole, wkuwanie na pamięć regułek, prawd wiary i przykazań. Ponadto, przez całe swoje życie są utwierdzani w przekonaniu, że owe dogmaty zostały objawione przez Boga i nie wolno ich podważać.

– A tak nie jest?

– Dlaczego niektóre opowieści o życiu Jezusa, napisane w tym samym czasie, co Ewangelie Mateusza, Marka, Łukasza i Jana, nigdy nie weszły w skład Nowego Testamentu?

– Zostały odrzucone, ponieważ nie były napisane pod wpływem Ducha Świętego.

– Bzdura! – obruszył się archeolog. – Tak postanowili ojcowie Kościoła na podstawie tego, co ubzdurał sobie ten szaleniec Tacjan. Niewielu chrześcijan wie, że ten wielki teolog i twórca dogmatów, po śmierci swojego mistrza Justyna Męczennika, porzucił gminę rzymską i przyłączył się do sekty enkratytów, zwanych wstrze-

mięźliwymi. Nie uznawali małżeństwa, nie spożywali mięsa i pili tylko wodę. To zapewne z głodu i braku seksu dostał pomieszania zmysłów, więc roily mu się w głowie różne pomysły. A ojcowie Kościoła skwapliwie przyjęli je za dobrą monetę.

Andrzej może nie uważał się za przykładnego katolika, na bakier z przykazaniami i nie chodził regularnie do kościoła, ale lekceważąca tyrada profesora na temat religii, w której był wychowany, nie spodobała mu się.

– Myślę, że powinniśmy zakończyć tę dyskusję – zaproponował.

– Ależ ja jeszcze nie skończyłem. – Bonc-Chojnarski najwyraźniej dopiero się rozkręcał. – O sekciarskim charakterze Kościoła katolickiego świadczy również jego hierarchizacja, finansowe utrzymywanie przywódców przez członków wspólnoty i czynne zwalczanie innych wyznań. Niegdyś czynili to krzyżowcy i inkwizytorzy, teraz najskuteczniejszym orężem są media oraz organizacje działające w ramach struktur państwowych. Oczywiście mam na myśli Departament Zwalczania Sekt Religijnych.

Kamiński westchnął ciężko. Postanowił przerwać te dywagacje, które do niczego nie prowadziły.

– Mówił pan, profesorze, że nie ma pan zbyt wiele czasu, a minął już kwadrans, odkąd tu wszedłem. Powinniśmy przejść do sprawy, z którą przychodzę...

– Ale przecież tak nam się wspaniale gawędziło – Bonc-Chojnarski uśmiechnął się rozbrajająco.

– To raczej był monolog z pana strony.

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pana urazić swoją tyradą. Jestem archeologiem, specjalizuję się w przedmiotach kultu religijnego i znam mechanizm powstawa-

nia religii. Oburza mnie, że chrześcijanie uważają swoją wiarę za jedyną słuszną. Wiarę wywodzącą się z judaizmu, przeniesioną z Bliskiego Wschodu i dostosowaną do mentalności europejskiej. A przecież Hebrajczycy swoje mity zapożyczyli od Babilończyków, którzy przejęli je od Sumerów. Tak więc echa współczesnej doktryny chrześcijańskiej mają źródło w sumeryjskich legendach.

– To niezwykle, co pan mówi, profesorze – rzekł Kamiński. – Jak zgaduję, nie jest pan wierzący?

– Jestem deistą – odparł archeolog. – Nie wierzę w Boga osobowego, a jedynie w siłę sprawczą. Uważam, że istnieje jakiś Absolut, byt, który spowodował zaistnienie świata, ale nie ingeruje w bieg ziemskich spraw, w ludzkie życie, a już na pewno nie narzuca jakichkolwiek praw... No ale proszę powiedzieć, co to za problem, z którym ABW nie może sobie poradzić i potrzebuje mojej pomocy?

Andrzej odetchnął z ulgą, gdyż obawiał się, że profesor zaraz zrobi mu kolejny wykład. Otworzył skórzaną aktówkę i wyjął plik zdjęć.

– Chcieliśmy pana prosić o pomoc, jako wybitnego znawcę religii i kultury starożytnego Wschodu, w identyfikacji tych przedmiotów. Są to rzeźby, naczynia, broń biała, gliniane tabliczki.

Aleksander Bonc-Chojnarski sięgnął po zdjęcia i zaczął im się z uwagą przyglądać.

– Antyki zostały wczoraj przechwycone przez celników na gdyńskim terminalu kontenerowym – mówił dalej Kamiński. – Towar został załadowany do kontenera w syryjskim porcie Latakia i przyplłynął na statku należącym do polskiego armatora. Podejrzewam, że artefak-

ty przeznaczone były dla jakiejś sekty religijnej działającej w Polsce. Niestety, ideologia kultu nie odpowiada żadnej z inwigilowanych przez nas organizacji. Obawiamy się, że to nieznamy nam dotąd odłam fundamentalistów. Wie pan, profesorze, w dobie zagrożenia terrorystycznego...

Zamilkł, widząc, jak archeolog nagle zbladł, ręce zaczęły mu drżeć, a oczy niemalże wyszły z orbit.

Młodszy aspirant westchnął ciężko i rękawem koszuli otarł pot z czoła. Dochodziło południe, żar lał się z nieba, a na II Komisariacie Policji przy Pivnej w Gdańsku od rana nie działała klimatyzacja. Co prawda na posterunku były dwa wiatraki-wentylatory, ale jeden stał w gabinecie szefa, drugi w głównym biurze, zaś w pokoju przesłuchań można było co najwyżej otworzyć niewielki lufcik, przez który nawet kot by się nie przecisnął.

Policjant z rezygnacją spojrzął na zatrzymanego. Rudowłosy młodzieniec nie chciał współpracować, nie odpowiedział na żadne pytanie, tylko siedział na krześle ze wzrokiem utkwionym w ścianę.

Sprawa wydawała się prosta, jednak jak to zwykle z prostymi sprawami bywa, mocno się skomplikowała. Funkcjonariusze zwinęli chłopaka za zakłócanie porządku publicznego, po tym jak wdrapał się na fontannę Neptuna i zaczął wykrzykiwać jakieś bzdury. Co prawda było to wykroczenie z artykułu 51 i groziła mu co najwyżej grzywna, ale należało zbadać, czy zatrzymany nie jest pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Bada-

nia wykazały, że nie i w następnej kolejności należało sprawdzić, czy młodzieniec nie znajduje się pod opieką psychiatryczną.

Młodszy aspirant przeniósł wzrok na ekran komputera, gdzie wyświetlone były dane chłopaka. Rudowłósy nazywał się Dariusz Kowalewski, miał dwadzieścia trzy lata i zameldowany był w Gdańsku. Studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, na wydziale teologii i podczas roku akademickiego mieszkał w Lublinie. Widocznie na wakacje przyjechał do domu. Nigdy nie był karany, nie leczył się psychiatrycznie i wszystko wskazywało, że to jednorazowy wybryk. Jednak w tym stanie nie można było go wypuścić i należało odstawić do szpitala na obserwację. Radiowóz niedługo miał go tam zawieźć, ale wcześniej trzeba było powiadomić rodzinę.

– Możesz podać jakiś numer telefonu do swoich rodziców? – zapytał młodszy aspirant i tak jak przypuszczał, nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Próbował odszukać w internetowej książce telefonicznej, ale bez rezultatu. Obecnie, mając do dyspozycji telefony komórkowe, niewielu ludzi używało stacjonarnych, a jeśli już, to mieli zastrzeżone. Oczywiście dla policji nie stanowiło problemu zdobycie tych numerów, ale młodszy aspirant wiedział, że to potrwa.

– *Akar, Akar, Akar* – zamruczał młodzieniec.

– Widzę, że odzyskałeś mowę. Może w takim razie łaskawie mi powiesz, kogo powiadomić, że zamknęli cię w wariatkowie?

Rudowłósy spojrzął na policjanta, a w jego oczach można było dostrzec przerażenie.

– Za późno – wyszeptał. – Nic nas nie uratuje, miasto ogarnie pożoga, a ludzie zapłacą za swoją pogardę i brak szacunku dla Boga. Oni są już wśród nas. Widziałem jednego z nich...

– Kogo?

– Anioła Śmierci.

– Zupełnie ci odjechało. – Pokręcił głową młodszy aspirant.

– Bliski jest dzień, gdy objawi swoją prawdziwą naturę, zmanifestuje swoją moc, a wtenczas nic mu się oprzeć nie zdoła.

Zadzwonił telefon. Policjant miał nadzieję, że wreszcie podstawili samochód i zabiorą stąd tego szaleńca. Nie lubił wariatów, a tych w ostatnim czasie było coraz więcej. Szczególnie w okresie letnim zjeżdżali nad morze, jakby tutaj odnajdywali swoją Mekkę, i głosili przepowiednie. A może w tych bredniach coś było i apokalipsa naprawdę się zbliżała? Na samą myśl o tym młodszy aspirant, pomimo panującego gorąca, poczuł zimny dreszcz na plecach. Wzdrygnął się i podniósł słuchawkę.

– Co?! – po dziesięciu sekundach rzucił do telefonu, a jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu. – Mam go wypuścić?

Policjant odłożył słuchawkę i podrapał się po głowie. Nic z tego nie rozumiał. Chłopak był zagrożeniem nie tylko dla samego siebie, ale również dla otoczenia, a pomimo to miał zostać natychmiast uwolniony. Podobno rozkaz przyszedł z komendy wojewódzkiej.

Młodszy aspirant nie zwykł podważać kompetencji przełożonych, wzruszył więc tylko ramionami i odprowadził młodzieńca do wyjścia. Zamykając za nim

drzwi, nie zauważył zaparkowanego po drugiej stronie ulicy czarnego BMW. Chwilę potem wysiadło z niego dwóch potężnie zbudowanych, krótko obstrzyżonych mężczyzn, podszli do rudowłosego i pociągnęli go do samochodu.

– Pan ze mnie kpi! – krzyknął Aleksander Bonc-
-Chojnarski, a jego twarz z bladej zrobiła się nagle purpurowa. – Co to ma znaczyć? To jakiś studencki żart? Proszę natychmiast wyjść!

Zaskoczony Andrzej spoglądał na profesora, zastanawiając się, co go tak zdenerwowało. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął legitymację służbową i podał ją archeologowi.

– Niech się pan uspokoi – rzekł. – Naprawdę jestem oficerem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i nie żartuję sobie z pana.

Bonc-Chojnarski długo przyglądał się legitymacji, wreszcie jego oblicze złagodniało, ale drżenie rąk nie minęło.

– Niech pan spokojnie powie, co się stało? – rzekł Kamiński.

– Musicie mi je pokazać... – Profesor oddał legitymację. – Muszę na własne oczy obejrzeć te przedmioty, zbadać je i stwierdzić, czy to nie falsyfikaty.

– Niestety, w obecnej chwili jest to niemożliwe. Trwają czynności śledcze, zabezpieczanie śladów, ściąganie odcisków palców. Gdy tylko wstępne procedury zostaną dopełnione, na pewno zostanie pan powołany jako

ekspert do zbadania antyków. Na razie jednak musimy opierać się na zdjęciach wykonanych przez ekipę zabezpieczającą. Czy na ich podstawie może mi pan powiedzieć, z czym mamy do czynienia?

Profesor milczał, ponownie przeglądając polaroidy. Od czasu do czasu któremuś baczniej się przyglądał, kręcąc w niedowierzaniu głową.

– To nie mogą być podróbki – odezwał się dopiero po kilku minutach. – Żaden fałszerz nie oddałby tak wierne wszystkich szczegółów, niuansów kulturowych i ducha danej epoki.

– Proszę mi coś opowiedzieć o tych przedmiotach.

– Napije się pan?

– Nie, dziękuję, ale proszę się nie krępować.

Aleksander Bonc-Chojnarski otworzył dolną szafkę biurka, wyciągnął z niej butelkę wiśniowej nalewki i kieliszek. Drżącymi rękoma nalał do pełna. Pił małymi łydkami, nie spuszczać oczu z fotografii.

– Proszę spojrzeć na te misterne zdobienia. – Wskazał palcem zdjęcie pugińału z rękojeścią wysadzaną klejnotami. – Jeśli to falsyfikat, to najwyższej jakości.

– Co to jest?

– Sztylet ofiarny używany przez kapłanów bogini Tانيت. Proszę spojrzeć na pozostałe zdjęcia. Naszyjnik ze złota, srebrne ozdoby, flaszeczki na pachnidła, pojemniki na biżuterię, wazy gliniane, figurki z brązu i kości słoniowej. Wszystkie przedmioty pochodzą z Bliskiego Wschodu, podejrzewam, że z czasów świetności Kanaan. Oznacza to, że mają około czterech tysięcy lat.

– Więc mamy tu raczej do czynienia z przemysłem dzieł sztuki, niż przedmiotami kultu religijnego?

– Zależy, jak na to spojrzeć – odparł profesor, wygrzebując zdjęcie figurki przedstawiającej postać mężczyzny o ciele pokrytym srebrem i z twarzą pokrytą warstwą złota. – To posążek Baala wykonany z brązu. Najczęściej przedstawiano go w wysokim, szpiczastym hełmie z rogami, kroczącego z podniesioną prawicą i wysuniętą do przodu lewą ręką.

– Czy Baal to przypadkiem nie Belzezub?

– Bzdura! – archeolog prychnął gniewnie. – To mit utrwalany przez klechów. Baal to kananejski bóg urodzaju i deszczu, utożsamiany z burzą. Opiekun rolników i ich płodów. Dbał o swoich wyznawców, nawadniając ich pola, regulując pogodę i przynosząc obfite plony. Z kultem Baala związane były wspaniałe festyny, procesje religijne oraz uroczystości ofiarne. Jednakże ofiar nie składano z ludzi, jak kłamliwie rozpowszechniają to chrześcijanie, lecz z płodów rolnych. Jego imię stanowiło składnik kananejskich, izraelskich i fenickich imion. Syn króla Saula miał na imię Eszabaal, a największym bohaterem Kartaginy był Hannibal.

– Skąd zatem jego powiązanie z demonem?

– W drugim tysiącleciu przed naszą erą Kanaan zostało podbite przez koczownicze plemiona Izraela. Hebrajczycy przynieśli ze sobą nową religię, wiarę w jedyne boga, zwanego Jahwe. Zniszczono ołtarze starych bóstw, łamano stele wzniesione na ich cześć, palono aszery i rąbano na kawałki posągi. Jednakże na podbitych ziemiach kult Baala nadal się szerzył i trudno go było wyplenić. Starotestamentowi prorocy z przerażeniem dostrzegli, że ich naród powoli ulega wpływom kananejskiej religii i uciekli się do najpodlejszej manipulacji.

Mieszkańcy Kanaan często nazywali swego boga Baal-Zebub, co można było przetłumaczyć jako Baal-Księżę, lecz po hebrajsku zebub oznaczało muchę. Dorobili do tego ideologię zła i przechrzcili boga miłującego pokój na demona.

– Nie wiedziałem o tym.

Aleksander Bonc-Chojnarski uśmiechnął się krzywo.

– Tego na lekcjach religii nie uczą.

– Czyli te przedmioty oprócz charakteru kolekcjonerskiego, mogą również posłużyć do ceremonii religijnych odradzającego się kultu Baala?

– Tego wykluczyć nie można – odparł profesor. – Jednak sądzę, że są to prywatne zbiory jakiegoś hobbysty. Rad byłbym go poznać.

– A tabliczki? – Andrzej wskazał plik zdjęć, przedstawiających gliniane tabliczki pokryte rzędami dziwnych znaków.

Profesor upił łyk nalewki, pogładził się po brodzie i dopiero po chwili odpowiedział.

– Przypominają te znalezione podczas odsłaniania Ugaritu, leżącego pod wzgórzem Ras Szamra. Pierwsze z nich odkopano w 1929 roku w ruinach olbrzymiej budowli, która okazała się być domem najwyższego kapłana. Prowadzący wykopaliska francuski archeolog Claude Schaeffer natknął się tam na bogaty zbiór dokumentów gospodarczych, słowniki, inwentarze, pisane hieroglifami egipskimi, pismem linearnym B, jak również nieznanym dotąd pismem kananejskim. Na glinianych tabliczkach, nieprzekraczających czterdziestu centymetrów wysokości, wyryto znaki, które co jakiś czas się powta-

rzały, ale tym razem nie oznaczały całych słów lub sylab, a pojedyncze litery.

– Zatem można rzec, że to Kananejczycy wymyślili pierwszy alfabet – wtrącił Kamiński, obawiając się, że archeolog zaraz uraczy go kolejnym wykładem. – Czy znaki na tabliczkach ze zdjęć są takie same jak na tych znalezionych w Ras Szamra?

– Tego nie jestem pewny – odparł profesor. – Muszę je porównać, skonsultować się z autorytetami w tej dziedzinie...

– Jak długo to potrwa?

Aleksander Bonc-Chojnarski bezradnie rozłożył ręce.

– Może kilka godzin, może dni, a kto wie, czy nie tygodnie? Musi pan wiedzieć, że niewielu badaczy zajmuje się tą tematyką. Nie będzie łatwo. Mogę zatrzymać zdjęcia?

– Oczywiście. – Andrzej sięgnął do aktówki, wyciągnął płytę DVD i podał archeologowi. – Proszę, tutaj są też w wersji elektronicznej, będzie mógł pan je powiększyć... Dysponuje pan komputerem, prawda?

Profesor roześmiał się.

– Co prawda my, archeolodzy, większość życia grzebiemy w ziemi i otaczamy się antykami, ale proszę mi wierzyć, wiemy, co to nowoczesna technika.

– Dziękuję za informacje. – Kamiński wstał, wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał ją profesorowi. – Jeśli dowie się pan czegoś, proszę o telefon. Będę w Gdańsku przez kilka najbliższych dni, więc w każdej chwili mogę ponownie pana odwiedzić.

Bonc-Chojnarski mechanicznie schował wizytówkę do szuflady biurka i tylko odburknął coś pod nosem, bo całą uwagę poświęcił już przeglądaniu fotografii.

Andrzej wyszedł cicho z gabinetu, zostawiając profesora pograżonego w świecie starożytnych tajemnic.



Kamiński zjadł obiad w „Restauracji Kresowej”, gdzie zamówił barszcz ukraiński oraz ruskie pierogi, następnie w Rossmannie kupił piankę do golenia oraz maszynki jednorazowe i wrócił do hotelu. W niewielkim, jednoosobowym pokoju, gdzie mieściły się tylko łóżko, szafa i regał z telewizorem, mógł wreszcie zrzucić ubranie, wziąć prysznic, przebrać się w dżinsy i T-shirt. Otworzył szeroko okno. Dochodziła dwudziesta, lecz upał nadal nie ustępował.

Włączył telewizor i położył się na łóżku. Właśnie skończyły się wiadomości i rozpoczął jakiś amerykański film sensacyjny. Andrzej próbował wciągnąć się w fabułę, ale była na tyle kretyńska, że zaczął myśleć o sprawie.

W piątek, na Bałtyckim Terminalu Kontenerowym w Gdyni, celnicy przejęli kontener, który przybył z Latakii na statku „Tychy”, należącym do Pol-Levanta, jednego z największych polskich armatorów. Według oficjalnej wersji urząd celny zaczął coś podejrzewać, gdy kierowca nie zjawił się po odbiór kontenera, a spedytor nie chciał płacić za dodatkowy postój na placu. Zdjęto plombę, otwarto drzwi i oczom celników ukazały się dzieła sztuki. Nie było ze strony policji doniesień na temat rabunku

tego typu przedmiotów, ale na wszelki wypadek sprawdzono, czy Interpol lub Europol czegoś o tym nie wiedzą. Okazało się jednak, że żadne z muzeów nie zgłaszało zaginięcia ani kradzieży eksponatów. Próbowano dotrzeć do odbiorcy towaru, ale w dokumentach nie znaleziono jego danych. Spedytor oczywiście posiadał jego nazwisko, ale okazało się fałszywe.

Kontener miał zostać dostarczony do Straszyna, miejscowości leżącej zaledwie kilka kilometrów od Gdańska, ale pod podanym adresem policjanci znaleźli tylko pustą parcelę. Zapewne odbiorca właśnie tam zamierzał przeładować towar na własny samochód. W porcie tego zrobić nie mógł, bo od razu wyszłoby na jaw, że zamiast mienia przesiedlenia w kontenerze znajdują się antyki.

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że kierowcę, który miał podjąć kontener i dostarczyć go na miejsce przeznaczenia, znaleziono martwego na trasie A1, niedaleko wsi Rulewo. Andrzej dzisiaj miał otrzymać e-mailem raport z sekcji zwłok.

Podniósł się z łóżka, wyciągnął z podróżnej torby laptopa i podłączył się do internetowego gniazdka. Piętnastocalowy ekran Aspire'a 3690 zamigotał i pojawił się na nim znaczek Windowsa. System operacyjny załadował się po dwóch minutach i Kamiński mógł wreszcie odebrać pocztę elektroniczną. Niestety, skrzynka odbiorcza prócz spamu nie zawierała żadnych wiadomości. Andrzej stwierdził, że jutro z samego rana zadzwoni do patologa i zażąda dokładnego raportu. O ile mógł zrozumieć zabójstwo kierowcy, bowiem najwyraźniej komuś bardzo zależało na tym, żeby kontener nie trafił do odbiorcy, to już bestialstwa, z jakim dokonano zbrodni,

już nie. Dlaczego przestępcy po prostu nie wpakowali mu kulki w łeb? Po jaką cholere masakrowali ciało? Na te pytania Kamiński chciał znaleźć odpowiedź, czując, że tu leży klucz do rozwiązania sprawy.

Westchnął ciężko i zamknął program Outlook Express. Poszukiwaniem sprawy niech się zajmie policja, on musiał znaleźć właściciela tajemniczej przesyłki. Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego zaniepokoiła zawartość kontenera, gdyż od dłuższego czasu mówiło się o działającej w Polsce niebezpiecznej sekcie religijnej o podłożu militarnym. Artefakty mogły być przedmiotem kultu, a od kultu tylko jeden krok do fanatyzmu. Przełożeni Andrzeja obawiali się drugiego Davida Koresha, uważającego się za wcielenie Mesjasza, który w 1993 roku zgromadził prawdziwy arsenał broni i wraz ze swymi wyznawcami zabarykadował się na farmie w Waco w Teksasie. Podczas oblężenia przez FBI farma stanęła w ogniu i życie straciło osiemdziesiąt osób.

W ostatnim czasie jak grzyby po deszczu wyrastali nawiedzeni prorocy przepowiadający rychłą zagładę świata i na potwierdzenie własnych słów gotowi byli sami sprowokować jakąś małą, lokalną Apokalipsę. Chętnie pomagały im w tym organizacje terrorystyczne. Przywódcy sekt posiadali charyzmę, znali techniki manipulacji i zdobywali sobie rzesze wiernych. Zresztą, nie było się czemu dziwić. Zbliżał się osławiony rok 2012, w którym zgodnie z przepowiedniami Majów miał nadejść koniec świata i w związku z tym ludzie potrzebowali otuchy, jaką może dać tylko religia. Atmosferę nakręcały kolorowe szmatławce, kiepskie filmy i różnej maści ezoterycy wietrzący łatwy zarobek. Andrzej był

pewien, że żadna Apokalipsa nie nastąpi, a ci którzy nieopatrznie wzięli kredyty, licząc, że nie będą musieli ich spłacać, mocno się zdziwią.

Jednakże w ciągu najbliższych dwóch lat służby bezpieczeństwa na całym świecie będą miały pełne ręce roboty. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zareagowała bardzo szybko na zagrożenie, powołała departament, w którym monitorowano wszelkie podejrzone stowarzyszenia religijne, zapobiegano powstawaniu sekt i kasowano je w zarodku. Dlatego po pierwszej informacji o tajemniczej przesyłce z Latakii wysłano Andrzeja do Trójmiasta.

Do gdyńskiego portu dotarł wczorajszego dnia, późnym popołudniem, gdy zakończyły się już wstępne czynności śledcze, ale zdążył jeszcze obejrzeć towar i zrobić zdjęcia. Następnie kontener zaplombowano i odstawiono na cargo, gdzie pilnowała go policja do czasu ustalenia, skąd pochodzą dzieła sztuki.

Andrzej otworzył katalog dotyczący sprawy i raz jeszcze przejrzał dostarczone mu przez centralę zeskanowane rejestry portowe, dokumentację celną i spedycyjną w nadziei, że natknie się na coś, co wcześniej przeoczył. Zajęło mu to pół godziny i niczego nowego nie znalazł. Zrezygnowany chciał już zamknąć komputer, gdy nagle uświadomił sobie, że nie przejrzał jeszcze manifestu wyładunkowego statku „Tychy”. Dokument tworzony był w Latakii i może syryjscy spedycytorzy mieli więcej danych na temat właściciela towaru. Niestety, okazało się, że nie posiada manifestu w wersji elektronicznej. Postanowił, że jutro z samego rana pojedzie do gdyńskiego portu i zażąda wglądu w dokumentację.

Podniósł się z łóżka i podszedł do okna. Zmierzchało. Na poszarzałym niebie, powoli okrywającym się płaszczem nocy, leniwie wschodził księżyc, pojawiły się pierwsze gwiazdy, blade i mizerne, przytłumione blaskiem wielkomijskich świateł. Po Długim Nabrzeżu spacerowali jeszcze turyści, korzystający z ciepłego wieczoru, w pubach zebrała się młodzież i od czasu do czasu rozlegały się głośne śmiechy, które niesione przez rzekę docierały do dwóch wysp położonych na Motławie.

Pierwsza z nich, Ołowianka, niegdyś nazywana Szafarnią, gdyż w czasach krzyżackich stały tam budynki szafarza zakonnego, widoczna była na lewo z okna Andrzeja. W średniowieczu z zamkiem znajdującym się po drugiej stronie rzeki łączył ją most. W późniejszych czasach postawiono na wyspie magazyny do przechowywania ołowiu, zakłady ciesielskie, a obecnie mieściło się na niej Centralne Muzeum Morskie i Filharmonia Bałtycka.

Druga z wysp, widoczna na prawo, nosiła miano Wyspy Spichrzów i jak sama nazwa wskazywała, była to dzielnica przemysłowa, na której mieściły się spichrze. Ponoć w XVI wieku było ich ponad trzysta. W 1945 roku wyspa została niemal całkowicie zniszczona przez wkraczającą do Gdańska Armię Czerwoną. Odbudowano zaledwie kilka budynków, a w środkowej części wyspy postawiono stylizowane kamienice. Jednakże sporą część nadal zajmowały ruiny przedwojennej zabudowy.

Andrzeja przeszedł dreszcz. Nie wiedział, czy to z zimna, czy na widok majaczących w ciemnościach, strzaskanych ścian potężnych niegdyś budowli. Miał

wrażenie, jakby ktoś mu się stamtąd przyglądał, uważnie obserwował każdy jego ruch i czekał. Kamiński pokręcił głową. Wiedział, że to tylko wyobraźnia podsycana przez zmęczenie, późną porę i niezwykłą scenerię.

Kładąc się spać, zasunął szczelnie zasłony.

Józek nie mógł zaliczyć dzisiejszego dnia do udanych. Tych kilka groszy, jakie wyzebrał na starówce, nie starczyło nawet na wino, nie mówiąc już o jakimś jedzeniu. Dwukrotnie straż miejska przepędzała go z ulicy Długiej, a przecież właśnie tam kręciło się najwięcej nadzianych turystów. Większość z nich omijała go szerokim łukiem, widząc obszarpanego, śmierdzącego dziada, lecz byli tacy, którzy chcąc poczuć się lepszymi niż są w rzeczywistości, lub dla spokojności własnego sumienia, wrzucali mu do plastikowego kubeczka złotówkę lub dwie. Niestety, nie dzisiaj. Dzisiaj Józek miał się położyć spać trzeźwy i głodny.

Rozejrzał się uważnie, czy gdzieś nie ma policji, przeszedł przez dziurę w płocie i znalazł się na terenie zrujnowanych spichrzów. Wstęp był wzbroniony, ale mało kto zakazu przestrzegał. W ciągu dnia wśród ruin chowały się dzieciaki będące na wagarach, zakochane pary, którym podczas miłosnych uniesień nie przeszkadzały walające się wokół śmieci, oraz wędkarze, gdy chcieli w zaciszu łyknać wódeczki. W nocy zaś wyspa stawała się noclegownią dla takich jak on. Osłonięci od wiatru, wśród zdewastowanych budynków, pokrzepieni tanim winem, zapadali w sen, marząc o lepszym życiu.

Nie zawsze tak było. Józek miał niegdyś żonę, mieszkanie, pracę, był szanowanym wykładowcą na uniwersytecie. Wszystko zmieniło się na początku lat dziewięćdziesiątych, razem z ustrojem. Jego przyjaciele bardzo szybko odnaleźli się w nowej rzeczywistości, pozakładali firmy, robili mniejsze i większe biznesy, bo pieniądze wtedy leżały na ulicy, wystarczyło się po nie tylko schylić. Mówiono, że jedynie nieudacznicy nie potrafili się dorobić w epoce młodego, polskiego kapitalizmu. I Józek do nich należał.

Codziennie wysłuchiwał wymówek żony, że nie stać ją na markowe ciuchy w galeriach handlowych, że sąsiad jeździ fordem, a oni zdezelowanym „maluchem”, że znajomi stawiają dom pod Gdańskiem, a ich kawalerka już dawno przestała zasługiwać na miano mieszkania, że sąsiedzi na wakacje do Hiszpanii jadą, a oni na wieś do rodziny. A Józek nie miał smykałki do interesów, nadal zarabiał grosze na uczelni i pomimo doktoratu nie był mężczyzną perspektywnym. Żona odeszła od niego, związała się z właścicielem sieci butików i od tamtej pory nosiła najlepszej jakości ubrania przywiezione z Paryża, jeździła japońskimi samochodami i mieszkała w luksusowej willi.

Józek, przygnieciony nieszczęściem, zaczął pić i zanim się zorientował, wpadł w nałóg po uszy. Najpierw stracił wszystkich przyjaciół, potem pracę, aż w końcu mieszkanie i znalazł się na bruku. Trzykrotnie poddawał się leczeniu, raz nawet otrzymał pokój w domu opieki społecznej, ale próby ułożenia sobie życia nieodmienne kończyły się klęską. Po miesiącu ponownie sięgał po alkohol, co w konsekwencji oznaczało powrót na ulicę.

Józek obszedł wokół teren, mając nadzieję spotkać kogoś ze znajomych kloszardów, kto poczęstowałby go kromką chleba, a może nawet kilkoma łykami taniego wina, ale niestety był na wyspie sam. Zawiedziony, wcisnął się w ruiny starego spichrza, znalazł kawałek kartonu i położył się. Spoglądał na drugą stronę Motławy, gdzie po Długim Nabrzeżu w blasku latarni spacerowali turyści. Czyści, schludni, bogaci. Należeli do innego świata, do którego Józek nie miał już wstępu. Łza spłynęła po jego brudnym policzku i jak nigdy dotąd zapragnął się upić, pograć w zapomnieniu. Po raz kolejny pomyślał o samobójstwie. Coraz częściej wyobrażał sobie, jak przywiązuje sobie kamień do szyi, skacze do rzeki, a mętne wody Motławy zamykają się nad nim niczym wieko trumny. I przestanie wreszcie czuć.

Nagle jego rozmyślania przerwała jakaś postać zbliżająca się do kryjówki. W pierwszej chwili pomyślał, że to może któryś z kamratów, ale człowiek ów szedł dumnie wyprostowany, pewnym krokiem, tak nietypowym dla gdańskich dziadów. Potem pomyślał, że to policjant, który zaraz go spisze i wygoni z wyspy, ale nie dostrzegł na nim munduru. A może to któryś z tych psychopatów wyżywających się na bezbronnych? Już kiedyś miał do czynienia z takim gnojkiem, który chciał się dowiedzieć, jakie to uczucie skatować człowieka. Józek został skopany do nieprzytomności i ledwie uszedł z życiem. Dwa tygodnie spędził w szpitalu, z wstrząśnieniem mózgu i połamanymi żebrami. Postanowił, że tym razem nie da się tak łatwo. Zerwał się z ziemi, chwycił leżący nieopodal żelazny pręt i stanął w postawie bojowej, niczym rycerz

na filmach, które oglądał w czasach, gdy posiadał jeszcze telewizor.

– No chodź tu, gnoju! – krzyknął. – Już ja cię urządzę.

Przybysz zatrzymał się i przechylił lekko głowę. Było ciemno, ale Józek mógłby przysiąc, że nieznajomy intensywnie się w niego wpatruje, niczym zwierzę, które zwąchało zdobycz. Zadrżał. Nagle zdał sobie sprawę, że być może nie ma do czynienia z człowiekiem, ale z jakimś upiorem, demonem w ludzkiej skórze. Cofnął się krok, ale był za bardzo przerażony, żeby odrzucić pręt i zacząć uciekać.

Tymczasem tajemnicza postać ruszyła w jego stronę. Zbliżała się powoli, ostrożnie stąpając po nierównym terenie, wiedząc, że ofiara nie ma żadnych szans. Zza chmur wyłonił się księżyc, a w jego blasku Józek dostrzegł blade oblicze, czarne oczy pałające żądzą mordy i obnażone kły. Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy dziwna kreatura znienacka doskoczyła do niego i uderzyła szponiastymi palcami. Upadł z rozerwaną tętnicą szyjną.

Józek czuł, jak powoli uchodzi z niego życie, i wiedział, że to już koniec. W jego gasnących oczach można było wyczytać ulgę. Wreszcie będzie wolny od alkoholowego nałogu, nieznosnej egzystencji stawiającej go na samym dnie ludzkiej społeczności i palących wspomnień. Zakrztusił się krwią, umierał. Zastanawiał się, co za chwilę ujrzy po drugiej stronie. Może legendarny tunel i światło na końcu, które go przygarnie, otulając boską miłością? Może twarz anioła prowadzącego go do krainy wiecznej szczęśliwości? A może jedynie przerażającą pustkę?

Morderca pochylił się nad Józkiem, przyłożył dłoń do jego piersi, jakby chciał go ukoić, wyszeptał modlitwę w jakimś zapomnianym, gardłowym języku i nagle jednym gwałtownym szarpnięciem wyrwał mu serce. Nie zważając na ciekącą krew, resztki wyrwanych tkanek i zwisające luźno żyły, zaczął je zjadać. Gdy już się nasycił, podniósł głowę, wężąc niczym dzikie zwierzę w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Wyszczrzył zęby w straszliwym uśmiechu i podszedł nad brzeg Motławy.

Nastała noc. Światłość ustąpiła miejsca ciemności, w tej odwiecznej walce toczonej od zarania dziejów. Mrok spowił całą okolicę, wdzierając się w najgłębsze zakamarki kamienic, do ludzkich snów, do ich myśli i pragnień. Nieprzenikniony, tajemniczy, jak osobnik stojący na Wyspie Spichrzów, spoglądający na drugą stronę rzeki, wpatrujący się w jedno z okien hotelu „Hanza”.



ROZDZIAŁ 2

ŚRODA, 14 LIPCA 2010 R.

Andrzej śnił o potężnych kamiennych murach, o świątyniach dawno zapomnianych bogów, strzelistych zikkuratach wznoszących się w górę trzema kondygnacjami tarasów. Śnił o śniadych ludziach pracujących na polach jęczmienia, plantacjach oliwek i między drzewkami cytrusowymi, pod palącym słońcem, które było jakieś inne, młodsze o kilka tysięcy lat. Niemal namacalnie odczuwał jego ciepło, unoszący się wszędzie zapach figowców i powiew morskiego wiatru na twarzy. Zdawał sobie sprawę, że to tylko sen, ale sen niezwykle realny.

Spojrzał na majaczący w oddali port, do którego przybijały statki handlowe zbudowane z mocnego cedrowego drewna, napędzane przez wiosłujących niewolników, a niektóre nawet posiadające żagle. Wyładowywano z nich towary z Cypru, Egiptu i Krety. Andrzej wiedział, że w niewytłumaczalny sposób, jakąś częścią swojej jaźni, a może również cieleśnie, znalazł się w Ugarcie – samym sercu ziemi kananejskiej.

Przekroczył bramy miasta, minął królewską stajnię, mogącą pomieścić ponad trzysta koni i dziesiątki rydwanów bojowych, ruszył wzdłuż olbrzymich spichrzów, gdzie przechowywano gliniane dzbany z oliwą, winem oraz naczynia z pachnącymi olejkami. Wędrował dzielnicą rzemieślników, wąskimi uliczkami, obok których biegnęły przemysłne, zbudowane z kamienia kanały doprowadzające wodę deszczową do mieszkalnej części miasta. Przyglądał się mijanym ludziom. Kupcy głośno zachwalali swoje towary, mając w ofercie nie tylko ozdoby, tkaniny, przedmioty codziennego użytku, ale również konie, osły i owce, które szwendały się po ulicach. Brodaci tragarze, niosąc dzbany na ramionach, przeciskali się przez tłum, próbując dotrzeć do kramów, gdzie mogli liczyć na łyk zimnej wody i krótki odpoczynek, lecz zaraz posyłani byli do kolejnych prac. Upudrowane i uszmkowane elegantki w szatach z hurycyckiej tkaniny lub amoryckiego materiału z zaciekawieniem zerkały do pracowni artystów, złotników i brązowników. Nie wrócą z zakupów bez nowej ozdoby, szkatułki na biżuterię, flakoniku perfum, których zapach oczaruje mężów lub kochanków, rozpalając w nich płomień pożądania. A być może zdecydują się na płaskorzeźby z kości słoniowej, alabastrowe wazy, sprowadzone zza morza naczynia z fajansu i postawią je w domu na honorowym miejscu dla wzbudzenia zawiści wśród gości.

Andrzej zostawił za plecami rzemieślnicze warsztaty, kramy kupieckie i wkroczył do dzielnicy mieszkalnej. Powiał go cisza i spokój. Głęboko wciągnął świeże powietrze, a wraz z nim zapach kwiatów posadzonych w ogrodach. Z zaciekawieniem przyglądał się okazałym

domom, dziedzińcom, na których stały obmurowane studnie nakryte ozdobnymi płytami kamiennymi z otworem pośrodku i osłonięte daszkami. Obok nich znajdowały się duże kamienne kadzie na wodę.

W otoczonej niewysokim murem winnicy dwie piękne, ogorzałe słońcem dziewczęta pielęgnowały krzewy, śmiejąc się przy tym i rozmawiając w gardłowym, chrapliwym języku. Andrzej pomachał im ręką, ale nie odpowiedziały. Zdawały się w ogóle go nie dostrzegać. Cóż, przecież to tylko sen.

Andrzej szedł dalej piaszczystą drogą, aż wreszcie doszedł do olbrzymiego domu z licznymi tarasami. Stał przed masywnym portalem i strzegącymi wejścia rzeźbami skrzydlatych maszkar. Bez obaw pchnął ciężkie, drewniane drzwi i przekroczył próg domostwa.

Znalazł się w obszernym holu, wśród ścian pokrytych błękitną glazurą, ozdobionych fryzami i alabastrowymi płaskorzeźbami. Nikogo nie zastał. Dom wydawał się opuszczony.

Kamiński bez udziału własnej woli ruszył przed siebie, czując się niczym marionetka w rękach kuglarza. Obszedł schody prowadzące na pierwsze piętro, wiedząc, że tam znalazłby sypialnię, i wszedł do piwnicy. Ogarnął go mrok. Nagle w ciemności rozbłysły łuczywa, jednak nie dostrzegł tego, kto skrzesał ogień. Nadal był sam w dusznym, ciasnym korytarzu o sklepieniu z ciosanych kamieni.

Wiedziony przez jakąś tajemniczą moc ruszył przed siebie i po chwili dotarł do niewielkiego pomieszczenia, gdzie stały dziesiątki glinianych dzbanów na oliwę i wino, wazy, figurki, ozdoby z kości słoniowej. Andrzej

był pewny, że znalazł się w magazynie bądź domowym składziku, ale to, co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach. Już wiedział, gdzie jest. W komorze grobowej!

W Ugaricie chowano zmarłych pod mieszkaniem, gdzie w jakiś sposób, w wymiarze duchowym, nadal brali czynny udział w życiu rodzinnym.

Na podłodze, ustawione w kręgu, leżały ludzkie czaszki pustymi oczodołami spoglądające do środka izby. Nagle, jakby wyczuły obecność intruza, który bezczelnie wdarł się w to święte dla nich miejsce, z przeraźliwym zgrzytem odwróciły się w jego kierunku. Ich oczodoły rozblęsnęły purpurą, głęboką niczym kolor barwionych kananejskich tkanin, ale tliła się w nich również starożytna nienawiść.

Andrzej usłyszał tysiące głosów odbijających się echem w komorze grobowej, piwnicy, budynku, zdawały się rozbrzmiewać w całym mieście, a każdy z nich powtarzał, ciągle i ciągle, jedno tylko słowo:

– *Akar, Akar, Akar...*

Obudził się przerażony. Świtało.

Dariusz Kowalewski, rudowłosy młodzieniec, który poprzedniego dnia wieszczył Apokalipsę z fontanny Neptuna, obudził się cały zmarznięty, z opuchlizną nad okiem, zaschłą krwią na ustach i tęnym bólem głowy. Nie spieszył się z otwarciem oczu, starając się jak najdłużej zatrzymać resztki uciekającego snu, w którym świat nadal był pewną, niezmienną stałą, bezpiecznym miejscem, a nie galopującym koszmarem.

Wreszcie całkiem rozwarł powieki, mierząc się z otaczającą go rzeczywistością. Leżał na podłodze w jakiejś obszernej piwnicy, z rękoma związanymi na plecach. Próbował wyswobodzić dłonie, ale nic z tego, sznur mocno wrzynał się w nadgarstki. Zrezygnowany, tylko westchnął. W jego oczach zatańczyły łzy, żeby za chwilę spłynąć po policzku.

Nie bał się swoich oprawców. Ból, który mu zadawali, nie miał żadnego znaczenia... Żadnego... Był jedynie preludium do symfonii cierpienia, jakiej wkrótce miała doświadczyć cała ludzkość. Dariusz Kowalewski płakał, bo czuł się bezsilny, wiedział, że nic już nie zdoła uczynić, nie zapobiegnie kataklizmowi, nikogo już nie zdoła ostrzec. Jednakże nie wolno mu było tak łatwo się poddawać, musiał wypełnić swoją misję do końca.

Ze związanymi z tyłu rękoma nie jest łatwo się podnieść i młodzieńcowi udało się to dopiero po kilku próbach. Wreszcie, ciężko dysząc, stanął na nogach, uważnie się rozglądając. Nie była to typowa piwnica, a raczej pomieszczenie gospodarcze z niewielkim lufcikiem, przez który sączyło się światło słoneczne. Ściany pomalowano w jasne, pastelowe barwy, zapewne po to, żeby zerwać ze stereotypem ciemnej nory, ale w żaden sposób nie poprawiło to nastroju Dariusza. Na podłodze dostrzegł kartony wypełnione niepotrzebnym już sprzętem kuchennym, pordzewiałymi garnkami, zdemontowanymi kranami, mydelniczkami i innymi przedmiotami, których właściciel z jakichś powodów nie zdecydował się wyrzucić. Pod jedną ze ścian stała stara pralka, dwa górskie rowery, krzesło; po przeciwległej stronie szafa na ubrania oraz regał z zakurzonymi, niepotrzebnymi nikomu książka-

mi. Ściana za schodami cała zabudowana była półeczkami, na których stały butelki z winem.

Nagle młodzieniec, wychowany na filmach o Jamesie Bondzie, wpadł na pewien pomysł. Podszedł do półki, odwrócił się do niej plecami i niezgrabnie, związanymi rękoma, chwycił jedną z butelek. Nie namyślając się, upuścił na betonową podłogę Chateau Marquis de Terme rocznik 2000, sto dwadzieścia siedem złotych za butelkę. Usłyszał trzask pękającego szkła i wstrzymał oddech. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał, starając się wychwycić odgłosy dobiegające z góry, lecz widocznie albo w domu nikogo nie było, albo jego oprawcy jeszcze spali i nie usłyszeli hałasu.

Rudowłosy odetchnął z ulgą. Usiadł na podłodze, wymacał większy kawałek szkła i zaczął niezgrabnie przecinać więzy. Kilkakrotnie syknął z bólu, gdy ostrze ześlizgnęło się po nadgarstku i wtedy krew mieszała się z rozlanym na podłodze winem. W amerykańskich filmach James Bond na uwolnienie potrzebował zaledwie kilku minut, Dariusz Kowalewski męczył się ponad pół godziny. Ale wreszcie udało się i chłopak uwolnił ręce.

Rozmasował obolałe nadgarstki, a następnie ostrożnie dotknął rozbitych ust i łuku brwiowego, sprawdzając wielkość obrażeń. Na szczęście nie było tak źle, pęknięta warga, trochę opuchlizny, która powinna zejść w ciągu dwóch dni. Siniaki pozostaną dłużej, ale student KUL-u w najbliższym czasie nie wybierał się na żadną imprezę. W tej chwili myślał jedynie o tym, jak uciec z tego miejsca.

Wiedział, że niedługo po niego przyjdą. Zaczną znowu wypytywać, grozić, bić, a przecież on im już wszystko powiedział. O tym, że Aniołowie Pana przybyli, żeby

pokarać ludzkość za grzechy, a jedyną szansą na uniknięcie zagłady jest ukorzenie się przed majestatem Boga. A oni mu nie wierzyli, myśleli, że jest naćpany.

A wszystko zaczęło się od tej nieszczęsnej fuchy, którą wziął kilka dni temu. Przyjechał do Gdańska na wakacje i spotkał się ze starym kumplem z czasów liceum. Okazało się, że ten jest dealerem narkotyków i pracuje dla ludzi, którzy trzęsą miastem. Traf chciał, że jego szef akurat poszukiwał kogoś, kto by rozszyfrował tajemnicze inskrypcje. Dariusz, któremu imię zostało nadane na cześć perskiego króla, był nie tylko studentem teologii, ale również zapalonym miłośnikiem starożytnego Wschodu. Przeczytał wszystkie możliwe artykuły i książki na ten temat, zbierał materiały, nauczył się odszyfrowywać hieroglify, a nawet poznał zapomniane alfabety. Można śmiało powiedzieć, że stał się specjalistą w tej dziedzinie. Ponadto, tajemniczy zleceniodawca oferował całkiem niezłą kasę, więc nawet nie trzeba go było namawiać. Jeszcze tego samego dnia dostał materiały, kilka zdjęć dziwnych tabliczek z wrytymi znakami, które miał odczytać. Ochoczo zabrał się do pracy i obłożony książkami, korzystając z Internetu, przesiedział nad tym całą noc. Nad ranem podniósł głowę znad biurka, a w jego oczach tliło się szaleństwo. Wiedział, że już nic nie będzie takie, jak przedtem. Fundamenty jego świata runęły niczym domek z kart. Ogarnęły go wizje, zobaczył tych, którzy kroczą w ogniu, i to, co czeka całe miasto. Wtedy chwycił ze stołu Biblię i wybiegł na ulicę.

To było zaledwie wczoraj, a jemu wydawało się, że minęły wieki. Czasu było coraz mniej, a przecież on musiał ostrzec ludzi. Może jeszcze nie było za późno?

Ostrożnie wszedł po drewnianych, skrzypiących schodach, uważając, żeby nie narobić zbytniego hałasu, i stanął przed drzwiami do mieszkalnej części domu. Pociągnął za klamkę. Tak jak się spodziewał, drzwi były zamknięte na klucz. Ciężko westchnął i zszedł z powrotem.

Zaczął się uważnie rozglądać, potrzebował jakiejś broni, dzięki której miałby chociaż minimalną szansę z oprawcami. Zaczął metodycznie przeszukiwać całą piwnicę, zaglądając w każdy kąt, przerzucając przedmioty w kartonach i po jakimś kwadransie jego wysiłek został ukoronowany. Znalazł młotek! Młodzieniec wiedział, że na niewiele się to zda w starciu z roslymi bandziorami, ale poczuł się pewniej i liczył, że może uda się ich zaskoczyć. Teraz musiał tylko obmyślić plan działania.

Jego spojrzenie skierowało się na jedyne okno w piwnicy. Przystawił pod nie krzesło i wspiał się, sprawdzając, czy zdoła przecisnąć się przez niewielki lufcik. Po dokonaniu przymiarki uśmiechnął się krzywo i młotkiem rozbił szybę.

O godzinie dziewiętej Andrzej Kamiński opuścił hotel, wsiadł do zaparkowanego na strzeżonym parkingu forda mondeo i klucząc uliczkami Starego Miasta, dojechał do głównej magistrali łączącej Gdańsk z Gdynią. Według jego obliczeń powinien dojechać na Bałtycki Terminal Kontenerowy w ciągu niespełna godziny, ale zdawał sobie sprawę z porannych korków i wątpił, że znajdzie

się tam przed dziesiątą. Jego samochód w żółtym tempie posuwał się trzypasmową aleją Zwycięstwa. Po obu stronach znajdowały się domy, biurowce i tak miało być przez cały Gdańsk, Sopot, aż do Gdyni. Nazwa Trójmiasto nie była tylko pusto brzmiącym sloganem.

Usiłował sobie przypomnieć, kiedy był tu po raz ostatni, ale musiało to być dawno, bowiem czas zatarł wspomnienia. Pamiętał jednak kojący szum morskich fal, krzyk mew szybujących pod błękitnym niebem i gorący piasek na plaży. A może to było inne morze, w zupełnie innym kraju, innym czasie?

Natychmiast przypomniał sobie dzisiejszy sen, niezwykle realny, w którym wędrował ulicami Ugaritu sprzed trzech i pół tysiąca lat. Sen był całkiem przyjemny, dopóki nie przerodził się w koszmar. Pamiętał duszną, klaustrofobiczną piwnicę, czaszki ustawione w kręgu i tajemnicze głosy. Podczas snu towarzyszyło mu uczucie potwornego strachu. Andrzej zastanawiał się, co jego podświadomość chciała mu przekazać? Skrzywił się. Tego typu dywagacje mogli sobie snuć studenci psychologii, zaczytujący się we Frommie i Jungu, a nie on, oficer Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Przypomniał sobie, że miał z samego rana zadzwonić do patologa. Kierowca tira zginął dwa dni temu, sekcję zwłok wykonuje się po dwunastu godzinach, więc raport z autopsji powinien już być.

Z kieszeni marynarki wyciągnął telefon komórkowy, podłączył się do zestawu głośnomówiącego i wybrał numer szpitala wojewódzkiego. Kilka razy był przełączany, ale wreszcie udało mu się skontaktować z lekarzem przeprowadzającym sekcję.

– Proszę mi wybaczyć, że nie wysłałem do pana raportu – głos patologa rozbrzmiewał z głośnika – ale nie zostałem poinformowany o prowadzonym przez pana śledztwie.

– Nie szkodzi – odparł Andrzej. – Znając bałagan w centrali ABW, wcale się nie dziwię. Proszę mi powiedzieć, co pan ustalił podczas autopsji.

– Na ciele denata znalazłem kilkanaście głębokich ran ciętych, lecz nie wygląda to na obrażenie spowodowane nożem ani żadnym narzędziem.

– Nie? – zdziwił się Andrzej. – W takim razie czym zadano rany?

Lekarz przez chwilę milczał, jakby się zastanawiał, jak odpowiednio dobrać słowa.

– Zabrzmi to może dziwnie, ale rany zostały zadane pazurami. Ponadto denat miał rozszarpane gardło. Wygląda to na atak dzikiego zwierzęcia.

– W Polsce?!

– Rok temu głośno było o grasującej na Opolszczyźnie panterze. Może i teraz mamy do czynienia z podobnym przypadkiem? Podczas śledztwa proszę sprawdzić, czy z zoo nie uciekło dzikie zwierzę. To jedyne wytłumaczenie. Jeśli pan sobie życzy, mogę przesłać pełen raport drogą elektroniczną...

– Nie, to mi wystarczy – odparł Kamiński. – Dziękuję za informacje.

Andrzej rozłączył się i pogrążył w rozmyślaniach. Doskonale pamiętał śnieżną panterę, nazywaną „Bestią z Mokrej”, która terroryzowała mieszkańców Opolszczyzny. Początkowo swój apetyt zaspokajała, zabijając sarny w lasach, z czasem jednak zaczęła podchodzić pod go-

spodarstwa, by zagryzać świnie i krowy. Ludzie w obawie przed bestią chowali się w domach. Powołano nawet sztab kryzysowy i uzbrojeni policjanci oraz leśnicy przeczesywali lasy w powiecie głubczyckim. Zwierzę długo wymykało się obławie, ale w końcu je odłowiono.

Kamiński układał sobie w głowie hipotetyczną wersję wydarzeń. Założył, że faktycznie z zoo uciekł drapieżnik z rodziny kotowatych i teraz błąkał się w kujawsko-pomorskim. Kierowca tira ujrzał w blasku reflektorów przebiegające przez jezdnię niezwykle zwierzę, zatrzymał samochód i wyszedł z kabiny sprawdzić, z czym ma do czynienia. Pantera czy też puma rzuciła się na niego i zabiła. Było to niezwykle, lecz prawdopodobne, a to, że kierowca miał podjąć kontener z tajemniczym towarem stanowiło czysty przypadek. Andrzej włączył radio i wysłuchał wiadomości, ale nie wspomniano w nich o grasujących po Polsce dzikich kotach.

Po godzinie dojechał do Bałtyckiego Terminalu Kontenerowego, zaparkował przed wieżowcem, w którym znajdowały się biura armatorów, spedytorów oraz celników i wszedł do środka. Pojechał windą na najwyższe, dziesiąte piętro, gdzie znajdowało się serce portu, centrum dowodzenia, dyspozytornia, z której kierowano przeładunkami statków. Kamiński wszedł do obszernego pomieszczenia i mocno się zdziwił, widząc policjantów.



Mężczyzna o zimnych, stalowych oczach stał w łazience i przyglądał się swojemu obliczu w lustrze. Niegdyś czarne jak smoła włosy przyprószyła siwizna, uwypukliły się

zmarszczki na twarzy, ale pomimo tego czterdziestopięcioletni Maks uchodził za przystojnego mężczyznę. Miał prawie dwa metry wzrostu i dzięki codziennym ćwiczeniom na siłowni utrzymywał sprężystość mięśni oraz dobrą kondycję. W jego fachu to była konieczność. Maks, a właściwie Maksymilian Burzyński, był gangsterem.

Zaczynał jako młody chłopak – jeszcze w czasach komuny – od cinkciarstwa, a potem zajmował się przemyceniem kradzionych samochodów z Niemiec. Sporo czasu poświęcał również treningom karate i pod koniec lat osiemdziesiątych został trzykrotnym mistrzem Polski, a na początku lat dziewięćdziesiątych z powodzeniem walczył w zawodowym kick boxingu. Mówiono nawet, że miał szansę stoczyć pojedynkę o mistrzowski pas, ale jak to w sporcie bywa, wszystko rozbiło się o pieniądze i zaszczyt ten przypadł zawodnikowi, który nie dorastał mu do pięt, lecz miał lepszego promotora. Tak więc Maks dorabiał, stojąc na „bramce” w nocnych klubach, lub jako ochroniarz dziwek.

Dzięki swoim umiejętnościom łamania ludziom nosów szybko awansował w mafijnej hierarchii, stając się człowiekiem od „brudnej roboty”. Ściągał haracze, zastraszał, przekonywał nieprzekonanych, a nawet dokonywał egzekucji na tych, którzy żadną miarą nie chcieli przyjąć wizji jego szefów. Jednakże bardzo szybko zorientował się, że prymitywni, obwieszani łańcuchami i chodzący w dresach mafijni bossowie są niczym puszające się pawiany, dla których najważniejsza jest pozycja w stadzie. Biegali po ulicach z pukawkami, wzajemnie podkładali sobie bomby, bo jeden drugiemu wlaźł na jego teren. Nie potrafili zrozumieć, że czas szmugło-

wanych papierosów, alkoholu i kradzieże samochodów to prehistoria, a prawdziwą kasę robi się w białych rękawiczkach na handlu paliwami, wyłudzeniu podatku VAT czy tworzeniu sieci dystrybucji narkotyków. Do tego jednak mafiosi z Wołomina, Pruszkowa i Trójmiasta nie byli mentalnie, jak również intelektualnie, przygotowani. Ale na ich miejsce czekali już inni.

Pomimo że w swojej karierze kick boksera Maks przyjął na głowę mnóstwo ciosów, umysł pracował mu sprawnie, a można nawet pokusić się o stwierdzenie, że był bystrym facetem. Nic więc dziwnego, że zaczął współpracować z konkurencją, a swojego starego pracodawcę – słynnego Nikosia – zastrzelił w gdyńskim klubie Las Vegas. Miało to miejsce dwanaście lat temu i od tego czasu Maks był lojalny tylko wobec jednego człowieka.

Mężczyzna po raz ostatni krytycznie spojrział w lustro, przecesał włosy i wyszedł z łazienki. Najwyższy czas zbudzić dwóch pomagierów: Szczypiora oraz Małego i wziąć się do roboty. Jutro do Trójmiasta wracał szef i będzie oczekiwał wyników.

Zadanie, jakie im zlecił, wydawało się banalnie proste, ale jak to zwykle w takich przypadkach bywa, mocno się skomplikowało. Maks miał znaleźć kogoś, kto odczyta hieroglify ze zdjęć tajemniczych tabliczek przechwyconych w gdyńskim porcie. Dzwonne mu się wydawało tak nagłe zainteresowanie szefa archeologią, ale nauczony doświadczeniem nie zadawał pytań. Szef zawsze wiedział, co robi.

Maksowi sprzyjało szczęście i szybko udało się znaleźć studenta, który umiał rozszyfrować dziwne pismo. Cieszył się, że nie musiał w to wciągać żadnych profesoro-

rów uniwersyteckich, którzy kierując się ambicją zawodową, zaczęliby zadawać pytania. I wszystko wydawało się być w najlepszym porządku do czasu, kiedy student został zatrzymany przez policję za zakłócanie porządku publicznego. Ponoć wdrapał się na fontannę Neptuna i straszyl ludzi nadchodzącą Apokalipsą.

Wystarczyło jednak, że Maks wykonał jeden telefon i chłopaka wypuszczono, ale od tej chwili chciał mieć wszystko pod kontrolą. Pod komisariat wysłał Szczypiora i Małego, żeby studenta przechwycili i przywieźli do willi w Osowej – najdalej położonej dzielnicy Gdańska. Tutaj prośbami i groźbami starali się uzyskać od niego informację na temat przetłumaczonego tekstu. Niestety, odpowiedzi chłopaka, bez ładu i składu, zdawały się bredniami szaleńca, które nic konkretnego nie wnosiły. Maks postanowił, że dzisiaj spróbują ponownie, ale już na spokojnie, bez bicia i krzyków. Z wariatami trzeba jak z dziećmi.

Wszedł do salonu, gdzie uwaleni na kanapach chrapali jego ludzie. Do późnej nocy oglądali filmy na DVD, pijąc tanie piwo i zjadając pizzę. Maks skrzywił się z obrzydzeniem, widząc na stole niedojedzone kawałki i puste butelki. Sam prowadził zdrowy tryb życia, był wegetarianinem, a pijał okazynie jedynie czerwone wino.

Obudził Szczypiora i Małego, którzy kłęli pod nosem, przecierając zaspane oczy. Z zażenowaniem obserwował, jak wciągali dresowe spodnie, koszulki z napisami oraz adidas kupione na bazarze. Żadnej klasy, pomyślał Maks, który zawsze chodził w nienagannie wyprasowanej koszuli i marynarce. Podeszedł do okna i otworzył żaluzje, wpuszczając do salonu więcej światła.

W tej samej chwili z piwnicy dobiegł trzask rozbitnej szyby.

Komisarz policji Tomasz Rafalski był wysokim, flegmatycznym mężczyzną, noszącym popielatą marynarkę, która wyszła z mody kilka lat temu, mniej więcej w tym samym czasie, gdy z beztroskiego kawalera przeistoczył się w przykładowego męża Krystyny, pulchnej blondynki, uważającej, że relacje międzyludzkie buduje się, wygłaszając długie monologi, i ojca małej Jadwisi, niesfornego brzdąca o słodkim uśmiechu. Koledzy z wydziału dochodzeniowo-śledczego wołali na niego Drzewiec, od bajkowego stwora z „Władcy Pierścieni”. Tomasz Rafalski nie przypominał co prawda dębu o chropowatej kory, nie nosił dziko rosnącej brody z włókien drzew, ale podobnie jak owa postać patrzył na wszystkich z wysoka, miał duże, brązowe oczy, kędzierzawe blond włosy i był perfekcyjnie wręcz niepochozny. Jego niepochołość objawiała się nie tylko w niemrawych jak przystało na flegmatyka ruchach, ale również w sposobie prowadzenia spraw kryminalnych. Cechowała go drobiazgowość i skrupulatność, których współpracownicy w nim nie nawidzili, ale za to cenili anielski spokój godny mistrza zen. Mówili o Rafalskim, że gdyby nie został policjantem, byłby doskonałym urzędnikiem. Ale policjantem też był wyśmienitym i jeszcze w tym roku wieszczono mu awans na podinspektora.

Zajęty przesłuchiowaniem wyraźnie zdenerwowanego dyspozytora placu i pilnowaniem dwóch umunduro-

wanych podkomendnych, którzy w sposób uwłaczający jakiegokolwiek metodyce pracy przeglądali dokumenty z nocnej zmiany, dotyczące wyjazdów kontenerów z portu, nie od razu spostrzegł człowieka wchodzącego do dyspozytorni. Dopiero gdy ujrzał legitymację Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, podniósł wzrok na przybysza. Miał przed sobą postawnego bruneta, ubranego w elegancki, czarny garnitur.

– Andrzej Kamiński – przedstawił się oficer. – Proszę mi powiedzieć, co tu się dzieje?

Komisarz podziękował dysponentowi i dopiero gdy zostali sami, przedstawił się i odpowiedział na pytanie:

– Prowadzimy śledztwo w sprawie kradzieży kontenera. Został pobrany z placu i wywieziony z portu około trzeciej w nocy.

– Jakiego kontenera? – zaniepokoił się Andrzej.

Rafalski w zakłopotaniu podrapał się po bujnej blond czuprynie, zastanawiając się, co i ile może powiedzieć.

– Tego ze statku „Tychy”, co go celnicy przechwycili...

– Przecież po rewizji celnej został opieczętowany i odstawiony do specjalnego sektora pod ochroną policji – przerwał rozgniewany Kamiński. – Jakim cudem?!

– Proszę się uspokoić – szepnął komisarz, pochylając się nad nim jak Drzewiec nad hobbitem. – Wszyscy na nas patrzą.

Andrzej zauważył, że pracownicy portu zerkają na nich ukradkiem, i wraz z komisarzem odeszli na bok.

– Cały czas badamy sprawę – mówił dalej Rafalski. – Kierowca, który go wywiózł, posiadał wszystkie wymagane zezwolenia z urzędu celnego i Wojewódzkiej Komendy Policji. Zapewne dokumenty były podrobione.

Kamiński pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć w to co słyszy. Wiedział, że w policji pracują głupcy, ale nie spodziewał się, że aż tacy.

– A kto zlecił pobranie kontenera?

– Właśnie to sprawdzamy – odparł komisarz, wskazując brodą policjantów przeglądających raporty.

– Przecież dyspozytor placu powinien mieć to w komputerze.

Komisarz skrzywił się w ironicznym uśmiechu.

– O piątej nad ranem nastąpiła awaria systemu i wszystkie dane z serwera zostały wykasowane.

– Kopie zapasowe?

– Nic z tego. Wykonywane są dopiero o siódmej rano, gdy do pracy przychodzą informatycy.

– Kurwa mać!

Rafalski spojrzał na Andrzeja z dezaprobatą, jak na kogoś, kto popełnił gafę w towarzystwie, zdegustowany nie tyle językiem swojego rozmówcy, co brakiem opanowania. Kto jak kto, ale oficer ABW powinien umieć trzymać nerwy na wodzy.

– Mamy za to numer rejestracyjny tira oraz zdjęcie kierowcy zrobione z zamontowanej na bramie kamery przemysłowej. Sprawdzamy właściciela samochodu, przeszukiwane są kartoteki kryminalne – zawiesił głos i uważnie spojrzał na Kamińskiego. – Ale jeśli mam być szczerzy, nie sądzę, żebyśmy coś znaleźli. Zapewne okaże się, że tablice były kradzione, a kierowca nigdy nienotowany. Jeśli ktoś zdecydował się na taki numer, na pewno nie był amatorem.

Andrzej musiał przyznać mu rację. Ta sprawa coraz bardziej śmierdziała. Najpierw w tajemniczych okolicz-

nościach ginie kierowca, mający pobrać kontener. Potem okazuje się, że w kontenerze znajdują się dzieła sztuki ze starożytnego Wschodu, aż wreszcie kontener zostaje wywieziony z portu na podstawie sfałszowanych dokumentów. A może zezwolenia nie były fałszywe? Oznaczałoby to, że kradzieży dokonał ktoś pociągający za sznurki nie tylko w Głównym Urzędzie Celnym, ale również w Komendzie Wojewódzkiej Policji. Zwykła łapówka nie wchodziła w grę. Przekupić można było celnika podczas rewizji, policjanta z drogówki, ale nie decydentów. Jeśli tak było w istocie, to sektę, którą Kamiński próbował zdemaskować, tworzyły osoby wpływowe, a kto wie, czy nie obracające się w kręgach politycznych.

– Skąd wiadomo, że zezwolenia były sfałszowane? – zapytał.

Tomasz Rafalski zmrużył oczy, uważnie przyglądając się Andrzejowi i swoim zwyczajem przez dłuższą chwilę milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią, żeby nie była pochopna.

– Poddamy dokumenty dokładnym badaniom, sprawdzimy pieczętki i podpisy. Jeszcze dzisiaj przesłucham celnika, który wydał pozwolenia na zwolnienie towaru z cargo. Spróbuję się również czegoś dowiedzieć w komendzie wojewódzkiej.

– Jak coś pan znajdzie, to proszę o kontakt. – Kamiński podał mu swoją wizytówkę, którą Rafalski dokładnie obejrzał i starannie schował do portfela.

– ABW prowadzi śledztwo w sprawie zawartości kontenera i jego właściciela?

Andrzej tylko skinął głową.

– Natomiast ja szukam złodzieja, który go ukradł. Kto wie, czy nie szukamy jednej i tej samej osoby.

– To bardzo możliwe.

– Na tamtym stanowisku – komisarz wskazał brodą stolik pod oknem – widziałem manifest ze statku „Tychy”. Może się panu przydać.

Kamiński podziękował, podał rękę na pożegnanie i już chciał odchodzić, gdy nagle sobie o czymś przypomniał.

– Czy przypadkiem nie mieliście zgłoszenia o grasującej po okolicach pumie lub panterze?

Zaskoczony Rafalski wybałuszył swoje duże brązowe oczy.

– Co?! – roześmiał się. – O niczym takim nie słyszałem.

Pierwszy do piwnicy zbiegł Szczypior, chyba z racji tego, że miał najdłuższe nogi. Mierzący ponad dwa metry dryblas w kilku zaledwie susach znalazł się w holu, chwycił leżące na komodzie klucze, otworzył drzwi i przeskakując po dwa stopnie, zbiegł na dół. Za chwilę dołączyli do niego Maks i zdyszany Mały, który w przeciwieństwie do Szczypiora był niski i krępy, ale za to lepiej umięśniony.

Rozejrzeli się po pustym pomieszczeniu i od razu spostrzegli rozbity szybę w oknie.

– Spierdolił nam – warknął Mały.

– Przeszukajcie okolicę – rozkazał Maks. – Nie mógł daleko uciec.

Mężczyźni skinęli głowami i pobiegli z powrotem na górę. Słychać było otwierane drzwi wejściowe i tupot stóp na podwórzu.

Chłopak miał do wyboru ukryć się w niewielkim sosnowym lesie, znajdującym się na tyłach posesji, gdzie zakopywali ciała tych, którzy sprawiali organizacji problemy, albo puścić się biegiem przez otwarte pole do zabudowań oddalonych niecały kilometr. Jeśli miał trochę oleju w głowie, powinien uciec do zagajnika, gdzie w gąszczu miał szansę zgubić prześladowców. Jednakże on zapewne wybierze widoczne w oddali domy, w nadziei, że tam znajdzie schronienie i telefon, z którego zadzwoni na policję. Ale żaden z mieszkańców palcem nie kiwnie, widząc obszarpanego, brudnego chłopaka. W tej willowej dzielnicy ludzie byli nad wyraz ostrożni, pilnowali własnego nosa i trzymali się z dala od wszelkich kłopotów. A zadarcie z sąsiadami, co do których nie mieli wątpliwości, że są z mafii, z pewnością byłoby niebezpieczne.

Maks pozostał w piwnicy. Podszedł do rozbitej butelki wina, odgarnął butem kawałki szkła, uważnie im się przyglądając. Ogarnął go smutek na myśl o zmarowaniu dobrego trunku. Westchnął ciężko i ruszył w stronę schodów. Nagle zatrzymał się. Tknięty jakimś przecuciem przystanął i raz jeszcze spojrzął na rozbite okno. Uświadomił sobie, że chłopak nie zdołałby się przez nie przecisnąć. Omiótł spojrzeniem stojącą pod ścianą stertę kartonów, pralkę, górskie rowery, regał z książkami i wreszcie jego wzrok zatrzymał się na starej szafie.

Uśmiechnął się triumfalnie.

Ostrożnie, bez zbędnego hałasu, podszedł do regału, chwycił za uchwyty i gwałtownie szarpnął za drzwiczki. Uśmiech mu zamarł.

Szafa była pusta.

Przez olbrzymie okna dyspozytorni Bałtyckiego Terminala Kontenerowego widać było dobijający do nabrzeża statek okazałych rozmiarów, mający na pokładzie ponad trzy setki kontenerów. Od dziobu i rufy ubezpieczały go dwa niewielkie holowniki, które wydawały się być mikroskopijnymi mrówkami przy potężnym żuku. Cumy zostały rzucone i pracownicy portu sprawnie zaczepili je o betonowe słupy. Spuszczono trap, po którym na statek weszli przedstawiciele armatora oraz celnicy. Gdy tylko odprawa celna dobiegnie końca, podjadą suwnice, opuszczą prowadnicę i zacznie się wyładunek. Ciągniki stały już gotowe na nabrzeżu, żeby odwozić kontenery we wskazane przez dysponentów sektory.

Andrzej Kamiński siedział przy biurku, bezmyślnie spoglądając w okno. Właśnie skończył przeglądać manifest statku „Tychy” i tak jak przypuszczał, nie znalazł w nim nic, co mogłoby mu pomóc. Oprócz numeru kontenera, jego typu oraz tonażu, nie było żadnych informacji o właścicielu ładunku. Przeoczenie? – zastanawiał się Andrzej. Celowe działanie?

Obok Kamińskiego siedział dyżurny dyspozytor, krępy, wąsaty mężczyzna, który od czasu do czasu zerkał na niego nieufnie. Trudno mu się dziwić. Oficer ABW na pewno nie przyszedł tutaj z wizytą towarzyską, ale po to,

żeby szukać, pytać, dochodzić. Pracownik portu obawiał się, że zostaną wykryte jakieś zaniedbania, a to w konsekwencji oznaczało, że polecą głowy. W najlepszym wypadku będzie po premii.

– Dlaczego zezwolono na wyładunek kontenera bez informacji o właścicielu towaru? – Andrzej podsunął manifest pod nos dyspozytora. Mężczyzna w panice przez dobrą chwilę wpatrywał się w literki i cyferki umieszczone przy wskazanej pozycji, wreszcie wypuścił z ulgą powietrze.

– Według procedur wystarczy, że podany jest odbiorca towaru – odparł. – Zresztą i tak wszystkie formalności załatwia firma spedycyjna.

– Nawet w przypadku mienia przemieszczanego?

– A z tym to różnie bywa. Wiadomo, że są to rzeczy osobiste i czasami właściciel sam jest przy odbiorze, ale czasami spedytor organizuje dalszy transport w głąb Polski.

Kamiński z rezygnacją odłożył manifest na biurko i potarł zmęczone oczy. Wyglądało na to, że śledztwo ugrzęzło w martwym punkcie. Nadal nie wiedział, do kogo należą znalezione w kontenerze przedmioty kultu i czy nie stoi za tym jakaś niebezpieczna sekta religijna. Wszystkie tropy zostały starannie zatarte, a na domiar złego kontener wraz z ładunkiem skradziono. Żeby to zorganizować, trzeba było dużych pieniędzy, odpowiednich kontaktów i – nie ma co ukrywać – isticie ułańskiej fantazji. Kamiński uśmiechnął się mimowolnie na myśl o tak zuchwałej kradzieży dokonanej pod samym nosem policji.

Odchylił się na fotelu i mrużąc oczy, wyrzał przez okno, obserwując prace przy rozładunku statku. Pracował w agencji już kilka lat i teraz, gdy wreszcie trafiła mu się sprawa, o jakiej marzył, taka z prawdziwego zdarzenia, nagle zapragnął powrotu za biurko, do katalogowania akt, analizowania nowo zarejestrowanych sekt i Kościołów, śledzenia w Internecie wpisów potencjalnych fanatyków religijnych. Do pracy nudnej, mało kreatywnej, ale gdzie wszystko zawsze układało się w jedną całość i było logiczne. Natomiast ta sprawa mocno go frustrowała i zdawała się być jedną wielką niewiadomą.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że przepadł ładunek, przedmioty kultu, które po analizie mogły naprowadzić na trop właściciela. Pozostały jedynie zdjęcia i wiara, że profesor Aleksander Bonc-Chojnarski może z nich coś rozszyfruje. Ale były to raczej płonne nadzieje.

Nagle w jego umyśle zakiełkowała pewna myśl. Może komuś zależało, żeby kontener nigdy nie trafił w ręce odbiorcy i dlatego kierowca, który miał pobrać ładunek, zginął wcześniej? Oznaczało to dwie skonfliktowane ze sobą strony. Może porachunki mafijne? Albo wojnę przemytniczych gangów? Andrzej wciąż jednak miał więcej pytań niż odpowiedzi.

Wstał z fotela i ruszył w stronę wyjścia. Chciał jeszcze dzisiaj wstąpić do Pol-Levanta, armatora będącego właścicielem statku „Tychy”. Miał nadzieję, że może tam dowie się czegoś więcej.

Maks błyskawicznie odwrócił się, słysząc za sobą kroki. Za późno. Trzonek młotka trafił go prosto w czoło. Oszołomiony zatoczył się do tyłu, opierając plecami o ścianę. Odruchowo zasłonił się przed kolejnym ciosem, zbijając rękę przeciwnika. Krew z rozbitego czoła zalewała mu oczy, więc na osłep wyprowadził kopnięcie proste, mając nadzieję, że trafi w podbrzusze. Niestety, trafiło w próżnię. Napastnik jednak przestraszył się i nie ponowił od razu ataku. Dało to czas Maksowi na odskoczenie pod ścianę, niczym do narożnika boksiniejskiego ringu.

Szybko stał z oczu krew, próbując zogniskować spojrzenie. Wreszcie ujrzał więzionego przez nich studenta. Maks domyślił się, że chłopak wybił szybę w oknie symulując ucieczkę, a sam schował się za kartonami i czekał na odpowiednią chwilę. Liczył na to, że wszyscy pobiegną go szukać, a on w tym czasie bezpiecznie opuści willę. Ale kiedy Maks zaczął przeszukiwać piwnicę, młodzieniec nie wytrzymał nerwowo i wziął sprawy w swoje ręce.

Gangster zaniepokoił się, widząc w ręku chłopaka młotek, ten sam, którym zdzielił go w głowę. Normalnie nie miałoby to znaczenia, poradziłby sobie z gówniarzem bez problemu, ale wciąż był jeszcze zamroczony. Obawiał się, że może stracić przytomność. Miał tylko nadzieję, że nie doznał wstrząśnienia mózgu.

Spojrzał na młodzieńca, zastanawiając się, jak przemówić mu do rozsądku, ale ujrzał blade oblicze, wąskie usta wykrzywione w grymasie wściekłości, oczy, w których tlił się obłęd, i zrozumiał, że nic z tego nie będzie. Chłopak zaszarżował. Widać było, że ogarnęła go furia. Jedyne, czego pragnął, to powalić swojego oprawcę,

przycisnąć go do ziemi i tłuc młotkiem tak długo, aż ten legnie bez tchu.

Maks wiedział, że w takim stanie ludzie gotowi są na każde szaleństwo, nie dbając o własne zdrowie i bezpieczeństwo. Zdał sobie sprawę, że nie zdoła chłopaka obezwładnić i teraz będzie walczył o życie. Wzniósł wysoko gardę i czekał.

W ostatniej chwili, gdy centymetry zaledwie dzieliły go od napastnika, wykonał gwałtowny unik, tak żeby tamten nie zdążył zmienić kierunku natarcia, i wymierzył prawy sierpowy w jego skroń. Koordynacja pozostała jednak wiele do życzenia i pięść zaledwie musnęła włosy studenta. Maksowi zakręciło się w głowie, zatoczył się i żeby nie upaść, ponownie przywarł do ściany. Poczł mdłości, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Oddychał głęboko, starając się nie stracić przytomności.

Tymczasem młodzieniec wniósł młotek do ciosu i ponowił atak. Maks zrozumiał, że ma tylko jedną szansę. Skoncentrował się, zogniskował spojrzenie, próbując ocenić odległość. Zmusił mięśnie do jeszcze jednego wysiłku i wyprowadził okrężne kopnięcie. Trafił chłopaka w głowę.

Maksymilian Burzyński wszystkie walki stoczone na zawodowym ringu wygrał przez KO, a większość z nich dzięki potwornie mocnemu kopnięciu, które powaliłoby na deski nawet słonia. Nic więc dziwnego, że niezbyt wysportowany student bezwładnie runął na ziemię niczym ścięte drzewo.

Maks osunął się na podłogę, przymknął powieki i przez chwilę głęboko oddychał, walcząc z zawrotami głowy. Potem otworzył oczy, na czworakach zbliżył się

do młodzieńca i sprawdził mu puls. Chłopak nie żył i już nic więcej im nie powie. Szefowi się to nie spodoba. Stracili jedyną szansę na przetłumaczenie tekstów. Chyba że student robił jakieś notatki, ale żeby to sprawdzić, będzie się trzeba włamać do jego mieszkania. Ale nie teraz. Teraz Maks potrzebował odpoczynku.

Podniósł się chwiejnie, z trudem wspiął po schodach i rozejrzał się po domu. Szczypior i Mały jeszcze nie wrócili. Wszedł do kuchni, wyciągnął z wiszącej szafki apteczkę, spirytusem przemył ranę na głowie, założył opatrunek i łyknął dwie aspiryny. Następnie poszedł do sypialni, runął na łóżko i dopiero teraz pozwolił sobie na utratę przytomności.

Okazało się, że Pol-Levant nie miał swojego biura w Bałtyckim Terminalu Kontenerowym, lecz w centrum miasta. Siedziba mieściła się na 10 Lutego, najśłoneczniejszej ulicy w Gdyni, a podobno nawet w całej Polsce. Zaczynała się przy dworcu głównym, a kończyła na skwerze Kościuszki, za którym znajdował się już tylko pirs – miejsce, gdzie cumowały statki pasażerskie, tramwaje wodne kursujące na Hel, okręt muzeum ORP „Błyskawica” oraz żaglowce.

Andrzej Kamiński długo krążył po okolicy, szukając miejsca do zaparkowania, bowiem wszystkie były zajęte przez klientów banków, które na 10 Lutego znajdowały się niemal jeden obok drugiego. Wreszcie znalazł niewielki placzyk, gdzie wcisnął się swoim fordem mondeo i wszedł do modernistycznego budynku, w którym nie-

gdys mieściła się siedziba Polskich Linii Oceanicznych, a teraz znajdowały się tu biura armatorów. Portier skierował go na pierwsze piętro.

Ku rozczarowaniu Andrzeja, w Pol-Levancie niczego więcej o tajemniczym ładunku się nie dowiedział. Armator był tylko przewoźnikiem i nie interesowała go zawartość kontenera. Po godzinie bezowocnej rozmowy z dyrektorem ds. logistyki pożegnał się i ruszył do wyjścia. Tutaj jednak zaczął się postawny mężczyzna o rumianej twarzy.

– To pan wypytuje o ten kontener, co go celnicy zatrzymali? – zapytał.

Kamiński skinął głową, podejrzliwie mu się przyglądając.

– Ryszard Formela – przedstawił się, wyciągając dłoń wielką niczym bochen chleba. Andrzej poczuł, jakby jego palce znalazły się w imadle. – Podczas tego rejsu byłem trzecim oficerem na statku „Tychy”. Przyszedłem do biura zdać dokumenty i od pani Ani dowiedziałem się, że szukacie właściciela ładunku.

– Pani Ani? – Andrzej uniósł brew.

– No... – zmieszał się mężczyzna. – Od sekretarki dyrektora.

Kamiński domyślił się, że kobieta zapewne podsłuchiwała jego rozmowę z dyrektorem i zaraz wszystkim w biurze wygadała. Nie przejmował się tym, śledztwo prowadzone przez ABW w tej sprawie nie było żadną tajemnicą.

– To prawda – odparł. – Wie pan coś na ten temat?

Trzeci oficer nachylił się i rzekł konspiracyjnym szepcetem:

– Widziałem go.

– Kogo?

– Tego człowieka, którego szukacie.

– A skąd pan wie, kogo szukamy?

– Nie tutaj. – Ryszard Formela zmrużył oczy, rozglądając się podejrzliwie po biurze. – Naprzeciwno jest fajna knajpka, tam wszystko panu opowiem. Chodźmy!

Mężczyzna odwrócił się i jak przystało na marynarza, krokiem dziarskim i rozchwianym ruszył w stronę drzwi. Andrzej podrapał się w głowę, zastanawiając nad propozycją, bo oficer nie sprawiał wrażenia wiarygodnego źródła informacji, ale po chwili podążył za nim. Stwierdził, że w sumie czasu ma sporo, a kto wie, może dowie się czegoś nowego?



Po powrocie na komendę Tomasz Rafalski najpierw zaparzył sobie kawy, a dopiero potem poczłapał niespiesznie do swojego biurka. Westchnął ciężko, widząc stos porzrzuconych teczek i papierów. Trzy godziny nieobecności, a współpracownicy zdołali uczynić na jego biurku przysłowiowy Sajgon. Tyle razy im powtarzał, żeby odkładali dokumenty na swoje miejsce, czyli do specjalnie w tym celu zakupionych plastikowych kuwet. W poprzednim roku stoczył o nie bój z zaopatrzeniowcem, który żałował dwudziestu złotych próbując wyłączyć się cięciami budżetowymi, a gdy Rafalski stawał się coraz bardziej namolny, stwierdził, że policja ma ważniejsze wydatki, niż zaspokajanie estetycznych doznań podrzędnego komisarzyny. Nie zniechęciło to jednak Drzewca

i tak długo suszył głowę przełożonym, aż wreszcie zgodzili się na zakup kuwet, a do tego zdołał jeszcze wywalczyć porządne, obrotowe krzesło.

Rafalski znalazł wolne miejsce na blacie, ostrożnie postawił kubek, żeby kawą nie zalać papierów, i zabrał się za porządki. Widział drwiące uśmiechy kolegów, z którymi dzielił pokój, ale nie przejmował się tym. Od dawna uważali go za pedanta, ale dzięki swojej systematyczności i dbałości o porządek miał sukcesy zawodowe, których zazdrościli mu inni. Uważał, że metodyka i dbałość o szczegóły to najważniejsze cnoty w pracy policjanta.

Kwadrans zajęło mu posegregowanie dokumentów, uporządkowanie akt i przydzielenie ich do odpowiednich kuwet. Wreszcie z czystym sumieniem mógł usiąść przy biurku, gdzie panował teraz nieskazitelny porządek – nawet długopisy i ołówki leżały równo ułożone. Zadowolony z siebie sięgnął po kawę, upił łyk i zaraz się skrzywił. Kawa zdążyła wystygnąć. Z rezygnacją odstaawił kubek, spojrział na zegarek. Minęła piętnasta, niedługo czas do domu i nie warto już zabierać się za pisanie raportu z pobytu w Bałtyckim Terminalu Kontenerowym. Zrobi to jutro rano.

Rafalski uświadomił sobie, że cały dzień poświęcił sprawie kradzieży kontenera, a przecież czekały na niego inne, nierozwiązane śledztwa. Chwycił pierwszą z brzegu teczkę, dotyczącą zabójstwa w jednej z kamienic w śródmieściu. Prawdopodobnie mąż zatłukł żonę podczas libacji alkoholowej, ale jeszcze nie można było go przesłuchać, bo trzeźwiał w izbie zatrzymań. Tomasz odłożył teczkę i chwycił następną. Ta sprawa też nie wyglądała na prostą.

Wczoraj policjanci z gdyńskiej grupy do walki z narkotykami dokonali aresztowania czterech mężczyzn. Funkcjonariusze od tygodnia namierzali mieszkanie w dzielnicy Oksywie, gdzie swoją metę mieli dealerzy narkotyków. W mieszkaniu zabezpieczono spore ilości amfetaminy, a przebywające tam osoby zatrzymano. Dodatkowo znaleziono przy nich broń ostrą, pistolety maszynowe „Skorpion”. To oznaczało, że aresztowani nie byli zwykłymi handlarzami, a prawdopodobnie żołnierzami gangu. Tomasz Rafalski zmarszczył czoło, dobrze wiedział, czyi to ludzie.

Trójmiejska mafia według oficjalnych raportów została rozbita pod koniec lat dziewięćdziesiątych, a tak po prawdzie ich bossowie sami się wykończyli, a policja tylko zamiotła ten cały burdel. Niestety, świat przestępczy nie znosi próżni i w miejsce niezbyt rozgarniętych, puszczających się niczym pawie bandziorów w dresach pojawili się prawdziwi profesjonaliści. Nie afiszowali się, nie obnosili ze swoim bogactwem, nie mieli ambicji brylowania w towarzystwie, trzymali się w cieniu. Rosjanie, bo to o nich mowa, bardzo szybko opanowali rynek narkotykowy, przejęli nocne kluby i wprowadzili własne zasady. Także nie przebierali w środkach, ale czynili to z głową. Wymuszali posłuch terrorem, nie uciekając się do bezsensownej przemocy. Jeśli trzeba było kogoś załatwić, robili to po cichu, pozorując wypadek i dbając, żeby nie rozeszło się do mediów. W ich kieszeni siedzieli dziennikarze, lokalni politycy, a także... policja.

Tomasz z ciężkim westchnieniem odsunął od siebie teczkę. Dobrze wiedział, że niedługo dziwnym zrządzeniem losu dowody w tej sprawie zaginą, a podejrzanych

będzie trzeba wypuścić. Korupcja w policji sięgała najwyższych stanowisk. Nie miało sensu podejmowanie jakichkolwiek starań w tej sprawie, bo można było tylko dostać po łbie. Rafalski, pomimo że był idealistą, na pewno nie był kretynem. Miał żonę, dziecko, nieźle płatną pracę i nie chciał tego wszystkiego stracić. Słyszał, że kilku policjantów oberwało po łapach za zbytnią nadgorliwość, dwóch nawet pożegnało się z życiem. Tomasz nie chciał do nich dołączyć. Jednak wyrzuty sumienia, a także pewne niedokończone sprawy, pozostawały niczym rysa na szkle i nijak nie dało się ich pozbyć.

Postanowił odsunąć od siebie ponure myśli, ale nie było to łatwe. Tajemnicze zniknięcie kontenera z gdyńskiego portu wyglądało na robotę rosyjskiej mafii. Rafalski nie miał wątpliwości, że w kradzież zamieszany był ktoś wysoki rangą w urzędzie celnym i komendzie policji, bowiem zezwolenia na wywóz kontenera okazały się prawdziwe, a nikt inny nie mógł ich wystawić. Komisarz zacisnął wściekle pięść. Kolejne śledztwo ugrzęźnie w martwym punkcie, a on nic nie będzie mógł na to poradzić.

Nagle przypomniał sobie oficera Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Oczywiście było, że oba dochodzenia są ze sobą powiązane i za wszystkim stoi ta sama osoba. A Rafalski domyślał się, kto i chętnie by się tą informacją podzielił. Może agent rządowy będzie mógł działać w tej sprawie więcej niż zwykły komisarz?

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął wizytówkę Andrzeja Kamińskiego i chwilę się jej przyglądał. Uniósł w zdziwieniu brwi, widząc nazwę departamentu, i z niedowierzaniem pokręcił głową. Nie wiedział, że ABW zaj-

muje się takimi sprawami, jak inwigilacja sekt religijnych, ale najwidoczniej czasy się zmieniły i państwo polskie musiało być przygotowane na wszelkie zagrożenia.

Inny na miejscu Tomasza sięgnąłby po telefon, wystukał podany na wizytówce numer, umówił się na spotkanie i wyłożył całą sprawę. Jednakże komisarz Rafalski był człowiekiem ostrożnym, a przede wszystkim nie pochopnym i każdą decyzję musiał porządnie przemyśleć. Schował wizytówkę z powrotem do kieszeni, stwierdzając, że jeśli nie zmieni zdania do jutra, równie dobrze może wykonać telefon rano.

Zerknął na kubek z zimną kawą, skrzywił się i poszedł ją wylać. W domu zrobi sobie świeżej.



Siedzieli na wygodnej kanapie obitej tkaniną typu flok, w kawiarni o wdzięcznej nazwie „Cygania” oddalonej zaledwie sto metrów od biurowca, w którym mieściła się siedziba Pol-Levantu. Ryszard Formela zamówił piwo i gdy tylko kelnerka postawiła na stole półlitrowy pokal, jednym haustem wypił połowę jego zawartości. Cmoknął z zadowoleniem, otarł usta, sięgnął do kieszeni i wyciągnął brązowe etui.

– Pozwoli pan, że zapalę?

– Proszę bardzo – odparł Kamiński, popijając kawę latte.

Co prawda Andrzej był przeciwnikiem palenia w kawiarniach, restauracjach i miejscach publicznych, ale nie chciał do siebie zrazić człowieka, który być może miał

dla niego ważne informacje. Po chwili z zaskoczeniem stwierdził, że etui nie zawiera papierosów, lecz tytoń, fajkę i akcesoria. Z zainteresowaniem przyglądał się jak mężczyzna wkłada w cybuch papierowy filtr, dokręca ustnik i używając specjalnego niezbędnika, nabija tytoniem główkę fajki. Wreszcie przy pomocy zapalniczki benzynowej, z której nawet podczas największego sztormu można wykrzesać ogień, odpalił fajkę. W pomieszczeniu wraz z dymem rozszedł się przyjemny, cyprysowy aromat.

– Nie ma nic bardziej relaksującego niż zimne piwo i kurzenie fajki. – Ryszard Formela wygodnie rozparł się w fotelu. – Niestety żona nie pozwala mi w domu palić, a i piwo mogę wypić od wielkiego dzwonu. Jest pan żonaty?

– Nie – odparł Andrzej, ostentacyjnie zerkając na zegarek.

– I bardzo dobrze! – roześmiał się rubasznie marynarz. – Niech się pan nigdy nie żeni, to najgorsze, co może spotkać mężczyznę. Lepiej być wolnym jak ten ptak. Ja na szczęście połowę roku spędzam na morzu, bo inaczej pozabijalibyśmy się z moją starą...

– Zatem twierdzi pan, że ma dla mnie jakieś informacje o właścicielu kontenera? – przerwał mu Kamiński, nie chcąc dłużej słuchać o problemach rodzinnych trzeciego oficera ze statku „Tychy” lub też tyrady o wyższości stanu kawalerskiego nad małżeńskim.

– Tak, tak... oczywiście – zreflektował się mężczyzna. – Pierwszy raz zobaczyłem tego człowieka w Latakii. Nasz statek stał w porcie niemalże tydzień, bo tyle trwa w Syrii wyładunek, a potem załadunek drobnicy i kon-

tenerów. U nas zrobiliby to w trzy dni, ale Arabcy leniwe są, o organizacji pracy nawet nie wspomnę.

Formela pociągnął kolejny łyk piwa i pyknął kilka razy z fajki.

– Wreszcie, gdy już wszystko było gotowe i mogliśmy odpływać, okazało się, że musimy poczekać na jeszcze jeden kontener, który zabukowano w ostatniej chwili. Staremu to się nie podobało, chciał wyjść z portu przed zmrokiem. Na pokładzie jednak mieliśmy jeszcze miejsce, armator wyraził zgodę i dlatego czekaliśmy. Wtedy akurat miałem wachtę, stałem na trapie i paliłem fajkę, podziwiając zachód słońca. Bo wie pan, ja to taki romantyk jestem...

Mężczyzna uśmiechnął się, lecz zaraz zmarszczył brwi i skupił spojrzenie na przeciwległej ścianie.

– Zanim nadjechał kontener, minęło dobre pół godziny. Zdziwiłem się, gdyż nie przywiózł go ciągnik portowy, lecz samochód z naczepą. Oznaczało to, że kontener przyjechał prosto z trasy i od razu pod załadunek na „Tychy”, bez żadnej kontroli ładunku ani odprawy celnej.

– Ktoś miał niezłe znajomości.

– Albo dał dobrą łapówkę. – Ryszard Formela mrugnął okiem. – U Arabów nie takie rzeczy przechodzą.

– Nie tylko u nich – mruknął Andrzej, mając w pamięci zniknięcie kontenera z gdyńskiego portu. – Ale proszę mówić dalej.

– W trakcie załadunku z kabiny samochodu wysiedli kierowca i pasażer. Kierowca jak to kierowca, stanął z boku, zapalił papierosa i obojętnie przyglądał się, jak suwnica podnosi kontener. Natomiast ten drugi wprost przeciwnie, spoglądał na kontener, jakby znaj-

dował się w nim najcenniejszy skarb. Od razu się domyśliłem, że to właściciel.

– Może pan opisać tego mężczyznę?

Marynarz pokiwał głową, ale zanim odpowiedział, ponownie nabił fajkę i zapalił.

– Nie przypominał typowego Araba, chociaż na pewno był semitą. Miał podłużną twarz, krótko przystryżoną brodę i wydatny nos. Przerastał wszystkich o głowę, a w jego ruchach, sposobie poruszania się, dostrzec można było jakieś dostojęństwo. W pierwszej chwili pomyślałem nawet, czy to aby nie jakiś książę czy inny szach? Jednakże nie dlatego go zapamiętałem.

Formela zamilkł, podrapał się w głowę, zastanawiając się, jak ująć w słowa to, co miał do powiedzenia. Andrzej czekał cierpliwie, nie ponaglał, mając świadomość, że wszystko co mężczyzna powie, może mieć istotne znaczenie.

– To przez te jego oczy – rzekł po dłuższej chwili. – Gdy sprawdzałem, czy czopy mocujące kontener zostały należycie założone, bo to z tymi Arabami nic nie wiadomo, zerkalem na nabrzeże i wtedy natrafiłem na spojrzenie tego człowieka. Odniosłem wrażenie, jakby ziemia się pode mną rozstąpiła i jakbym runął w czarną otchłań nieskończoności. Wiem, że zabrzmiało to strasznie egzaltowanie, jak określiłaby moja żona, bo ona często krzyżówki rozwiązuje i takie słówka zna, ale proszę mi uwierzyć, naprawdę tak się poczułem. Jego oczy wypełnione były jakąś starożytną mocą, a ja, w jednym krótkim przeblysku, jednej sekundzie, ujrzałem smagane pustynnym wiatrem kamienne twierdze, świątynie dawno zapomnianych bóstw, pałace z poprzednich epok

oraz wspaniałe ogrody wyjęte wprost z „Baśni tysiąca i jednej nocy”.

Zaskoczony Andrzej zamrugał powiekami. Nie spodziwiał się po tym potężnym mężczyźnie, rubasznym marynarzu rozmiłowanym w piwie i tytoniu, tak kwiecistego języka.

– Przez chwilę czułem się, jakbym przebywał w innym świecie – kontynuował Formela. – Tak jakbym miał przebłyski odległej przeszłości. Ale nie czułem się z tym źle, chciałem jak najdłużej pozostać w tym stanie. Może zostałem zahipnotyzowany?

– Wątpię – odparł Kamiński. – Zapewne to przemęczenie i stres, na które nałożyła się aura tajemniczego Wschodu. Jest pan po prostu niepoprawnym romantykiem.

Mężczyźni roześmiali się.

– Jak już tak miło gawędzimy, to jeszcze coś panu opowiem. – Marynarz wskazał leżącą na stole paczkę tytoniu. – Za każdym razem, gdy jestem w Latakii, odwiedzam sklepik pewnego handlarza. Ma on najlepszy tytoń fajkowy na całym świecie, o ostrym smaku, a zarazem łagodnym dla podniebienia. Ponoć tytoń suszony jest przez arabskich chłopów na krokwiach, pod którymi zbiera się dym z palonych wielbłądzich odchodów, ale podejrzewam, że to bajki dla europejskich turystów, zachwycających się wszystkim, co ekologiczne.

Ryszard Formela wypił do końca piwo i z żalem wpatrywał się w pusty pokal. Andrzej zrozumiał aluzję i gestem wskazał kelnerce, żeby przyniosła jeszcze raz to samo. Miał nadzieję, że agencja zwróci mu wszystkie koszty.

– Tak więc ten handlarz opowiedział mi całkiem interesującą historię – mężczyzna kontynuował, gdy na stole pojawiło się kolejne piwo. – Otóż na Bliskim Wschodzie krąży legenda przekazywana z ust do ust o kananejskim kapłanie boga Baala, który wędruje po świecie od niepamiętnych czasów. Ponoć tam, gdzie się udaje, zabiera ze sobą cały dobytek, pamiątki po czasach świetności Kanaan. Niegdyś nosili je za nim tragarze, potem wozili wielbłądy, a teraz przecież są samochody, samoloty, statki. Kto wie, może to właśnie jego widziałem wtedy na nabrzeżu?

– Chce mi pan powiedzieć, że mężczyzna, którego szukamy, jest nieśmiertelny? – zaśmiał się Andrzej.

Trzeci oficer wzruszył tylko ramionami.

– Ja tylko przekazuję to, co rzekł mi ten handlarz.

– A nie powiedział przypadkiem, dlaczego ów kapłan miałby przywędrować do Polski?

Marynarz pokręcił przecząco głową.

– Legenda głosi, że jest kimś w rodzaju strażnika, ale czego ma strzec i przed kim? Tego też nie wiem.

Kamiński spojrział na zegarek. Dochodziła szesnasta, czas, kiedy ludzie kończyli pracę i jechali do domów. Na drogach Trójmiasta zaraz zaczęły się korki, a Andrzej chciał zdążyć przed nimi, wrócić do hotelu zjeść obiad i wieczorem jeszcze popracować nad sprawą.

Pożegnał się z Ryszardem Formelą, uregulował rachunek i wyszedł z kawiarni. Padało. Andrzej skrzywił się, nie lubił deszczu. Postawił kołnierz marynarki i szybkim krokiem ruszył w stronę samochodu. Idąc, zastanawiał się nad śledztwem. Dzisiejszy dzień nie przyniósł niczego nowego w sprawie, a jeszcze bardziej ją

zagmatwał. Kontener wraz z ładunkiem został wywieziony z portu, a on nie miał żadnego tropu. Co prawda, znał rysopis prawdopodobnego właściciela tajemniczych przedmiotów kultu, ale nie wiedział, na ile mógł zaufać opowieściom marynarza, który wydawał się gawędziarzem ze skłonnościami do konfabulacji. Historia z nieśmiertelnym kananejskim kapłanem wydawała się absurdalna, ale Kamiński miał niejasne przeczucie, że coś w tym jest. Instynkt rzadko go zawodził i postanowił zbadać sprawę również od tej strony. Może coś więcej będzie wiedział Aleksander Bonc-Chojnarski? Zdecydował, że jutro zadzwoni do profesora, a przy okazji zapyta go o postępy w tłumaczeniu tekstów z tabliczek.

Andrzej przeszedł na drugą stronę ulicy i przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej schować się przed deszczem we wnętrzu samochodu. W momencie gdy zamknął drzwiczki forda mondeo, przestało padać, zza chmur wyrzało słońce, a na niebie pojawiła się kolorowa tęcza.

Tajemnicza postać otulona w czarny stój stała naprzeciwko kawiarni „Cyganeria” niczym posąg wykuty w zimnym marmurze. Bezosobowa i milcząca. Głęboko nasunięty na czoło kaptur skrywał twarz, więc nie sposób było dostrzec bladego oblicza, gniewnych, pałających żądzą mordy oczu i warg wykrzywionych w grymasie wściekłości. Od czasu do czasu ta dziwna kreatura spoglądała w niebo, na wiszące czarne chmury, z których nieprzerwanie siąpił deszcz, i wówczas z jej gardła dobywał się charkot rozdrażnienia.

Gdyby przechodzący obok ludzie przystanęli na chwilę wysunęli nosy spod parasoli i zerknęli na tajemniczą postać, dostrzegliby w niej coś zwierzęcego, dzikiego i nienaturalnego. Nie ujrzeliby w niej nic z człowieczeństwa, ale obdarzona świadomością własnego istnienia wydawała się jeszcze bardziej przerażająca. Jednakże wszyscy spieszyli się do domów – bastionów, w których zrzucą buty, nałożą ciepłe kaptcie i usiądą przed telewizorem, żeby odprężyć się po całodziennym stresie w pracy. W otoczeniu czterech ścian, oddzielających ich od okrutnego świata, poczują się wreszcie bezpieczni, nie zdając sobie sprawy, że to tylko iluzja, albowiem ich twierdza jest niczym domek z kart, który w jednej chwili może zostać zdmuchnięty przez zapomniane przed wiekami moce.

Nagle zakapturzona istota drgnęła, wyszczerzyła kły i cicho zawarczała, widząc, jak Andrzej Kamiński opuszcza kawiarnię. Nie ruszyła jednak za nim, odprowadzając go tylko wzrokiem. Czekwała na mężczyznę, który pozostał w środku.



ROZDZIAŁ 3

CZWARTEK, 15 LIPCA 2010 R.

Andrzej Kamiński obudził się kilka minut po siódmej, w momencie gdy promienie słoneczne przedarły się przez żaluzje w oknach i zaczęły pełznąć po jego twarzy. Po wczorajszym deszczowym popołudniu i wieczorze dzisiaj znowu zapowiadał się upalny dzień.

Nakrył głowę poduszką, próbując ponownie zasnąć, ale gdy stwierdził, że nic z tego nie będzie, wstał i szedł na śniadanie. Szwedzki stół prezentował się znakomicie i oprócz standardowej jajecznicy oraz parówek skosztować można było również owoców morza, różnych rodzajów sałatek, wędlin oraz serów. Andrzej nie był głodny i zjadł tylko dwie kanapki, popijając kawą. Gdy wrócił do pokoju, dochodziła dziewiąta.

Włączył laptopa i sprawdził pocztę. Nie było dla niego żadnych wiadomości, co go trochę zdziwiło. Wczoraj do późnej nocy pisał raport do centrali ABW i spodziewał się otrzymania nowych wytycznych. Nie wiedział, czy nadal siedzieć w Gdańsku, gdzie jak mu się zdawało, wyczerpał już wszystkie możliwości, czy wracać do

Warszawy i tam czekać na dalszy rozwój wypadków? Na tym etapie mógł równie dobrze prowadzić śledztwo z biura ABW. Jeśli policja odnajdzie kontener, lub jeśli tylko Bonc-Chojnarski przetłumaczy tekst, zawsze może przyjechać ponownie do Trójmiasta.

Kamiński przypomniał sobie, że chciał z samego rana zadzwonić do profesora i sięgnął po telefon.

– Muzeum Archeologiczne – usłyszał głos recepcjonistki, ale nie tej samej, z którą rozmawiał przedwcześniej. Ten głos należał do starszej kobiety. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry – odparł. – Andrzej Kamiński z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, proszę mnie połączyć z profesorem Boncem-Chojnarskim.

– Przykro mi, ale profesora dzisiaj nie będzie w pracy.

– Jak to?! – zaniepokoił się. – Coś się stało?

– Profesor zadzwonił godzinę temu, prosząc, żebym odwołała wszystkie dzisiejsze spotkania i wykłady. Podobno ma coś pilnego do załatwienia. – Recepcjonistka roześmiała się. – Proszę się nie martwić. Często to mu się zdarza, zazwyczaj gdy pracuje nad jakimś ciekawym znaleziskiem. Kiedyś przepadł nam na całe dwa tygodnie...

– Czy mógłbym dostać jego numer telefonu komórkowego? – przerwał jej Kamiński, wiedząc, że zaraz kobieta uraczy go zabawną historią o roztrzepanym akademiku.

– Nie – odparła sucho, zła, że Andrzej nie pozwolił jej rozwinąć wypowiedzi. – Nie wolno mi podawać prywatnych numerów telefonów naszych pracowników. Proszę kontaktować się po powrocie profesora.

Zanim Andrzej zdążył o cokolwiek jeszcze spytać, kobieta odłożyła słuchawkę. Kamiński zastanawiał się, czy zadzwonić ponownie, ale zrezygnował. I tak niczego więcej się nie dowie. Zaintrygowała go nieobecność profesora. Podejrzewał, że może to mieć związek z pracą przy rozszyfrowywaniu tekstów na tabliczkach. Wspominał o konsultacjach przy transkrypcji, więc mógł pojechać na spotkanie z jakimś naukowcem. Kamiński miał nadzieję, że przetłumaczone teksty rzucą nieco światła na całą sprawę. Może na tabliczkach zawarta jest przepowiednia dotycząca końca świata, którą fanatycy religijni będą chcieli urzeczywistnić? Andrzej skrzywił się. I tak już zbyt wielu szaleńców chodziło po świecie, nie potrzeba im dodatkowej zachęty do wdrożenia w życie Apokalipsy.

Raz jeszcze sprawdził pocztę elektroniczną. Nadal nic. Kamiński zmarszczył czoło i już sięgał po telefon, żeby zadzwonić do centrali w Warszawie, ale nagle pojawił się sygnał wywoławczy. Przez chwilę zdumiony wpatrywał się w wyświetlacz, a potem odebrał.

Zaspa to dzielnica Gdańska położona na północ od centrum miasta, w połowie drogi do Sopotu. Tam właśnie, póki żył, mieszkał z rodzicami Dariusz Kowalewski. Szczypior zaparkował czarne BMW przed jednym z bloków, który został wzniesiony w latach siedemdziesiątych i podobnie jak inne tego typu molochy, wyrastające w PRL-u jak grzyby po deszczu, burzył swoim wyglądem krajobraz, przyprawiając o ból zębów urbanistycznych estetów. Budynek był klasycznym dziełem modernizmu

wspieranego przez idee funkcjonalizmu i socrealizmu. Potężny kloc nawet w blasku słońca porażał swoją surowością, prostotą formy wywołując grymas obrzydzenia na ustach Szczypiora, który wychował się na podobnym blokowisku.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił do siedzącego obok Małego.

– Myślisz, że gówniarz trzyma notatki w domu?

– Nie wiem. – Szczypior wzruszył ramionami. – Maks kazał to sprawdzić.

– Nas na włam wysłał, a sam się pewnie na słończku grzeje – rzekł z przekąsem Mały.

– Nie podoba ci się? – Rozgniewany Szczypior zerknął na towarzysza. – To z nim gadaj, nie ze mną. Mi chuj do tego.

– Wyluzuj, stary. – Mały uniół ręce w obronnym geście. – Wkurwia mnie tylko, że do najpodlejszej roboty nas zawsze wysyła. Włam w biały dzień to jakieś szaleństwo! A jeśli ktoś jest w mieszkaniu?

– Jego starzy o tej porze powinni być w robocie. Gówniarz mówił, że oboje pracują. Idziemy!

Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę bloku. Nie wzbudzili żadnej sensacji. Mieszkańcy blokowiska przyzwyczajeni byli, że po osiedlu kręcą się ubrani w dresy, ogoleni na łyso młodzi mężczyźni. Zazwyczaj siadali na ławeczce niedaleko placu zabaw dla dzieci i pijąc piwo, godzinami narzekali na brak pracy, perspektyw oraz swój ciężki los. Obwiniali o ten stan rzeczy system, polityków, otoczenie, tylko nie siebie. Żaden nie miał odwagi przyznać przed kolegami, a przede wszystkim przed samym sobą, że jest nieudacznikiem.

Jednakże Szczypior i Mały nie przyłączyli się do tamtych na ławeczce, tylko stanęli przy klatce schodowej i spojrzeli na domofon.

– Który numer? – spytał Saba.

– Dwadzieścia jeden.

Niższy z bandytów przez dobrą minutę naciskał przycisk. Nikt się nie zgłosił.

– Miałeś rację, chyba nikogo nie ma – rzekł z zadowoleniem, a następnie wyciągnął z portfela kartę bankomatową. Wepchnął w zamek i po chwili drzwi ustąpiły. Nie korzystając z windy, weszli na drugie piętro, stając przed drzwiami z numerem dwadzieścia jeden i tabliczką Kowalewscy.

Szczypior wyciągnął z ust gumę do żucia i zatkał nią wizjery w drzwiach sąsiadów. Mały w tym czasie zdążył już zbadać zamek.

– Cylindryczny – wyszczerzył się w uśmiechu. – Bułka z masłem.

Wyciągnął z kieszeni płaski śrubokręt, którego używał jako napinacza, i wytrych – długi, cienki kawałek metalu zaagięty do góry. Najpierw do dziurki od klucza wsadził śrubokręt i zaczął kręcić. Następnie wsunął w otwór wytrych i tak długo nim manipulował, aż usłyszał delikatne kliknięcie. Drzwi stały otworem.

Obaj mężczyźni weszli do niewielkiego przedpokoju i rozejrzeli się po mieszkaniu. Na lewo znajdował się duży pokój, pełniący funkcję zarówno salonu, jak i sypialni, w której mieściła się rozkładana kanapa, meblościanka, pamiętająca jeszcze epokę Gierka i niski stolik z telewizorem. Na wprost spostrzegli wejście do kuch-

ni, na prawo półotwarte drzwi do mniejszego pokoju. Szczypior pierwszy wszedł do środka.

Tak jak się można było tego spodziewać, pokój młodzieńca wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan. Łóżko niesprzątnięte, ubrania porozrzucane po podłodze, a z niedomkniętych szaf niemal wypadały książki.

– Jak w tym burdelu mamy znaleźć zapiski? – jęknął Mały, rozglądając się dookoła.

Szczypior jednak nie zważał na bałagan, jego uwagę zwrócił laptop na biurku, obok którego walały się zdjęcia tajemniczych tabliczek. Schował zdjęcia do kieszeni dresu, włączył komputer i zaczął przeglądać ostatnio otwierane pliki tekstowe.

– Masz coś? – Mały próbował zerkać zza pleców kolegi.

– Chyba tak. Bierzemy laptopa i spierdalamy.

Szczypior odłączył zasilacz, kabel Internetu, chwycił komputer pod pachę i obaj bandyci ruszyli ku drzwiom frontowym. Gdy już mieli wychodzić, usłyszeli kroki na klatce schodowej.

Ktoś zmierzał do mieszkania Kowalewskich.

Kamiński szedł bulwarem nadmorskim w Gdyni, nigdzie się nie spiesząc. Do spotkania w kawiarni „Syrena” miał jeszcze przeszło kwadrans, więc postanowił się trochę przespacerować. Słońce grzało niemiłosiernie i nie zachęcało do pieszych wycieczek, ale jemu to nie

przeszkadzało. Z przewieszoną przez ramię marynarką, z okularami przeciwsłonecznymi na nosie, przeciskał się przez tłumy roznegliżowanych turystów, którzy zdążyli na plażę w ten upalny dzień. Co prawda, najlepsze miejsca dawno już były zajęte, ale plażowicze wierzyli, że wcisną się gdzieś ze swoim kocem, usypią grajdołek i pogrążą w błogim lenistwie. Przecież na te dwa tygodnie urlopu czekali cały rok. A kiedy znudzi im się leżenie plackiem na piasku, pójdą do jednej z licznych knajp na bulwarze, żeby napić się piwa, dzieciakom kupić colę i zjeść tak zachwalaną morską rybę.

Andrzej z przyjemnością spoglądał na spalone słońcem kobiety, odziane w skąpe kostiumy kąpielowe, wygrzewające się na słońcu niczym kotki. Zerkał na młode dziewczyny grające w siatkówkę plażową, które prężąc nienagannie zbudowane ciała, roztaczały wokół erotyczną aurę, i naraz uświadomił sobie, jak bardzo jest samotny. Ostatnie miesiące poświęcił pracy, zupełnie zaniedbując życie osobiste. Co prawda od pewnego czasu spotykał się z pewną czarnowłosą Joanną, pracownicą banku, w którym trzymał oszczędności. Był to jednak związek oparty tylko na seksie. Kobieta miała męża, pięcioletnie dziecko i Andrzej był dla niej jedynie odskocznią od małżeńskiej monotonii. Zresztą ona pod względem emocjonalnym też była mu zupełnie obojętna. Spędzali ze sobą godzinę, dwie w jego mieszkaniu, a potem ubierała się i wracała do domu, do tych, których kochała. Prostny, przejrzysty układ.

Kamiński przystanął, oparł się o betonowy falochron i spojrzął na morze. Gdzieś w oddali majaczyła Mierzeja Helska, piaszczysty wał kształtem przypominający

kość, ciągnący się przez ponad trzydzieści kilometrów wzdłuż polskiego Wybrzeża. Można było dostrzec kursujące tam tramwaje wodne i pasażerskie katamarany Żeglugi Białej. Na redzie oczekiwały na wejście do portu statki handlowe, obładowane kontenerami, i drobniowce, wypełnione skrzyniami, workami, belami oraz beczkami. Z rogatek wynurzył się kolosalnych rozmiarów prom kursujący do Szwecji. Niedaleko brzegu jakaś motorówka ciągnęła gumowego banana, na którym okrakiem siedziała szóstka wrzeszczących młodych ludzi, ciesząc się słońcem, wodą i wakacjami. Tuż za linią czerwonych bój wyznaczających kąpielisko, w którym pluskało się setki ludzi pod czujnym okiem ratowników, dwaj mężczyźni szaleli na skuterach wodnych, chcąc za imponować siedzącym na bulwarze dziewczynom. Na horyzoncie zaś majaczyły białe żagle jachtów, halsujących ku gdyńskiej marinie.

Lipcowe przedpołudnie sprzyjało zabawie i błogiemu lenistwu, ale Andrzej nie przyjechał tu dla przyjemności. Rano zadzwonił do niego Tomasz Rafalski, twierdząc, że ma ważne informacje dotyczące śledztwa, i poprosił o spotkanie. Kamiński zaproponował, że zaraz przyjedzie na komendę, lecz wówczas komisarz ostro zaprotestował. Chciał się z nim zobaczyć w miejscu publicznym, najlepiej tam, gdzie jest dużo ludzi i nikt ich nie zna. Zdziwiło to Andrzeja, ale przystał na propozycję i ustalili, że o jedenastej będzie czekał na Rafalskiego w kawiarni „Syrena”.

Podczas rozmowy telefonicznej, która nie trwała dłużej niż pół minuty, komisarz był niezwykle enigmatyczny. Wyglądało na to, że czegoś się bał.

Nagle Andrzej poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach. Miał wrażenie, że ktoś wlepia w niego wzrok. Odwrócił się gwałtownie, ale ujrzał tylko przechodniów spacerujących po bulwarze, dzieci bawiące się na trawie, staruszków siedzących na ławkach, karmiących gołębie i dyskutujących zaciekle o polityce. Za nimi rozciągała się Kamienna Góra – wysokie na pięćdziesiąt metrów morenowe wzgórze porośnięte lasem. Kamińskiemu wydawało się, że właśnie stamtąd ktoś go obserwuje. Przez dłuższą chwilę uważnie wpatrywał się w gęstwinę, ale nikogo nie dostrzegł.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta.



Jadwiga Kowalewska wysiadła z windy na półpiętrze i zaczęła wspinać się po schodach do swojego mieszkania. Pięćdziesięcioletnia kobieta o posiwiałych włosach upiętych w kok, ze zmarszczkami na twarzy, wyglądała jakby miała dziesięć lat więcej niż w rzeczywistości. Całe życie ciężko harowała i ledwie wiązała koniec z końcem. Wykształcenie miała zaledwie zawodowe – krawieckie, więc przyjmowała zlecenia na szycie i przeróbki, ale nie przynosiło to wystarczających dochodów, więc dorabiała na pół etatu w szkole jako sprzątaczką.

Jej mąż Jan jeszcze do niedawna pracował w Stoczni Gdańskiej jako ślusarz, ale został zwolniony przy redukcji etatów i teraz brał fuchy. Do domu jednak pieniędzy nie przynosił, bo większość przepijał. A przecież trzeba było zapłacić za czynsz, wodę, gaz, mieć na jedzenie

i jeszcze odłożyć pieniądze dla syna. Studia w Lublinie sporo kosztowały.

Dariusz był dla Jadwigi całym światem, jedynym światłem w jej ponurym życiu, i mocno wierzyła, że syn ukończy teologię, a potem będzie uczył religii w szkole. Pragnęła żeby znalazł sobie żonę, porządną dziewczynę z katolickiego domu, co to upierze, uprasuje i obiad poda na stół. Byłe nie żadną wywłokę, z tych, co w kuszach spódniczkach po ulicach paradują, tak że im gołą dupę widać. Taka będzie się stroić, za pieniędzmi uganiać, a należycie nie zajmie się jej synem. Wierzyła, że Dariusz jest na tyle mądry, żeby wybrać właściwie i dopiero po studiach, aby nic nie rozpraszało go w nauce.

Jednak teraz mocno się o niego martwiła. Przez dwa dni w ogóle nie wychodził z domu, tylko siedział przed komputerem. Najpierw myślała, że gra w jakieś gry przez Internet, co się młodym zdarzało, i zapomniał o bożym świecie, ale gdy przynosiła mu kolację, ujrzała, że pracuje nad jakimiś dziwnymi hieroglifami. Trochę ją to zaniepokoiło, bo przecież tyle czytała o sektach religijnych, mających młodzież obietnicą lepszego życia, a potem robiących im wodę z mózgu. Miała nadzieję, że jej syn nie trafił do żadnej z nich.

Wczoraj z samego rana, gdy szykowała się do pracy, Dariusz wyszedł ze swojego pokoju błądy, wystraszony i bez słowa wybiegł z mieszkania. Do tej pory nie wrócił. Co prawda w czasie wakacji zdarzało się, że znikał na całą noc, włócząc się z kolegami po mieście, ale tym razem Jadwiga była pełna obaw. Matczyne serce podpowiadało jej, że stało się coś strasznego.

Dzisiaj wyszła z pracy szybciej, żeby sprawdzić, czy Dariusz wrócił do domu. Postanowiła, że jeśli go nie zastanie, to obdzwoni jego kolegów, łudząc się, że może nocował u jednego z nich. Zastanawiała się, czy nie powiadomić policji, ale pewnie wyśmialiby ją i kazali czekać na powrót syna z imprezy, po której zapewne jeszcze nie wytrzeźwiał. Na darmo tłumaczyłaby, że Dariusz nigdy się nie upijał i gdy postanowił nie wracać na noc, dzwonił, żeby ją o tym przedzić. Nie chciał, by matka się denerwowała.

Jadwiga z ciężkim westchnieniem zatrzymała się przed drzwiami mieszkania i wyciągnęła z torebki klucze. Nagle usłyszała po drugiej stronie czyjeś kroki i poczuła, jak ciężar spada jej z serca. Dariusz wrócił do domu. Szybko wsunęła klucz do zamka, lecz nie mogła go przekrócić. Coś było nie tak. Pchnęła drzwi, a one uchyliły się z niepokojącym skrzypnięciem. Kobieta zbladła, pierwszą jej myślą było, że ktoś włamał się do mieszkania.

Przez chwilę stała niepewna, zastanawiając się, co dalej robić. Czy zapukać do sąsiadów, prosząc o pomoc, a może od razu dzwonić na policję? Ale jeśli z wyłamanymi drzwiami miał coś wspólnego Dariusz, to tylko narobi synowi kłopotów. Jadwiga zebrała się na odwagę i przekroczyła próg mieszkania.

– Darek? – Serce waliło jej jak oszalałe. – Jesteś tu?

Zajrzała do dużego pokoju. Wszystko wydawało się być w najlepszym porządku. Telewizor stał na swoim miejscu, szuflady były pozamykane, więc to nie wyglądało na włamanie. Weszła do pokoju syna i szybko zlustrowała wzrokiem pomieszczenie. Od razu się zorientowała, że brakuje komputera, który był oczkiem w głowie

Dariusza. W poprzednim roku pracował całe wakacje na budowie, żeby kupić sobie wymarzonego laptopa.

Jadwiga wiedziała już, że to jednak włamanie. Natychmiast sięgnęła do torebki po telefon komórkowy, żeby wybrać 112, gdy nagle usłyszała za sobą kroki. Błyskawicznie odwróciła się i ujrzała niskiego, barczystego mężczyznę trzymającego w ręku nóż – jej nóż do krojenia warzyw, ten z czarną rączką, kupiony w TESCO, który zawsze leżał na blacie w kuchni. Chciała krzyczeć, ale przerażenie odebrało jej głos. Z gardła dobył się tylko cichy charkot, gdy ostrze wbiło się w wątrobę. Napastnik zadał jeszcze kilka ciosów, zanim kobieta runęła na ziemię. Gasnącymi oczami ujrzała, jak dwaj mężczyźni wybiegają z mieszkania z laptopem syna. Ostatnie jej myśli dotyczyły Dariusza, miała nadzieję, że jest cały i zdrowy. Gdyby wiedziała, że leży pogrzebany w niewielkim lasku na Osowej, z bólu od razu pękłoby jej serce. A tak powoli się wykrwawiała.

Kawiarnia miała przyjemny wystrój oraz skórzane fotele, w które można było zapaść i dać się ukoić przyjemnej muzyce smooth jazz sączącej się z głośników. Na szczęście „Syrena” nie była tak oblegana jak inne lokale wzdłuż nadmorskiego bulwaru, zapewne z racji tego, że panował tu całkowity zakaz palenia. Plażowicze wybierali bardziej hałaśliwe miejsca, gdzie wśród tytoniowego dymu mogli raczyć się tanim piwem i przekrzykiwać nawzajem. Do „Syreny” przychodzili raczej rodzice z dziećmi napić się kawy, stateczni panowie poczytać gazetę i wy-

tworne emerytki porozmawiać z koleżankami o nowym spektaklu teatralnym lub przeczytanej niedawno książce.

Andrzej usiadł przy dwuosobowym stoliku, uśmiechem przywołał kelnerkę i zamówił dużą kawę latte. Po chwili stała przed nim szklanka pienistego, gorącego napoju. Zaczął delektować się smakiem, chłodem klimatyzowanego pomieszczenia i senną atmosferą kawiarni.

Komisarz Rafalski spóźnił się dobry kwadrans, tłumacząc się, że wcześniej nie mógł wyjść z komendy, a nie chciał wzbudzać podejrzeń. Miał na sobie tę samą popielatą marynarkę, sztruksowe brązowe spodnie, a na nogach czarne, tanie półbuty. Zamówił kawę z ekspresu i wymienił z Andrzejem kilka kurtuazyjnych zdań, nie spiesząc się z przejściem do rzeczy.

– Podobno ma pan dla mnie jakieś informacje – rzekł zniecierpliwiony Kamiński, gdy zapowiadało się na długą dyskusję o pogodzie, wiszących na niebie cumulusach i wpływie ciśnienia atmosferycznego na samopoczucie meteoropatów.

Tomasz Rafalski podejrzliwie rozejrzał się po kawiarni, zatrzymując na dłużej spojrzenie na dwóch mężczyźnach pijących piwo kilka stolików dalej. Zmrużył oczy, jakby usiłował porównać ich twarze z kryminalnymi kartotekami, które zapewne znał na pamięć. Po chwili potrząsnął głową, zdając sobie sprawę, że zachowuje się jak paranoik, jednak przybliżył fotel do Andrzeja i dopiero wówczas zaczął mówić ściszym głosem:

– Nikt nie może się dowiedzieć, że to, co powiem, usłyszał pan ode mnie.

Andrzej pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Wczoraj, zaraz po naszym spotkaniu, odwiedziłem urząd celny. Tam dowiedziałem się, że pozwolenie na wyjazd kontenera zostało wydane przez samego naczelnika. Zatem nie była to fałszywka. Dzwoniłem również do Wojewódzkiej Komendy Policji, ale tam wszyscy umywiają ręce.

– Czyli należy sądzić, że niektórzy funkcjonariusze mają z tym coś wspólnego?

– I to najwyżsi rangą. Szeregowi policjanci nie mają takich uprawnień.

– Mając wiedzę o korupcji w policji, powinien pan to zgłosić do Biura Spraw Wewnętrznych. – Kamiński spojrzał surowo na komisarza. – Dlaczego pan tego nie zrobił?

Rafalski roześmiał się gorzko.

– Naprawdę sądzi pan, że to by coś dało? – spytał, unosząc krzaczastą brew. – Tylko bym sobie zaszkodził. W policji kariery już bym nie zrobił, zakładając, że w ogóle bym przeżył...

– Dla kogo pracują? – przerwał Andrzej, dając w ten sposób Rafalskiemu do zrozumienia, że go nie ocenia. Zresztą, nie miał takiego moralnego prawa. Ten mężczyzna się bał, a strach to potężne uczucie, które paraliżuje ludzi.

– Rosyjska mafia.

Zdumiony Kamiński zamrugał powiekami.

– Tutaj? W Polsce?!

– Ciszej – syknął Rafalski, zerkając na ludzi obecnych w kawiarni. Nikt jednak nie zwrócił na nich uwagi. – Słyszał pan o Sołncewskiej Braci?

Andrzej skinął głową. Co prawda nigdy nie zajmował się przestępczością zorganizowaną, ale pracując w tym zawodzie, trudno było nie słyszeć o najgroźniejszej i największej mafii na świecie. Powstała zaraz po rozpadzie ZSRR i utworzyli ją byli funkcjonariusze KGB i GRU. Stosowali metody rodem z rosyjskich specsłużb i na porządku dziennym były szantaże, zabójstwa, zakładanie podsłuchów. Ponurą sławą cieszyli się też szeregowi gangsterzy, szkoleni przez weteranów wojny w Afganistanie w sztuce torturowania, zastraszania i mordowania.

Swoją nazwę mafia sołncewska zawdzięczała południowo-zachodniemu przedmieściu Moskwy, gdzie była ich pierwsza siedziba. Dzięki parasolowi ochronnemu rozwiniętemu przez rosyjskie służby specjalne szybko zdobyła wpływy i wyparła konkurencję. Po kilku latach stanowiła już poważne zagrożenie nie tylko w Rosji, ale również na świecie. Według raportu FBI uznana została za największą organizację kryminalną pod względem zgromadzonego majątku, wpływów politycznych i sprawowania kontroli finansowej. Oznaczało to, że w najwyższych władzach państwowych, korporacjach i bankach miała swoich ludzi.

Kamińskiemu wydawało się jednak, że obszarem zainteresowania Sołncewskiej Braci były państwa posowieckie oraz Azja. Oczywiście zdarzało się, że policja rozbiła kilkusobowe gangi rosyjskich reketierów, ale to były zazwyczaj płotki wymuszające haracz na bazarach od swoich pobratymców. Nigdy nie słyszał o poważnej, zorganizowanej grupie przestępczej w Polsce.

– Chce pan powiedzieć, że sołncewska mafia działa w Trójmieście?

– Od końca lat dziewięćdziesiątych – odparł Rafalski. – Wszystko zaczęło się od zabójstwa słynnego Nikosia w kwietniu 1998 roku. Został zastrzelony w gdyńskim klubie „Las Vegas”. Od tej pory Rosjanie przejęli cały teren. Śledztwo prowadzone przez Prokuraturę Okręgową w Gdańsku nie przyniosło rezultatów. Do teraz nie schwytano ani zabójców Nikosia, ani zleceniodawcy...

– Podobno wyrok na niego wydał niejaki Zachar.

– Nie. – Komisarz uśmiechnął się drwiąco. – Zachar był za mały na taką akcję. Dogadał się z Sołncewem i siedział cicho, żeby też nie dostać kuli w łeb. Jednak jakiś czas temu zaczął kombinować na własny rachunek i od roku wąża kwiatki od spodu.

Rafalski upił łyk kawy i przez chwilę delektował się jej smakiem, zanim zaczął mówić dalej.

– Na razie mamy do czynienia z forpocztą sołncewskiej mafii. Zajmują się prowadzeniem domów publicznych, handlem narkotykami, wyłudzaniem haraczy i przemytem. Ale niedługo wszystko się zmieni. Zaczną inwestować w naszym kraju, wykupywać firmy, hotele, przedsiębiorstwa. Pojawią się wszędzie tam, gdzie są do zarobienia duże pieniądze. Przejmą banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, spółki budowlane, korporacje prawnicze, a nawet domy mody...

Kamiński uważnie przyglądał się rozmówcy, zastanawiając się, czy komisarz konfabuluje, żeby podnieść swój prestiż, jest szaleńcem doszukującym się teorii spiskowych, czy też naprawdę coś wie?

– Mając w kieszeni polityków, przeforsują korzystne dla siebie ustawy, przejmą pełną kontrolę nad naszym państwem – mówił dalej Rafalski. – Ponoć już w ich krę-

gu zainteresowań jest polski przemysł stoczniowy i hutniczy. Niedawno o mało co nie przejęli potężnego koncernu metalurgicznego na południu Polski. Na razie rezydenci sołncewskiej mafii przygotowują odpowiedni grunt pod działania na szerszą skalę.

– To niczym nieopodparte dywagacje – prychnął Andrzej. – Skąd pan to wie?

Tomasz Rafalski zmarszczył brwi i skierował spojrzenie na okno, za którym rozciągało się morze.

– Mój brat był dziennikarzem śledczym i miał sporo dowodów na działalność Sołncewskiej Braci w Polsce. Z racji tego, że jestem policjantem i znam się na pracy operacyjnej, pomagałem mu w zbieraniu materiałów. Dwa lata temu zginął w wypadku samochodowym, dodam, że nie do końca wyjaśnionym.

– Sugeruje pan, że to robota rosyjskiej mafii?

– Niczego nie zdołałem udowodnić – westchnął komisarz. – Nie dopuszczono eksperta, żeby zbadał wrak samochodu, chociaż były ku temu przesłanki. Zadziwiająco szybko sprawa została zamknięta. Podobnie zresztą jak wiele innych.

– Co pan przez to rozumie?

– W kieszeni sołncewskiej mafii siedzą lokalni politycy, urzędnicy, prokuratorzy, jak również wysoko postawieni funkcjonariusze policji. Zawieszane śledztwa, umarzane sprawy w prokuraturze, znikające dowody z policyjnych depozytów. To ich robota.

– Ma pan jakieś dowody na potwierdzenie swoich słów?

Rafalski w zamyśleniu pogłodził się po brodzie. Z natury był niezwykle ostrożny i nigdy pochopnie nie po-

dejmował żadnych decyzji. Sam fakt, że spotkał się z oficerem ABW i tak wiele mu powiedział, już było dla niego szaleństwem. Teraz zaś miał przekroczyć Rubikon.

Nie miał stuprocentowej pewności, że Kamiński nie współpracuje z sołncewską mafią, ale musiał komuś zaufać. Nie mógł już dłużej milczeć i zaciskać zębów, gdy sprawy były zamiatane pod dywan. Wstąpił do policji dlatego, że był idealistą, chciał naprawić świat, a przynajmniej uczynić go znośniejszym. Pierwsze lata służby wyleczyły go z młodzieńczej naiwności, ale nie zdołały zabić w nim sumienia. Nie mógł już dłużej przymykać oczu, udawać, że nic się nie dzieje, gdy codziennie na ulicę trafiały kilogramy narkotyków, gdy jak grzyby po deszczu powstawały agencje towarzyskie, w których niczym niewolnice pracowały młode dziewczyny zza wschodniej granicy, i gdy mordowano niewinnych ludzi. A wszystko to za przyzwoleniem policji i władz.

Tomasz Rafalski zdecydował. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął z niej płytę DVD w plastikowym opakowaniu i podał Andrzejowi.

– Tutaj ma pan akta spraw z ostatnich pięciu lat, wiążących się z sołncewską mafią – rzekł komisarz. – Oczywiście nie muszę dodawać, że wszystkie zostały umorzone lub w wyniku śledztwa nie dopatrzono się znamion przestępstwa.

– Co mam z tym zrobić? – spytał zdumiony Kamiński.

Rafalski wzruszył ramionami.

– Chciał pan dowodów – odparł. – Oto one. Proszę je przejrzeć i dopiero wówczas zdecydować, czy mi wierzyć.

Andrzej schował płytę.

– Przez telefon mówił pan, że wie, kto stoi za sprawą skradzionego kontenera. Jak nazywa się ten człowiek?

Komisarz zbladł, powieka nerwowo mu zadrgała. Wyszeptał ściśniętym głosem:

– Oleg Tichonow.

Maks, siedząc na kanapie, spoglądał na stojących przed nim Szczypiora i Małego, a jego stalowe oczy mogłyby zmrozić piekło. Obaj gangsterzy, przed którymi drżały największe zbiry w Trójmieście, stali z opuszczonymi głowami, obawiając się swojego szefa. Woleli, żeby Maks na nich nawrzeszczał, wyzwał od najgorszych, może nawet zdzielił w twarz – ale on po prostu przyglądał im się i milczał. Przez to był jeszcze bardziej groźny.

Szczypior przestępował z nogi na nogę, cały czas trzymając pod pachą laptopa zabranego z mieszkania Kowalewskich, natomiast Mały wbił spojrzenie w swój dres, obryzgany krwią zamordowanej kobiety. Z tego właśnie powodu Maks był wściekły.

Wszystko miało zostać załatwione cicho i bez hałasu. A teraz zacznie się dochodzenie policyjne, któremu będzie trzeba ukręcić łeb w zarodku – to będzie kosztowało. Gorzej, że informacje o morderstwie pojawią się w lokalnej prasie i telewizji. Dziennikarze zaczną zadawać pytania: jak to się mogło stać, że w biały dzień we własnym mieszkaniu została zasztyletowana kobieta? Jakie były motywy? Dlaczego jeszcze nie ujęto przestępców? Nie da się zamknąć ust wszystkim reporterom, zdjąć z emisji programów telewizyjnych ani wstrzymać druku ar-

tykułów. Policja będzie musiała się tłumaczyć z postępów w śledztwie i prędkiej czy później dokonać jakiegoś spektakularnego aresztowania. A to oznaczało, że trzeba znaleźć kozła ofiarnego. Maks zmrużył oczy, skupiając spojrzenie na Małym.

– Nie miałem wyjścia – rzekł mężczyzna płaczącym głosem, jakby telepatycznie wiedział, o czym jego szef właśnie myśli. – Przecież nie mogłem pozwolić, żeby zobaczyła nasze twarze!

Oczy Maksa, o ile to możliwe, stały się jeszcze chłodniejsze, a stojący przed nim mężczyźni poczuli na karkach niemal arktyczny mróz.

– Zostawcie laptopa i won mi z oczu – wycodził.

Gangsterzy wypuścili z ulgą powietrze. Mały pierwszy ruszył do wyjścia, chcąc znaleźć się jak najdalej od szefa, a zaraz w jego ślady poszedł Szczypior, po tym gdy postawił komputer na stoliku. Maks odprowadził ich wzrokiem, z dezaprobatą kręcąc głową. Coraz trudniej było o porządnych fachowców. Teraz do gangsterki garnęli się gówniarze, ledwo odrośli od ziemi, napakowani sterydami i pełni dobrych chęci, ale zupełnie pozbawieni rozumu.

Kiedyś było inaczej. Liczył się przede wszystkim spryt, a dopiero potem mięśnie. Maks na drogę przestępstwa wkraczał jeszcze za komuny, kiedy to istniała tylko jedna mafia, mająca swoich szpiegów dosłownie wszędzie, setki tysięcy żołnierzy i nieograniczone możliwości. Nazywała się władza ludowa. Przestępcy działali wówczas w podziemiu niemal ramię w ramię z opozycją. Zresztą niejednokrotnie te dwa światy się przenikały.

Teraz było zupełnie inaczej. To przedstawiciele władz i biznesu zabiegali o pieniądze i poparcie gangsterów, bo dobrze wiedzieli, że sami, bez odpowiedniego zaplecza, nic nie znaczą. Dobre układy z mafią pozwalały im na sfinansowanie kampanii wyborczych, zdobycie funduszy na realizację projektów biznesowych bez niewygodnych pytań bankowców oraz na dyskretne pozbycie się konkurencji. Wszystkie akcje planowane były na samej górze, przez szefów mafii, i w dobie telefonów komórkowych szeregowi żołnierze mieli tylko wykonać zadanie. Bezmyślnie, ale efektywnie. Szczypior i Mały swoje zadanie wykonali i tylko to się dla nich liczyło. Nie obchodziło ich, że pozostawili po sobie bajzel, który będzie trzeba sprzątnąć.

Maks westchnął ciężko, sięgnął po laptopa i włączył go. Otworzył Microsoft Worda i odnalazł ostatni plik tekstowy, nad którym pracował Dariusz Kowalewski. Trzeba przyznać, że chłopak był niezwykle dobrze zorganizowany, choć gdy żył, wcale na takiego nie wyglądał. Zeskanował zdjęcia tajemniczych tabliczek, skatalogował i ponumerował, a następnie wkleił obrazy do dokumentu. Przedstawił krótki opis każdego zdjęcia, a tłumaczenie inskrypcji dodał dla wyróżnienia kursywą.

Gangster uśmiechnął się. Dzisiaj jego szef wraca do kraju i pewnie od razu zapyta o postępy w sprawie, a Maks będzie mógł mu to pokazać. Może szef nawet przymknie oko na śmierć chłopaka i jego matki. Dariusz Kowalewski i tak miał umrzeć, a kobieta była wypadkiem przy pracy.

Maks pobieżnie przeleciał wzrokiem tekst, nie zagłębiając się w jego treść. Nie obchodziły go tajemnice sta-

rożytności, zapomniani bogowie i archaiczne legendy. Może gdyby z zainteresowaniem przeczytał zapiski stro-
na po stronie, wówczas włosy na głowie posiwiałyby mu
jeszcze bardziej. Zamiast tego zamknął laptopa i łyknął
aspirynę. Ból głowy po wczorajszej walce z gówniarzem
cały czas mu dokuczał. Spojrzał na zegarek. Dochodziła
dwunasta. Przegrał interesujące pliki z laptopa na płytę
DVD, następnie wstał z kanapy i ruszył w stronę sypial-
ni. Postanowił się trochę przespać i zregenerować siły,
bo nie chciał, żeby szef zauważył zmęczenie na jego twa-
rzy.

Oleg Tichonow nie tolerował słabości u swoich ludzi.



– Oleg Tichonow na początku lat dziewięćdziesiątych
przybył do Polski jako rezydent sołncewskiej mafii. – To-
masz Rafalski przysunął się do Andrzeja najbliżej jak tyl-
ko mógł i teraz mówił szeptem. – Wcześniej przebywał
w Stanach Zjednoczonych, gdzie zbierał haracze od ro-
syjskich hokeistów grających w NHL.

– Obieżyświat z niego – zażartował Kamiński, jed-
nak jego uśmiech zaraz zgasł, gdy ujrzał wbite w siebie
surowe spojrzenie komisarza.

– Tichonow to były oficer GRU. Ukończył Akademię
Armii Radzieckiej, gdzie szkolono go do operacji wywia-
dowczych. Oprócz tego studiował na kierunku dyploma-
tycznym, uczęszczał do Wojskowego Instytutu Języków
Obcych, a także do Wyższej Szkoły Dowódczej Wojsk
Powietrznodesantowych w Riazaniu.

Andrzej Kamiński zagwizdał z podziwem.

– Widzi pan więc, że nie jest to zwykły bandyta, ale człowiek inteligentny, wszechstronnie wykształcony i odpowiednio wyszkolony przez wywiad. Potrafi odnaleźć się w każdej sytuacji, dogadać się z ludźmi, manipulować nimi, zastraszać i kiedy trzeba, zabić.

– Taki rosyjski James Bond.

– James Bond to przy nim przedszkolak. Nie wiem, co Oleg Tichonow robił w latach osiemdziesiątych, ale podejrzewam, że brał udział w operacjach wywiadowczych GRU we wszystkich zakątkach świata. Nie dość, że zdobył doświadczenie, to jeszcze odpowiednie kontakty, co w branży przestępczej jest nieocenione.

Tomasz Rafalski sięgnął po filiżankę z kawą, nieśpiesznie upił kilka łyków i ciągnął dalej.

– W latach osiemdziesiątych Tichonow służył prawdopodobnie w Afganistanie. Podejrzewam, że tam po raz pierwszy miał styczność z handlarzami narkotyków. Na afgańskim południu, gdzie Armia Radziecka zniszczyła praktycznie cały system kanałów irygacyjnych, jedyne co można było uprawiać to mak, z którego wytwarzano opium. Narkotyki zawsze stanowiły najważniejsze źródło zdobywania pieniędzy przez partyzanckie armie i nie inaczej było w tym przypadku. Tichonow przerzucał narkotyki na Zachód, kanałami radzieckiego wywiadu.

– Działał przeciwko swoim? – zdumiał się Andrzej.

Komisarz prychnął śmiechem.

– To było tuż przed pierestrojką. Wiadomym było, że radzieckie imperium chwieje się niczym kolos na glinianych nogach i lada chwila wszystko się zawali. Nikt już nikogo nie pilnował, każdy chciał się jakoś ustawić. A przed kim miał odpowiadać funkcjonariusz GRU?

– Racja. – Kamiński pokiwał głową. – Jak rozumiem, po powrocie do kraju związał się z sołncewską mafią?

– Zgadza się – potwierdził Rafalski. – Po rozpadzie Związku Radzieckiego służba w GRU nie wiązała się już z prestiżem ani z wielkimi pieniędzmi. Jak wcześniej wspomniałem, szefowie Sołncewa najpierw wysłali go do Stanów Zjednoczonych, a potem do Polski. U nas pierwsze, co zrobił, to dogadał się z pruszkowską mafią. Załatwił to tak, że wszystkie towary rosyjskiej mafii swobodnie przechodziły przez ich kanały przerzutowe, a w zamian Tichonow zobowiązał się do usunięcia konkurencji. Jak powiedział, tak zrobił. Jego żołnierze w ciągu zaledwie roku zlikwidowali szefów innych gangów, a w ciągu następnych dwóch lat Tichonow podporządkował sobie bossów mafii pruszkowskiej.

– Rezolutny facet.

– I wizjoner mający dalekosiężne plany. – Tomasz Rafalski uśmiechnął się lekko, chyba po raz pierwszy podczas ich rozmowy. – Jego zainteresowanie skupiło się na Trójmieście, gdzie uruchomił kanał przerzutowy do Anglii dla rosyjskich podróbek papierosów. Wynajmował statki, które brały pod pokład kontrabandę, przekupywał celników oraz pracowników portu. Po jakimś czasie interes zaczął kwitnąć, a dochody przekraczały najśmielsze oczekiwania.

Komisarz dopił do końca kawę.

– Oczywiście nie spodobało się to trójmiejskiej mafii. Rozpoczęła się brutalna wojna o wpływy, którą oczywiście nasi rodzimi gangsterzy przegrali. Jej finał nastąpił w klubie „Las Vegas” wraz ze śmiercią Nikosia. Od tej chwili Oleg Tichonow niepodzielnie rządzi na Wybrze-

żu. Nie ma takiego przekrętu, w którym nie maczałby palców, albo o którym by nie wiedział.

Andrzej Kamiński przez chwilę milczał, próbując ogarnąć to, co przed chwilą usłyszał. Jeśli chociaż część z tego okazałoby się prawdą, to w sprawę kontenera z Latakii zamieszana była rosyjska mafia. A to mogło oznaczać, że tajemnicze artefakty nie stanowiły przedmiotów kultu, lecz były dziełami sztuki szmuglowanymi na sprzedaż. W takim układzie najlepiej byłoby zostawić cały ten burdel Wydziałowi do Walki z Przestępczością Zorganizowaną, samemu zaś zdać raport z dochodzenia i zamknąć sprawę.

Jednakże to nie tłumaczyło śmierci kierowcy tira oraz faktu, że żadne muzeum nie zgłosiło kradzieży eksponatów. Ponadto była jeszcze legenda o kananejskim kapłanie boga Baala, opowiedziana przez Ryszarda Formelę, która cały czas nurtowała Andrzeja. Nie żeby w nią wierzył, ale zastanawiał się, kim jest tajemniczy właściciel kontenera, który wywarł takie wrażenie na trzecim oficerze ze statku „Tychy”.

Kamiński westchnął ciężko, wiedząc, że tej sprawy nie może sobie odpuścić. Instynkt samozachowawczy kazał mu trzymać się od tego z daleka i wracać do Warszawy i nikt nie miałby do niego pretensji za zakończenie śledztwa, ale jakaś siła pchała go dalej. Można było nazwać to ambicją, ale Andrzej wolał inne określenie – głupota.

– Gdzie mogę znaleźć tego Tichonowa?

Tomasz Rafalski wytrzeszczył na Kamińskiego oczy i zamrugał kilka razy.

– Chce się pan z nim spotkać?

– Czemu nie? – Andrzej wzruszył ramionami. – Przynajmniej będę wiedział, na czym stoję.

Komisarz pokręcił z dezaprobatą głową, a w jego spojrzeniu można było wyczytać, że właśnie pije kawę z przyszłym trupem.

– Nie znam jego miejsca zamieszkania. – Rafalski podniósł się z kanapy, wygrzebał w kieszeni banknot dziesięciozłotowy i rzucił na stół. – Na płycie DVD, znajduje się spis nocnych klubów pod jego protektoratem. Może tam go pan znajdzie? A teraz proszę mi wybaczyć. Obowiązki wzywają.

Rafalski podał Andrzejowi rękę na pożegnanie i stawiając długie kroki, godne prawdziwego tolkienowskiego Drzewca, opuścił kawiarnię. Kamiński zamówił wodę mineralną i zastanawiał się, jak rozegrać tę partię.

Wyszedł dopiero po godzinie.

Dziesięć minut po piętnastej Oleg Tichonow przemierzał halę odpraw Portu Lotniczego Gdańsk imienia Lecha Wałęsy krokiem żwawym i prężnym, zupełnie jakby był młodzieńcem, a nie mężczyzną po pięćdziesiątce. Choć włosów na głowie już prawie nie miał, za to posiadał wyraźnie zaokrąglony brzuch, było w nim coś, co sprawiało, że kobiety spoglądały na niego z zainteresowaniem. Z każdego gestu emanowała olbrzymia pewność siebie i drapieżność dzikiego zwierzęcia, co w połączeniu z wiecznie przyklejonym do ust uśmiechem tworzyło piorunującą mieszankę. Mężczyzna miał na sobie najlepszej jakości czarny garnitur Armaniego, bordową

koszulę z wiosennej kolekcji, na rękę gustowny zegarek i nikt z obecnych w holu gdańskiego portu lotniczego nie powiedziałby, że to gangster – rezydent rosyjskiej mafii w Polsce.

Kwadrans wcześniej wysiadł z samolotu, który przyjechał z Moskwy, gdzie omawiał z przywódcami Sołncewa problem neapolitańskiej mafii. Camorra – bo pod taką nazwą organizacja była znana – od niemal dwustu lat działała na terenie Neapolu, zaczynając od oszustw, wymuszeń i zabójstw. Później rozszerzała działalność na całe Włochy, skutecznie rywalizując z sycylijską cosa nostra. Obecnie wpływy neapolitańskiej mafii rozciągały się od Ameryki Południowej, poprzez USA, aż po Europę Zachodnią. Do tej pory camorra i Sołncewska Brać nie wchodziła sobie w drogę, ale teraz miało się to zmienić.

Oleg Tichonow ukłonił się mijanej stewardesie, ślicznej brunetce, którą często spotykał na pokładach samolotów Polskich Linii Lotniczych. Dziewczyna obdarzyła go uśmiechem, ale nie zawodowym i wystudiowanym, lecz takim, jakim kobieta obdarza mężczyznę, który jej się podoba. Ukontentowany Rosjanin obejrzał się za nią, podziwiając długie, wysmukłe nogi i idealną talię opiętą obcisłym kostiumem.

Zaraz jednak zmarszczył gniewnie brwi, wracając myślami do camorry. Tichonow nazywał przywódców klanów neapolitańskiej mafii „śmieciarzami”, z racji tego, że od dziesięciu lat kontrolowali biznes utylizacji i spalania śmieci. Największe pieniądze zarabiali na wywożeniu trujących odpadów z północy i centrum Włoch na południe, czyniąc z Kampanii jedno wielkie wysypisko. Kon-

cerny przemysłowe płaciły gangsterom grube pieniądze za odbiór toksycznych odpadów, które później, wbrew przepisom, były składowane w jaskiniach i zapadliskach wokół Wezuwiusza.

Do tej pory „śmieciarze” trzymali się z daleka od Europy Środkowej i Wschodniej, będącej pod kontrolą Sołncewa. Co prawda camorra próbowała mniejszych lub większych podchodów, ale nigdy nie zdecydowała się na otwarty konflikt. Mniej więcej rok temu otworzyła w Polsce kanał przerzutowy dla papierosów z Ukrainy do Włoch. Przewożone nielegalnie przez granice Unii Europejskiej nie były obciążone cłami i podatkami, dzięki czemu sprzedawano je taniej. No i smakowały lepiej niż chińskie podróbki. Handel nadzorowali rezydenci z Warszawy i Katowic.

Gangsterzy z Sołncewskiej Braci przez ten cały czas uważnie im się przyglądali. Dawno nauczyli się, że pochopne działania przynoszą więcej szkody niż pożytku. Gdyby zlikwidowali ludzi neapolitańskiej mafii, zaogniliby sytuację i doprowadzili do wojny, która mogłaby okazać się wyniszczającą dla obu organizacji. Decydenci w Moskwie postanowili poczekać, aż camorra zorganizuje szlaki przerzutowe, rynek zbytu dla papierosów, sieć dystrybucji, a potem to przejąć. Ale nie przy pomocy krwawych egzekucji, morderstw i strzelanin, które tylko niepotrzebnie zwracają uwagę mediów. Rezydenci neapolitańskiej mafii od pół roku mieli w domach zamontowane podsłuchy, szpiegów w najbliższym otoczeniu i założone teczki pełne kompromitujących ich materiałów. Szantaż od zawsze stanowił najskuteczniejsze

narzędzie walki, a teraz wreszcie nadszedł czas, żeby go użyć. Oleg Tichonow miał na to zgodę z Moskwy. Nie mógł pozwolić, żeby camorra bruździła mu pod samym nosem. A wszystko wskazywało, że to właśnie robi.

Rezydent sołncewskiej mafii wyszedł z budynku terminalu lotniczego, ubrał okulary przeciwsłoneczne i rozejrzał się po parkingu. Od razu dostrzegł czarną limuzynę i niespiesznym krokiem ruszył w stronę pojazdu, z dumą mu się przyglądając. Mercedes s600 Pullman Guard na pewno wart był wydanych pieniędzy. Nieprawny obserwator miałby kłopoty z odróżnieniem pancernego samochodu od jego cywilnego odpowiednika. Nawet z bliska oba wozy wydawały się takie same, ale diabeł, jak to zwykle bywa, tkwił w szczegółach. Grube na kilka centymetrów szyby składały się z kilku warstw szkła przekładanych specjalnymi foliami sklejonymi poliwęglanem i były nie do przebicia. Poszycie zewnętrzne limuzyny wykonano z blachy balistycznej specjalnie wzmocnionej i hartowanej. Limuzynę wyposażono również w niewidoczne z zewnątrz otwory strzelnicze, przystosowane do instalacji pistoletów maszynowych typu Heckler Koch MP-5 – ulubionej broni ochroniarzy.

Ale Oleg Tichonow nie kupił pancernego samochodu dlatego, że obawiał się o swoje bezpieczeństwo, był bowiem tak pewny siebie, że nawet latał rejsowymi samolotami. Mercedes s600 stanowił dla niego zabawkę, kaprys, na który mógł sobie pozwolić.

Z pojazdu wysiadł kierowca, potężny mężczyzna w czarnym garniturze, o śniadym obliczu, wskazującym na kaukaskie pochodzenie. Skinął Tichonowowi na powitanie i otworzył przed nim tylne drzwi.

– Dziękuję, Dimitri – rzekł Tichonow, wsiadając. Rozparł się wygodnie w fotelu i uśmiechnął do siedzącej naprzeciwko kobiety. – Zdrastwuj, Marta.

W czasie gdy Oleg Tichonow wsiadał do pancерnej limuzyny, Andrzej Kamiński skończył jeść obiad na tarasie hotelu „Hanza”. Nie chciał wracać do pokoju, więc zamówił jeszcze sok pomarańczowy i włączył laptopa. Postanowił popracować na świeżym powietrzu, ciesząc się popołudniowym słońcem. Hotel znajdował się w strefie bezprzewodowego Internetu i Kamiński mógł swobodnie odbierać pocztę elektroniczną i surfować po sieci. Dzisiaj jednak miał coś innego do załatwienia. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął płytę DVD, którą otrzymał od Tomasza Rafalskiego, i wsunął do kieszeni laptopa. Na monitorze ujrzał dokładnie opisane katalogi. Musiał przyznać, że komisarz był niezwykle skrupulatnym człowiekiem, gdyż posegregował pliki wedle spraw kryminalnych, gospodarczych i dossier gangsterów. Osobno skatalogował wnioski, osobno swoje podejrzenia, załączył zdjęcia i zeskanowane policyjne raporty.

Andrzej zaczął przeglądać pliki tekstowe, czytać o działaniach sołncewskiej mafii w Polsce od wczesnych lat dziewięćdziesiątych aż do dnia dzisiejszego. Rzetelna dokumentacja zebrana przez Rafalskiego świadczyła o prawdziwości jego słów.

Kamiński czytał o strzelaninach, podłożonych ładunkach wybuchowych, zabójstwach na zlecenie, których sprawców nigdy nie ujęto. O szantażach, porwa-

niach i wymuszeniach haraczy, i o tym, że wszystkie te sprawy były wyciszane, pomimo solidnych dowodów: policja umarzała dochodzenia, lokalni politycy świadomie je ignorowali, a dziennikarze zajmujący się tematem nagle milkli. Andrzej ze zdumieniem przeglądał długą listę nazwisk kapitanów, oficerów i marynarzy statków handlowych będących na usługach Sołncewskiej Braci. To oni zajmowali się przemytem rosyjskiej kontrabandy na zachód Europy. Zebrane przez Rafalskiego materiały może nie były stuprocentowymi dowodami, ale na pewno stanowiły podstawę do podjęcia niejednego śledztwa.

Otworzył kolejny katalog, dotyczący spraw gospodarczych. Tutaj więcej było przypuszczeń i hipotez niż konkretnych analiz. Kamiński dowiedział się o kupowaniu przez Sołncew upadłych zakładów zbrojeniowych na Węgrzech i współpracy z niemieckimi służbami BND, o zakładaniu firm, które na giełdzie zyskiwały na wartości dzięki wychwalaniu ich przez przekupionych dziennikarzy biznesowych i analityków rynkowych, wreszcie o przekrętach w sprawie kontraktu na dostarczanie gazu.

Andrzej sięgnął po sok i duszkiem wypił pół szklanki. Otworzył folder dotyczący Tichonowa i przeczytał jego życiorys. Na podstawie zamieszczonych zdjęć ocenił, że facet musi posiadać niezwykłą charyzmę. Mocne rysy twarzy potwierdzały silny charakter, przestawiona przegroda nosowa świadczyła, że nie stroni od walki, a z szarych, zimnych oczu trudno było cokolwiek wyczytać. Za radą Rafalskiego przejrzał listę klubów nocnych, którymi opiekowała się sołncewska mafia. Jeden z nich, znajdujący się w Sopocie, był bezpośrednią własnością Tichonowa, a więc prawdopodobne było, że rezy-

dent Sołncewa ten właśnie lokal wybrał na swoją siedzibę. Andrzej postanowił, że to sprawdzi.

Potarł zmęczone oczy i spojrzał na Motławę. Nad spokojnym lustrem wody szybowały rybitwy wypatrujące pożywienia. Z przystani na Ołowiance odbijał właśnie prom z turystami, którzy po zwiedzeniu Centralnego Muzeum Morskiego zapewne pragnęli coś zjeść, a najlepsze restauracje znajdowały się na Długim Pobrzeżu. Środkiem rzeki płynął kajak z dwojgiem ludzi w średnim wieku. Siedząca z przodu kobieta instruowała mężczyznę, jak ma wiosłować, sama zaś, zamiast podziwiać piękno mijanych kamienic i gdańskich wysp, zwracała twarz ku słońcu. Ważniejsza od wrażeń z wakacji była opalenizna.

Gdyby Andrzej Kamiński spojrzał na prawo, w stronę Wyspy Spichrzów, tam, gdzie zwykli siadywać rybacy, ujrzałby umundurowanych policjantów. Funkcjonariusze odgradzili taśmą teren i odpędzali gapiów, gdy nurkowie wyciągali na brzeg topielca. Gdyby Andrzej Kamiński zainteresował się sprawą, usłyszałby, że wyłowiono bezdomnego, który po pijanemu wpadł do rzeki. Zapewne zdziwiłby go fakt, że kloszard miał wyrwane serce i obrażenia przypominające te, jakie stwierdzono w przypadku kierowcy tira. Może zastanowiłoby go również to, że wypadek miał miejsce tak blisko jego hotelu?

Ale nie spojrzał w tamtym kierunku.

Mercedes s600 Pullman Guard wyjechał z parkingu i skierował się w stronę Gdańska. Oleg Tichonow otwo-

rzył barek, nalał sobie whisky, dorzucił kostki lodu i upił spory łyk. Dopiero wówczas ponownie spojrzął na towarzyszącą mu kobietę.

Miała platynowe, niemal białe włosy, przycięte do ramion, i wnikliwe, urzekająco piękne brązowe oczy, podkreślone delikatnym makijażem. Tichonow nie miał pewności, czy na pewno są brązowe, bowiem źrenica zlewała się z tęczęwką, czyniąc jej spojrzenie nieprzeniknionym. Karnację miała ciemną, nos lekko uwydatniony, co dodawało jej tylko uroku, i pełne, perłowe usta. Ubrana była w zielony żakiet i tego samego koloru obcisłą spódniczkę mini, dzięki czemu Rosjanin mógł podziwiać długie, opalone nogi kobiety. Nosiła wysokie szpilki związane na pasek wokół kostki, co dodawało całej postaci niezwykle erotyzmu.

Trudno było określić jej wiek. Skórę miała jędrną jak u dwudziestolatki, jednak mądrość i doświadczenie, które nosiła w sobie, przyprawiały o gęsią skórkę nawet Tichonowa. Rezydent sołncewskiej mafii w swoim życiu miał wiele kobiet, niektóre z nich były jedynie ozdobą, dodatkiem na bankietach w ambasadach i na przyjęciach biznesowych – plastikowe lale niewarte złamanego rubla. Inne były namiętne, odgadywały jego pragnienia i potrafiły dać wiele rozkoszy. Ale również one były tylko chwilowymi kaprysmi. Tichonow uwielbiał kobiety bystre, inteligentne, posiadające silną osobowość, które mógł traktować jak równe sobie. I taka właśnie była Marta. Posiadała zarówno zalety damy, z którą można pokazać się w towarzystwie, jak i namiętnej kochanki. Po raz pierwszy w ciągu swojego ponadpięćdziesięcio-

letniego życia to on zastanawiał się, co taka kobieta robi u jego boku?

Położył dłoń na jej udzie i delikatnie zaczął pieścić.

– Stęskniłaś się za mną, słoneczko?

Jasnowłosa piękność spiorunowała go wzrokiem. Dłoń Tichonowa zatrzymała się w połowie drogi do jej majtek.

– Daruj sobie infantyлизм. – Głos miała lekko zachrypnięty, ale przez to bardziej uwodzicielski. – Przelecisz mnie później, a teraz się skup.

Najważniejszy człowiek rosyjskiej mafii w Polsce, były agent sowieckich służb specjalnych, gangster siejący strach w sercach wrogów, posłusznie cofnęła rękę i z miną zbitego psa zapadł się głębiej w fotel. Sam nie wiedział, dlaczego ta kobieta zyskała nad nim taką władzę.

– Mów – rzekł, siląc się na obojętny ton, lecz w jego głosie pobrzmiwała uraza.

Niezrażona tym Marta zaczęła mówić:

– Tak jak prosiłeś, umówiłam cię z przedstawicielami camorry. Alessandro Pantani przylatuje z Warszawy jutro w godzinach porannych, natomiast Giuseppe Rossi z Katowic będzie późnym wieczorem. Warunek, jaki postawili, to nie więcej niż pięciu ludzi ochrony. Zdecydowałam, że najbardziej nadaje się do tego pałacyk w Leżnie, zaledwie siedem kilometrów od gdańskiego lotniska. Mają tam apartamenty, pokoje, restaurację i salę konferencyjną. Wynajęłam na weekend cały obiekt, żeby nikt nam nie przeszkadzał, a dodatkowo kazałam twoim ludziom zrobić rozeznanie w terenie. Ostrożności nigdy za wiele.

– Mądra dziewczynka. – Tichonow wyszczerzył zęby w uśmiechu, lecz zaraz spowaźniał. – Ale nie chcę ich zabijać. Przynajmniej na razie.

– Oleg. – Kobieta zmarszczyła brwi. – Oni włożą z buciorami na twój teren! Ukradli kontener z gdyńskiego portu.

– Myślisz, że to oni?

– Jestem tego pewna.

Tichonow upił whisky i zamyślony spojrzął przez okno.

– Nie chcę wywoływać wojny o taką błahostkę.

– Co zatem zrobisz?

Rosjanin uśmiechnął się zawadiacko.

– Grzecznie poproszę, żeby to było po raz ostatni. W ramach zadośćuczynienia zażądam udostępnienia kanałów przerzutowych oraz niewielkiego procentu od dochodów. Jeśli nie będą chcieli przystać na moje warunki, to cóż... – Tichonow rozłożył bezradnie ręce. – Wówczas Neapol dowie się o ich grzeszkach. A to będzie bolało. Wiesz, jak camorra dokonuje egzekucji?

Marta pokręciła głową.

– Trzy strzały z pistoletu oddane z bliska w sam środek czaszki. Następnie egzekutor obcina piłą elektryczną głowę zabitego i odsyła ją rodzinie.

– Na nic więcej ich nie stać? – Kobieta uniosła lekko brew.

Rezydent Sołncewa zastanawiał się, skąd ona pochodzi, skoro opowieść nie wywarła na niej żadnego wrażenia. Na pewno nie urodziła się w Polsce, bo choć doskonale znała język, zdradzała ją melodyjna wschodnia nuta w akcencie.

Pojawiła się w jego życiu dopiero niedawno, imponując pewnością siebie, urodą, przebiegłością i klasą, jakiej nie posiadały inne kobiety. Kazał swoim ludziom dowiedzieć się wszystkiego na jej temat, ale ci, chociaż dysponowali całą siatką wywiadowczą GRU, nie zdołali zdobyć żadnych informacji. Musiała przyjechać do Polski z mało cywilizowanego kraju, gdzie dowody tożsamości, akty urodzenia i inne dokumenty były nieważne. Tichonow obstawiał Kaukaz: Armenia, Azerbejdżan, Dagestan albo Czeczenia. Chociaż semickie rysy twarzy wskazywały raczej na Bliski Wschód.

Mężczyzna nagle sobie o czymś przypomniał.

– Czy ten chłopak, który dostał zdjęcia, odszyfrował już teksty z tabliczek?

Marta spojrzała na Tichonowa nieprzeniknionym wzrokiem.

– Chłopak nie żyje – odparła beznamiętnie. – Ale Maks twierdzi, że rozszyfrowany tekst znajduje się w jego posiadaniu. Jeszcze dzisiaj ci go przywiezie.

Tichonow zmarszczył czoło. Nie wydał rozkazu wyeliminowania chłopaka, więc coś musiało pójść nie tak. Jednakże ufał Maksowi i wierzył, że ten zrobił tylko to, co bezwzględnie konieczne. Postanowił się tym więcej nie przejmować.

– Czy coś jeszcze wydarzyło się podczas mojej nieobecności?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nic wartego twojej uwagi – odparła. – Po terminale kontenerowym znowu kręcił się ten agent ABW, ale raczej nie jest groźny. W każdym razie kazałam go śledzić.

– Coś jeszcze?

– Jedna dziwka w „Nikicie” podcięła sobie żyły, ale ją odatowano. – Marta uśmiechnęła się zalotnie i oblizała usta koniuszkiem języka. – Ponoć zakochała się, ale gdy facet dowiedział się o jej profesji, to ją rzucił.

– Idiota. – Tichonow teatralnie wydał wargi. – Moje dziewczyny są najlepsze.

– Ale raczej rozmową intelektualną męża nie zabawia.

Rosjanin roześmiał się rubasznie.

– Przecież ty potrafisz.

– Ja nie jestem dziewczyną – odparła figlarnie. Następnie rozplątała rzemień i ściągnęła prawy buty. Zmysłowo wyciągnęła nogę, kładąc stopę na kroczu mężczyzny, i zaczęła delikatnie masować. – Choć tu do mnie.

Tichonow nacisnął przycisk opuszczający zaciemnioną szybę dzielącą ich od kierowcy, przysiadł się do Marty i wtulił twarz w jej włosy. Poczłł oszałamiający zapach kobiety i wypełniające go pożądanie. Nic więcej się nie liczyło.



Pomimo późnej pory, po sopockim deptaku spacerowało wielu ludzi. Dopiero teraz, gdy słońce zaszło, mogli wreszcie wyjść z klimatyzowanych pomieszczeń, żeby pooddychać świeżym powietrzem. W świetle latarni dostrzec można było obściskujące się pary kochanków, których połączył wakacyjny romans. Teraz świata poza sobą nie widzieli, ale lato przeminie, a wraz z nim ich namiętność.

Kamiński zostawił samochód na parkingu niedaleko dworca kolejowego i ruszył w dół ulicą Bohaterów Monte Cassino zwanej potocznie Monciakiem, biegnącej aż do słynnego sopockiego molo. Kiedy mijał garnizonowy kościół Świętego Jerzego, zegar zaczął wybijać północ, ale Andrzej się tym nie przejmował. Tam, dokąd zmierzzał, ruch w interesie dopiero się zaczynał.

Szedł krokiem niespiesznym, delektując się ciszą, gdyż deptak był zamknięty dla ruchu samochodowego, Mijał po drodze restauracje, mające cały czas klientów, kawiarnie ze stolikami wystawionymi na zewnątrz, wypełnione po brzegi kluby, z których dobiegała muzyka, czynne całą dobę stoiska z pamiątkami, malarzy, karykaturzystów. Podczas sezonu turystycznego Sopot tętnił życiem nawet w nocy.

Andrzej zatrzymał się na chwilę przy Krzywym Domku, podziwiając jego koślawą fasadę, wyciągniętą wprost z sennych majaczeń lub kubistycznych obrazów. Budynek był jedną z największych atrakcji kurortu i nawet o tej porze wielu turystów robiło sobie przy nim zdjęcia.

Kamiński ruszył dalej i zaledwie po dwóch minutach doszedł na plac Zdrojowy. Przed sobą miał molo i szumiące morze, po lewej widoczny z oddali zabytkowy Grand Hotel, w którym od zawsze zatrzymywali się słynni goście. Natomiast on skręcił w prawo, w ulicę Powstańców Warszawy i szedł przed siebie. Tutaj nie było już tłumów, a nieliczni przechodnie przemykali chyłkiem w cieniu nikłego blasku latarni, jakby mieli coś do ukrycia. Pomędzy tętniącym życiem Monciakiem a boczną, zapomnianą uliczką kontrast był uderzający.

Po kilku minutach Kamiński dostrzegł wielki, błyszczący neon, na którym widniała roznegliżowana dziewczyna trzymająca się rury. Różowy napis na szyldzie informował: NIKITA – KLUB NOCNY.



ROZDZIAŁ 4

PIĄTEK, 16 LIPCA 2010 R.

Fiodor Sorokin zwany Sroką był barczystym mężczyzną o wydatnej szczęce i krótko obciętych, jasnych włosach. Pomimo że został wciśnięty w drogi garnitur, a na stopach miał buty kosztujące kilkaset złotych, już na pierwszy rzut oka widać było, że lepiej pasowałby do niego wojskowy mundur i żołnierskie trepy. Fiodor Sorokin był bowiem weteranem drugiej wojny w Czeczenii.

W 1999 roku, gdy nastąpiły zamachy bombowe w Moskwie, Riazaniu i Wołgodońsku, a rosyjskie media znajdujące się w rękach rządu obarczyły winą czeczeńskich terrorystów, młody Fiodor zaciągnął się do wojska i wyjechał do Czeczenii bronić ojczyzny. Teraz starszy o jedenaście lat i trochę mądrzejszy wiedział, że zamachy zostały zorganizowane przez rząd, a konkretnie przez agentów Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Dzięki temu Rosja miała pretekst do rozpętania wojny.

Sorokin zdawał sobie sprawę, że w Czeczenii nie będzie łatwo, ale to, co tam zastał, przerosło najgorsze ocze-

kiwania. Nagle znalazł się w samym sercu piekła. Żołnierze, z którymi wieczorem pił wódkę, rano byli rozrywani przez miny, przyjaźnie zawierano szybko i równie szybko kończyły je czeczeńskie pociski. Ale Rosjanie brali srogi odwet za pomordowanych towarzyszy broni. Na porządku dziennym było okrucieństwo wobec jeńców, niekończące się tortury i gwałty na kobietach w zdobytych miastach. Fiodor widział, jak porządni ludzie zamieniają się w obłąkanych morderców, dobrzy żołnierze w bezmyślnych zabójców i wówczas zrozumiał, że każdy człowiek nosi w sobie bestię.

A potem przyszła zima i wojska rosyjskie ruszyły na Grozny. Szturm na miasto Sorokin pamiętał jak przez mgłę. Pociski pancerne druzgocące zabudowania, unoszący się wokół kurz, serie z karabinów maszynowych, nieustanny bieg, pot i strach. Nagle tuż obok wybuchł granat, zabijając dwóch jego towarzyszy, a on sam trafiony odłamkiem wykrwawiał się w zgliszczach jakiegoś domu. I pewnie umarłby w tym opuszczonym przez Boga kraju, którego historia od wieków znaczone była przelaną krwią, gdyby nie pułkownik Oleg Tichonow. Fiodor nie wiedział jak, ale ten facet wyciągnął go z tego piekła, a tym samym uratował życie.

Po powrocie z Czeczenii Sroka jako weteran wojenny miał problem ze znalezieniem normalnej roboty, ale wówczas po raz drugi pomocną dłoń wyciągnął do niego Tichonow. Dał mu pracę. Nie było to zajęcie legalne i na pewno nie spodobałoby się zmarłej matce Fiodora, ale przynosiło całkiem niezłe pieniądze i oczywiście prestiż. Ze swoim nowym szefem przyjechał do Polski i tu się zadowolił.

Teraz ukryty za rogiem sopockiej kamienicy obserwował człowieka, którego kazano mu śledzić. Wiedział, że ów jest oficerem ABW, który węszy wokół interesów Sołncewa. Fiodor zdziwił się, że nie dostał rozkazu jego likwidacji, a miał tylko za nim chodzić. Spytał nawet o to Martę, ale ujrzał tylko gniewne spojrzenie jej czarnych oczu. Za każdym razem, gdy w nie spoglądał, odczuwał mimowolny lęk. Coś przerażającego i mrocznego było w tej kobiecie, która dopiero niedawno pojawiła się u boku szefa i stała się jego najbardziej zaufaną osobą.

Sorokin nie był zazdrosny, znał swoje miejsce w szeregu. Był tylko żołnierzem wykonującym rozkazy, człowiekiem od brudnej roboty. Od myślenia byli ludzie inteligentniejsi od niego, tacy jak Marta. Potrafiła zaplanować operacje, rozdzielić zadania, opracować strategię działania, a nawet przewidzieć ruchy przeciwnika nie gorzej niż najlepsi generałowie. Jednak Srokę martwiło, że Tichonow tak bezgranicznie jej ufa – kobiecie, która zjawiała się znikąd.

Dzwony wybijające północ na wieży kościoła Świętego Jerzego wyrwały Fiodora z zamyślenia. Ponownie skupił się na obserwacji oficera ABW, który nagle zatrzymał się przed jakimś nocnym klubem. Rosjanin wybałuszył oczy ze zdumienia, gdy spostrzegł, że to „Nikita” – lokal należący do sołncewskiej mafii. Wejście do niego równało się wkroczeniu do jaskini lwa. Mężczyzna musiał być niezwykle odważny lub po prostu głupi, co tutaj na jedno wychodziło.

Sroka poczekał, aż za oficerem ABW zamkną się drzwi klubu i ruszył w tamtą stronę. Postąpił dwa kroki i nagle się zatrzymał. Coś było nie tak. Zaniepokojony

zaczął rozglądać się po okolicy, gdyż instynkt samozachowawczy nigdy go nie zawodził. Tak było podczas walk młodocianych gangów w Moskwie, później w Czeczenii w czasie tropienia bojowników i teraz, gdy już pracował dla sołncewskiej mafii. Zawsze gdy zbliżało się niebezpieczeństwo, coś go ostrzegało, jakby włączał mu się w głowie wewnętrzny alarm. Atawistyczny, odziedziczony po przodkach zmysł, dzięki któremu nieraz już uniknął śmierci. Jednakże nic się nie działo, wokół było pusto i tylko foliowa torebka szeleściła unoszona wiatrem.

Fiodor Sorokin jeszcze przez chwilę taksował spojrzeniem ciemne zaułki i bramy kamienic, ale gdy nic podejrzanego nie spostrzegł, pokręcił tylko głową i ruszył przed siebie. Jego nerwy w ostatnim czasie były mocno nadszarpnięte. Pomyślał, że powinien poprosić szefa o kilka dni wolnego, pojechać na Majorkę lub Kretę, gdzie zawsze jest słońce, wynająć apartament w hotelu on-exclusive. Leżąc na plaży lub przy basenie, popijałby drinki, bo w przeciwieństwie do większości swoich rodaków nie lubił czystej wódki, i podrywałby opalone na brąz dziewczyny.

Wtem jego rozważania zostały przerwane przez wyłaniającą się z mroku postać. Ubrana w czerni zlewała się z ciemnością nocy i tylko wprawne oko zdołałoby ją dostrzec. Wychynęła bezszelestnie niczym zjawa i ruszyła w stronę Fiodora. Rosjanin ujrzał jej długie czarne włosy opadające na ramiona, trupioblade oblicze i czarne oczy pozbawione białek. Nie przestraszył się jednak, nie takie już rzeczy widział. Był tylko zły na siebie, że wcześniej nie spostrzegł zagrożenia. Błyskawicznie sięgnął pod marynarkę, do kabury, w której nosił pistolet typu TT,

broń przastarzałą i obecnie wykorzystywaną zazwyczaj do celów ćwiczebnych, ale Fiodor używał jej dlatego, że była niezawodna. Nie ma nic gorszego niż pistolet, który może się zaciąć w najmniej oczekiwanym momencie.

Spokojnie odbezpieczył i wycelował dokładnie w chwili, gdy tajemnicza postać znajdowała się już dosłownie trzy kroki od niego. Sorokin nie wahał się i wpałkował kilka kul w pierś napastnika. Z takiej odległości nie mógł chybić. Pociski przebiły skórę i przedzierając się przez tkanki, ugrzęzły w ciele. Jednak ku zdumieniu Rosjanina przeciwnik nawet się nie zachwiał i nadal na niego nacierał. Fiodor zrozumiał, że nie ma do czynienia z człowiekiem, bo żadna ludzka istota nie przeżyłaby czegoś takiego. Zatem musiał być to demon z piekielnej otchłani, który przybył, aby dokonać zemsty za zbrodnie, za pomordowanych Czeczenów, za zabitych na zlecenie ludzi, za wszystkie podle rzeczy uczynione w życiu. A było tego całkiem sporo.

A może to wampir? – pomyślał Sroka. Jedną z tych istot, którymi w dzieciństwie straszyla go babka, kiedy był niegrzeczny? Podobno nocą wychodzą ze swoich krypt, wybierając tylko mroczne zaułki, bo światło słoneczne jest dla nich zabójcze, i napadają na ludzi, wypijając z nich krew. Jedynym na nie sposobem jest woda święcona, krucyfiks lub czosnek. Żadnego z tych atrybutów Fiodor przy sobie niestety nie posiadał, jednak nie był typem człowieka, który z założonymi rękoma czekałby na śmierć. W chwilach zagrożenia adrenalina dodawała mu siłę, determinacji i woli walki. Czymkolwiek lub kimkolwiek była ta istota, powinna się zdrowo napocić, żeby go pokonać.

Sroka upuścił bezużyteczną broń, błyskawicznie zszedł z linii szarzy napastnika i łokciem uderzył go w skroń. Działał automatycznie, tak jak nauczono go w specnazie i niewielu znał takich, którzy zdołaliby uniknąć podobnego ciosu. Ale trafił w powietrze. Nie przejął się tym jednak i wykorzystując impet, wykonał okrężne kopnięcie z półobrotu. Poczul, jak jego stopa trafia w głowę przeciwnika. Uśmiechnął się z satysfakcją. Po takim ciosie napastnik powinien paść nieprzytomny na ziemię lub w najlepszym wypadku oszołomiony chwiać się na nogach. Rosjanin odwrócił się i uśmiech spełził mu z twarzy.

Strach był nierozzerwalnie związany z życiem Fiodora i zdążył się z nim oswoić. Najpierw jako żołnierz, a potem gangster, niejednokrotnie czuł oplatające go macki lęku, lecz zawsze potrafił sobie z nim radzić. Teraz jednak stał jak sparaliżowany, serce waliło mu w szalonym tempie, zimny pot zrosił czoło, a z piersi dobył się tylko żaloszny charkot.

Demon – bo Sorokin nie miał już żadnych wątpliwości, że ma do czynienia z istotą nadprzyrodzoną – stał pewnie na nogach i tylko z kącików ust spływała mu struzka krwi, ale nie szkarłatna, tak jak u istot ludzkich lub zwierząt, lecz czarna niczym smoła. Kreatura draieżnie wyszczerzyła długie, lśniące w blasku latarni kły i uderzyła szponiastą dłonią w pierś Rosjanina. Pomimo szkolenia wojskowego i lat praktyki Fiodor nie zdołał się obronić. Potężny cios rzucił go o kilka metrów niczym słomianą kukłę. Uderzył plecami o zimne mury kamienicy i bezwładnie osunął się na ziemię. Nie stracił przytomności i próbował się zaraz podnieść. Nic z tego.

Przed oczyma pojawiły mu się mroczki, każda cząstka jego ciała eksplodowała bólem i nie mógł nawet porządnie zaczerpnąć tchu. Wiedział, że ma połamanych kilka żeber, być może uszkodzony kręgosłup. Bezradnie obserwował, jak demon zbliża się do niego krokiem rozkołysanym, drapieżnym, niczym dzikie zwierzę. Stwór nie spieszył się – wiedział, że ofiara już mu nie ucieknie. Fiodor drżącymi ustami szeptał modlitwę, prosząc Boga o odpuszczenie grzechów.

Nagle rozbłysły niebiesko-czerwone światła i powietrze rozdarł ryk policyjnej syreny. Radiowóz nadjechał od strony mola i zahamował z piskiem opon. To zapewne zaniepokojeni mieszkańcy kamienicy, słysząc za oknem strzały, zaalarmowali policję.

Demon zatrzymał się i przekrzywiając głowę w zwierzęcym zaciekawieniu spoglądał na wysiadających z wozu dwóch funkcjonariuszy z wyciągniętą bronią.

– Policja! – krzyknął rozkazująco pierwszy. – Kładź się na ziemię!

Sorokin wypuścił z ulgą powietrze. Co prawda zdawał sobie sprawę, że nic nie zdoła powstrzymać tego potwora, ale zyskał trochę czasu. Spojrzał w bok, dostrzegając w ścianie kamienicy zabite dyktą piwniczne okno. Przywarł do ziemi i przezwyciężając ból, zaczął czołgać się w jego kierunku. W tym samym czasie demon zaatakował policjantów. Fiodor usłyszał dwa strzały z pistoletów, a potem już tylko trzask łamanych kości i przerażone krzyki. Nie oglądał się. Oczyma wyobraźni widział potężne szpony szarpiące ciała nieszczęśników, kły wbijające się w tętnice i fontanny tryskającej krwi. To zmotywowało go do jeszcze większego pośpiechu.

Sapiąc z wysiłku i niemalże mdlejąc z bólu, doczołgał się do okna, zebrał resztki sił i uderzył pięścią w dyktę. Powierzchnia tylko popękała. Za sobą słyszał już zbliżające się kroki. Sorokin wziął głęboki oddech w eksplodujące bólem płuca i uderzył raz jeszcze. Tym razem dykta rozleciała się, a on błyskawicznie wślizgnął się przez powstały otwór. W ostatniej chwili, bowiem czuł już szponiastą łapę na nogawce spodni.

Spadł z wysokości półtora metra, do licznych kontuzji dołączając zwichnięty bark. Podniósł się z trudem i kuśtykając, ruszył do wyjścia, przebijając się przez magazynowane w pomieszczeniu rupiecie. Po drodze chwycił żelazny pręt, który ostatecznie mógłby posłużyć do obrony, wyważył drewniane drzwi piwnicy i znalazł się w ciemnym korytarzu. Pokuśtykał kolejne kilka metrów, skręcił w prawo, namacał niewielką wnękę, w którą się wcisnął. Uspokoił oddech, starając się nie wywoływać najmniejszego nawet hałasu. W absolutnym mroku poczuł się wreszcie bezpieczny, do chwili, gdy uświadomił sobie, że przecież ma do czynienia z bestią, która zapewne bez problemu wytropi go w ciemnościach.

Z bijącym mocno sercem, struchlały Fiodor Sorokin, weteran wojny w Czeczenii, z niepokojem nasłuchiwał kroków na korytarzu. Nagle wstrzymał oddech, słysząc szelest i chrobotanie, ale to tylko szczur buszował w jednym z przyległych pomieszczeń. Rosjanin z ulgą wypuścił powietrze. Oczy przyzwyczyły się już do ciemności, jednakże on nie odważył się wyściubić nosa z kryjóweki. Dzierżąc prowizoryczną broń w spoconych dłoniach, niemal przez godzinę nadstawiał uszu, wypatrując w ciemności zagrożenia, ale demon nie nadchodził.

Może sobie odpuścić? Zaspokoił głód krwią policjantów i odszedł? Taką przynajmniej Sroka żywił nadzieję, gdy zemdlny bólem i zmęczeniem osuwał się na zimną podłogę piwnicy.

Klub nocny „Nikita” nie odróżniał się niczym od innych tego typu przybytków. Przyćmione światła, muzyka sącząca się z głośników i parkiet do tańca z obowiązkową tytanową rurą ustawioną w pionie, na której tancerki zmysłowo wyginały się. Wokół parkietu ustawiono stoliki i kanapy z białej skóry, kontrastujące ze szkarłatem ścian. W głębi znajdował się dobrze zaopatrzony drink bar, gdzie na wysokich krzesłach siedziały prostytutki z pozoru w niedbałych pozach, jednakże tak, aby wyeksponować wszystkie swoje wdzięki. Miały na sobie samą bieliznę, niektóre dodatkowo czarne pończochy samo-nośne i nieodzowne szpilki. Sącząc drinki, uważnie przyglądały się obecnym w lokalu gościom. Nie były to jednak spojrzenia, jakimi kobiety obdarzają atrakcyjnych mężczyzn, ale taksujące, oceniające ich zamożność i gotowość do pozbycia się nadmiaru gotówki. Tak namierzają potencjalnych klientów.

Andrzej Kamiński wręczył bramkarzowi dwadzieścia złotych za samo tylko wejście do lokalu. Skorzystanie z usług dziwki kosztowałoby go dziesięć razy tyle, ale nie to było celem jego wizyty. Niespiesznym krokiem ruszył w stronę baru, nie nawiązując kontaktu wzrokowego z prostytutkami, nie chcąc dawać im okazji do nagabywania, ani z gośćmi klubu – pewnymi siebie samcami,

wygodnie rozpartymi w fotelach, lustrującymi dziewczynki znudzonym wzrokiem. Byli to zazwyczaj dobrze zarabiający managerowie, którzy zaszczuci w pracy przez swoich szefów dopiero tutaj stawali się panami sytuacji. Grube portfele skutecznie leczyły ich niską samoocenę. Czuli satysfakcję z tego, że piękne kobiety kręciły się wokół nich, a oni mogli wybierać. Chociaż zainteresowanie prostytutek było udawane, to iluzja dawała im chwilowe poczucie władzy. Dzisiaj to oni decydowali i wybierali.

Andrzej usiadł przy barze i zamówił sok pomarańczowy. Atrakcyjna ciemnowłosa barmanka spiorunowało go wzrokiem, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie pytań dotyczących charakteru jej pracy. Kamiński domyślał się, że pewnie co drugi klient zagabywał ją o cenę usług innych niż przyrządzanie drinków. Domyślił się, że dziewczyna chciała uczciwie dorobić za barem, a nie leżąc z rozchylonymi nogami, z obleśnym klientem na sobie. Wierzyła, że da sobie radę. Jednakże opuszczone kąciki ust i zacięte rysy twarzy świadczyły, że miała już dosyć tej roboty, atmosfery tego miejsca i najchętniej rzuciłaby to wszystko w cholerę. Ale jaki miała wybór? Praca na kasie w hipermarkecie za grosze, z których nie zdoła opłacić kawalerki w Sopocie, i mieszkanie w śmierdzącym akademiku, który dzieliłaby jeszcze z dwiema studentkami? Praktycznie żadnej prywatności, wieczny ścisk i brak toalet w pokojach. O kolejce do prysznica nie wspominając.

Barmanka westchnęła ciężko, otworzyła karton Horteksu, nalala świeżego soku do szklanki, dorzuciła trzy kostki lodu i postawiła przed Andrzejem. Przyjęła pie-

niądze i nawet na niego nie spojrzała w obawie, że będzie miała do czynienia z kolejnym namolnym klientem. Kamiński podziękował skinieniem głowy, którego dziewczyna nie mogła dostrzec, bo całkowicie pochłonęło ją czyszczenie szkła.

Andrzej wolno popijał sok, ukradkiem rozglądając się po lokalu. Przyszedł tu bez żadnego konkretnego planu, licząc, że w środku spotka Tichonowa i będzie mógł zadać kilka pytań. Dopiero teraz zdał sobie z absurdalności swoich zamierzeń. Naiwnie wierzył, że szef sołncewskiej mafii będzie tak sobie siedział na kanapie i popijał drinka, bawiąc się w towarzystwie dziwek. Jeśli faktycznie przebywał wieczorami w „Nikicie”, pewnie urzędował w jakimś pokoju na piętrze.

Kamiński niby od niechcienia zerknął na schody prowadzące na górę. Pilnował ich rosły ochroniarz ubrany w czarne dżinsy i obcisły T-shirt podkreślający muskulaturę. Tępy wyraz twarzy i wodniste oczy pusto wlepione w wyginającą się na rurze tancerkę nie zachęcały do konwersacji. Andrzej wątpił żeby z własnej woli zaprowadził go do Tichonowa. Pojedynczemu osiłkowi Kamiński dałby radę, ale po pierwsze nie chciał wywoływać awantury, a po drugie zaraz na pomoc przybiegliby pozostali ochroniarze.

Nagle Kamiński spostrzegł wchodzącego do klubu wysokiego mężczyznę po czterdziestce, nienagannie ubranego, z włosami przetykanymi siwizną. Wyglądem nie wyróżniał się niczym od stałych bywalców lokalu i Andrzej wziąłby go za jednego z klientów, gdyby nie fakt, że ten, nie zwracając uwagi na dziewczyny, ruszył prosto w stronę schodów. Kamiński, mrużąc oczy, pró-

bował sobie przypomnieć, skąd zna tę twarz. Tymczasem mężczyzna podszedł do osiłka i szepnął mu coś na ucho. Ochroniarz pokiwał głową i przepuścił go.

Andrzej, spoglądając na mężczyznę, który zamasyżystym krokiem wspinał się po schodach, nagle uświadomił sobie, skąd go zna. Na płycie DVD, którą otrzymał od komisarza Rafalskiego, znajdował się katalog bliskich współpracowników Tichonowa, gdzie można było znaleźć ich krótkie dossier wraz ze zdjęciami. Człowiekiem tym był Maksymilian Burzyński, były mistrz Polski w karate, przez pewien czas zawodowy kick bokser, a teraz pies na usługach rosyjskiej mafii. Kamiński nie miał już żadnej wątpliwości, że Oleg Tichonow znajduje się w „Nikicie”. Musiał teraz tylko wykombinować, jak dostać się na górę.

– Postawisz mi drinka? – Andrzej usłyszał tuż przy uchu kobiety, lekko zachrypnięty głos. Zawsze zastanawiał się, czy to kwestia specjalnej modulacji, mającej uwodzić klientów, wiecznego kaca, czy też choroby wenerycznej, która w późnym stadium rzucała się na struny głosowe? Spojrzał na dziewczynę. Miała kruczoczarne włosy, krótką grzywkę opadającą na czoło, zielone oczy i przyjemne rysy twarzy. Lekki makijaż podkreślał jej urodę. Nosila czarny stanik i tego samego koloru stringi. Długość opalonych nóg podkreślały gustowne szpilki.

– Martini Green Light – zakomunikowała i nie czekając na zgodę Andrzeja, przysiadła się. Barmanka skinęła głową i do wysokiej szklanki wrzuciła kostki lodu, nalala wytrawnego martini, dopełniła spritem i wycisnęła trochę soku z limonki. Andrzej uśmiechnął się i zapłacił za drinka. Miał pewien pomysł.

– Jak ci na imię? – zapytał, gdy dziewczyna sączyła napój przez słomkę i uwodzicielsko trzepała rzęsami.

– Nadia.

– Jesteś Rosjanką?

– Ukrainką.

Kamiński dopiero teraz wychwycił jej lekko śpiewny akcent. W mediach wiele się mówiło o handlu kobietami ze Wschodu. Obiecywano im pracę za granicą, a potem wywożono do burdeli, odbierano paszporty, bito, gwałcono i zmuszano do prostytucji. Prawda była bardziej prozaiczna. Wiele z nich wiedziało, po co wyjeżdża. Z Rumunii, Białorusi, Bułgarii, Ukrainy, gdzie nie było żadnych perspektyw dla młodych dziewczyn. Do Polski przyjeżdżały z własnej woli. Niezłe im się wiodło. Nawet jeśli połowę dochodów oddawały swoim opiekunom, to i tak mogły wieść całkiem dostatnie życie. Niektórym nawet udawało się odłożyć większe sumy pieniędzy, mocno wierząc, że to tylko chwilowe zajęcie, jeszcze tylko rok, może dwa i skończą z tym procederem raz na zawsze, znajdą sobie męża, urodzą dzieci, a potem będą żyć długo i szczęśliwie. Niewielu się to udawało. Zazwyczaj kończyły na ulicy pijane i zaćpane, bo już żaden klient nie miał ochoty na ich zużyte ciała, lub po prostu umierały wycieńczone przez choroby weneryczne lub AIDS.

– Chcesz zobaczyć, jak tańczę? Jestem w tym dobra – zagadnęła dziewczyna i dodała z wystudiowanym uśmiechem dziwki: – I nie tylko w tym.

Andrzej odpowiedział uśmiechem i pokręcił przecząco głową. Domyślał się, że wszystkie prostytutki pracujące w „Nikicie” codziennie ćwiczą taniec na rurze, wy-

magający dużej sprawności fizycznej i zmysłowości. Był to jeden z elementów przyciągających klientów.

– Nie jesteś gadatliwy – rzekła z wyrzutem i odstawiła pustą szklankę. – Drugiego drinka nie mogę od ciebie przyjąć. Takie mamy zasady. Może więc pójdziemy na górę? Masz ochotę? Dwieście złotych za godzinę. Gwarantuję, że nie będziesz żałował.

– Gwarantujesz? – mrugnął okiem. – To chodźmy to sprawdzić.

Dziewczyna chwyciła go za rękę i ruszyli w stronę schodów. Tego właśnie chciał, dostać się na górę. Mógł to zaproponować Nadii zaraz po tym, kiedy tylko się do niego przysiadła, ale wolał odczekać kilka minut, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– Płatne z góry – zatrzymał ich ochroniarz.

Kamiński z ciężkim sercem wyciągnął z portfela dwa banknoty stużłotowe. Rachunku za takie usługi nie wystawiają, więc nie miał co liczyć na zwrot pieniędzy z ABW. A limit wolnych środków, jakie otrzymał na śledztwo, już się wyczerpał. Ochroniarz odsunął się, przepuszczając dziewczynę i jej klienta.

Na piętrze ruszyli korytarzem skąpanym w blasku szkarłatnego światła sączącego się ze stylizowanych na dziewiętnasty wiek kloszy, mających zapewne stwarzać odpowiedni nastrój. Wyglądało to jednak groteskowo i kompletnie rozmijało się z gustem Andrzeja. Po lewej i prawej stronie znajdowały się drzwi, zza których dochodziły jęki dziewczyn. Nie było w nich grama namiętności, nawet aktorstwa, lecz tylko mechaniczne, wystudiowane stęknienia. Kamiński pomyślał, że za dwie stówki mogłyby się bardziej starać.

Dopiero gdy oczy przyzwyczyły się do półmroku, odwrócił się i spostrzegł, że schody prowadzą jeszcze wyżej.

– Na górze też przyjmujecie klientów? – zapytał.

– Nie. Tam właściciel klubu ma swoją kwaterę.

Kamiński wiedział już, gdzie szukać Tichonowa.

Doszli do końca korytarza i dziewczyna otworzyła drzwi, zapraszając Andrzeja do środka. Znalazł się w przytulnym pokoju z olbrzymim dwuosobowym łóżkiem, z wbudowanym w zagłówek elektronicznym zegarem, odmierzającym czas wizyty klienta. Na nocnym stoliczku świeciła czerwona, a jakże, lampka i leżała paczka prezerwatyw.

Prostytutka podała mu czysty ręcznik i wskazała łazienkę.

– A teraz rozbieraj się i zmykaj pod prysznic – rzekła, trzepocząc rzęsami. – Jak wrócisz, będę już na ciebie czekać. Wolisz, żebym została w szpilkach?

Andrzej z uśmiechem podszedł do Nadii i delikatnie pogładził ją po szyi.

– Brzmi interesująco – rzekł, a następnie mocno nacisnął na punkt znajdujący się tuż przy arterii szyjnej.

Dziewczyna osunęła się w jego ramiona. Powinna obudzić się po około godzinie. Za tyle jej przecież zapłacił.



Oleg Tichonow siedział za dębowym biurkiem, leniwie bawiąc się trzymaną w ręku płytą DVD, i tylko drobna zmarszczka na jego czole świadczyła o niezwykłym

wzburzeniu. Stojący przed nim Maks, niczym uczeń przed dyrektorem szkoły, a nie postrach trójmiejskiego gangsterskiego świata, nerwowo przełykał ślinę, starając się nie patrzeć w oczy szefa. Jego spojrzenie najpierw wędrowało po gustownie urządzonej apartamencie, koślawych obrazach malarzy współczesnych, których, nie wiedząc czemu, preferował rezydent sołncewskiej mafii, aż wreszcie zatrzymało się na Marcie.

Kobieta siedziała na sofie w czarnej wieczorowej sukni z rozcięciem sięgającym biodra. Założyła nogę na nogę, dzięki czemu odsłoniła zgrabne udo obleczone w pończochę. Kolor stroju podkreślał jej nieprzeniknione ciemne oczy i przyjemnie kontrastował z platynowymi włosami oraz złotymi ozdobami. Marta przeglądała jakieś kolorowe pismo i wydawała się znudzona prowadzoną rozmową.

Dopiero po jakimś czasie Maks zdał sobie sprawę, że z półotwartymi ustami wbija wzrok w kobietę przełożonego. Szybko się zreflektował i skupił spojrzenie na akwareli przedstawiającej całą gamę kolorowych plam, rozrzuconych po płótnie bez żadnego ładu i składu. Tichonow powiedział mu kiedyś, że obraz nosi nazwę „Entropia” i kosztował mniej więcej tyle, co dobrej klasy BMW. Burzyński nigdy nie przejawiał specjalnego zainteresowania sztuką, uważał to za stratę czasu i pieniędzy.

– Nie obchodzą mnie twoje tłumaczenia. – Oleg Tichonow mówił spokojnie, niemal przyjacielsko, jednak w jego głosie słychać było ukrytą groźbę. – To miała być czysta robota, a teraz mamy dwa trupy na głowie, a w dodatku...

– Wszystko załatwiłem, szefie. – Maks wszedł w słowo rezydentowi Sołncewa. – Chłopak został zakopany w takim miejscu, że przez najbliższe pół wieku nikt go nie znajdzie. Jeśli zaś chodzi o jego matkę, to śledztwo prowadzi nasz człowiek. Już z nim rozmawiałem. W raporcie napisze, że to włamanie na tle rabunkowym, a właścicielka mieszkania nakryła sprawców. Wystawi się policji jakichś gówniarzy z tego osiedla i sprawa zamknięta.

Maks zamilkł, widząc wbite w niego wściekłe spojrzenie.

– Nigdy, ale to nigdy nie przerywaj, gdy mówię – powiedział wolno Tichonow przez zaciśnięte zęby. – Skąd pewność, że chłopak zdążył wszystko przetłumaczyć? Teraz przez twoją głupotę już nigdy się tego nie dowiedziemy. Jeśli wierzysz w Boga, Maks, to módl się, żeby na tej płycie było wszystko, co chcę wiedzieć.

Maksymilian Burzyński ciężko przełknął ślinę, niemal namacalnie czując, jak strach pełźnie mu po plecach. Na czole pojawiły mu się kropelki zimnego potu, a prawa dłoń zaczęła nerwowo drżeć. Wiedział, że Oleg Tichonow nigdy nie rzuca słów na wiatr. Opuścił głowę i milczał, co było najrozsądniejszą rzeczą, jaką mógł w tej chwili zrobić.

Rezydent Sołncewa jeszcze dobrą minutę przyglądał mu się krytycznie, następnie schował płytę do szuflady biurka. Teraz miał ważniejsze sprawy na głowie niż przeglądanie zawartości krążka.

– Skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy – na usta Rosjanina powrócił łagodny uśmiech – to zajmijmy się organizacją sobotniego spotkania.

Maks z ulgą wypuścił powietrze. Temat śmierci chłopaka i jego matki był skończony. Tym razem obeszło się bez konsekwencji, ale wiedział, że będzie musiał się bardzo pilnować. Popadł w niełaskę u szefa, a niezwykle trudno było odzyskać jego zaufanie. A może będzie miał ku temu okazję? Tichonow podejrzewał, że za przemytem kontenera stoi neapolitańska mafia i zaprosił ich na rozmowy do Gdańska. Burzyński pracował dla Sołncewskiej Braci dwanaście lat i wiedział, że zawsze krwawo rozprawiała się z konkurencją. A w zabijaniu Maks był naprawdę dobry.

– Alessandro Pantani i Giuseppe Rossi przylatują do Gdańska i nie może im spaść nawet włos z głowy – ostatnie słowa Tichonow powiedział z naciskiem, spoglądając uważnie na Maksa, który wybałuszył oczy ze zdumienia. – Zrozumieliśmy się?

– Tak, szefie.

– To dobrze – rzekł Rosjanin. – Rozmowy z nimi odbędą się w sobotę w hotelowej restauracji. Makaroniarze zażyczyli sobie, żeby na sali każda ze stron miała nie więcej niż siedmiu ochroniarzy...

– Pięciu – poprawiła Marta, nie odrywając wzroku od lektury. Pomimo pozornej nieuwagi, cały czas przysłuchiwała się rozmowie.

Tichonow zerknął na kobietę i chwilę jej się przyglądał, a potem ponownie skupił uwagę na Maksie.

– Pięciu ochroniarzy – poprawił się. – Zatem weźmiesz czterech ludzi i w sobotę stawisz się w Leźnie. Tylko, na Boga, niech się jakoś porządnie ubiorą. Żadnych dresów. To porządna restauracja.

Zafrasowany Maks podrapał się po głowie.

– Szczerze mówiąc, szefie, lepiej do tego nadaje się Sroka i jego ekipa. Moi ludzie nie mają żadnego przeszkolenia wojskowego, nie potrafią ocenić zagrożenia i co najwyżej można ich posłać do wymuszania haraczy...

– I zabijania bezbronnych kobiet – wtrąciła z ironicznym uśmiechem Marta.

Maks spiorunował ją wzrokiem, ale natknął się przy tym na jej straszne oczy, które zdawały się przenikać jego duszę na wylot. Natychmiast opuścił wzrok.

– Wpadli w panikę i działali pod wpływem impulsu, nie myśląc o konsekwencjach – próbował ich tłumaczyć. – Obawiam się, że w tym konkretnym zadaniu się nie sprawdzą. – Maks właśnie wyobraził sobie Szczypiora, Małego oraz innych swoich goryli w garniturach, z gnatem pod marynarką, z zimną krwią taksujących ochroniarzy camorry i uśmiechnął się do swoich myśli. – Tutaj potrzebne są doświadczenie i opanowanie. A poza tym moi ludzie, jak sam szefie zauważyłeś, to dresiarze. Żadnej prezencji. Jak oni będą wyglądać przy neapolitańczykach?

Oleg Tichonow roześmiał się.

– O to właśnie chodzi! Zobaczą tylko to, co chcę, żeby ujrzeli. Poczują się pewnie, ich czujność osłabnie i wówczas łatwiej przeprowadzę to, co zamierzam.

– Rozumiem – uśmiechnął się Maks. – Wtedy ich rozwalimy.

– Nic nie rozumiesz – prychnął Rosjanin. – Podejmiemy ich inaczej. Jednakże gdyby coś poszło nie tak, ekipa Sroki będzie obstawiała teren wokół pałacyku w Leźnie i kiedy zajdzie taka potrzeba, wkroczy do akcji.

Oleg Tichonow zwrócił się do Marty, która jakiś czas temu odłożyła pismo i teraz pilnie słuchała.

– Musimy mieć kontakt radiowy z drugą ekipą i snajpera na zewnątrz z widokiem na restaurację.

Kobieta zmarszczyła czoło.

– Łączność bez problemu da się załatwić, jednak gorsza sprawa będzie ze snajperem.

– Niech Sorokin się tym zajmie – rzekł Tichonow. – A tak w ogóle, to gdzie on jest?

Marta uśmiechnęła się kokieteryjnie, zmysłowo podniosła z kanapy i stanęła za Rosjaninem. Położyła mu dłonie na barkach i zaczęła masować.

– Posłałam go, żeby obserwował tego człowieka z ABW, o którym ci mówiłam – rzekła, pochylając się i lekko gryząc mężczyznę w ucho. Rezydent sołncewskiej mafii przytknął powieki, rozkoszując się zapachem i dotykiem.

Widząc to, Maks westchnął w duchu. Wiele by dał za noc spędzoną z Martą, ale ona była dla niego równie niedostępna, jak spacer po powierzchni Księżycy.

– Dlaczego akurat on? – Tichonow otworzył oczy. – Przecież do takiej roboty mamy dziesiątki innych ludzi.

Kobieta wzruszyła ramionami, lekko wydymając perłowe wargi.

– Sorokin jest najlepszy – odparła tonem ucinającym wszelką dyskusję.

Rosjanin milczał przez chwilę, nad czymś się zastanawiając.

– Jak się nazywa ten oficer ABW? – spytał.

– Kamiński – odpowiedział Andrzej, wchodząc do gabinetu. – Pracuję w Departamencie Zwalczania Sekt Religijnych i chciałbym zadać kilka pytań.

Najszybciej zareagował Maks. Jednym płynnym ruchem wyciągnął zza pasa pistolet. Kamiński rozpoznał stary, dobry, produkowany jeszcze w Czechosłowacji cz 83 kalibru dziewięć milimetrów.

– Nie jestem uzbrojony – rzekł, spokojnie rozkładając ręce. – Chcę tylko porozmawiać. Nie mam zamiaru wtrącać się w wasze sprawy.

– Sprawdź go! – rzucił poblady Tichonow. Widać było, że nieoczekiwane wtargnięcie wytrąciło go z równowagi.

W czasie gdy Maks przeszukiwał Andrzeja, ten uważnie przyglądał się rezydentowi Sołncewa. Wcześniej widział jego zdjęcie w aktach Rafalskiego i stwierdził, że nie pomylił się w swojej ocenie. Tichonow miał bystre oczy i wydatne rysy, świadczące o niezwyklej charyzmie i dużej pewności siebie. Następnie przeniósł spojrzenie na stojącą za Rosjaninem kobietę. W pierwszej chwili pomyślał, że to jedna z dziwek pracujących w „Nikicie”, ale gdy się jej uważnie przyjrzał, zmienił zdanie. Ubrana była szykownie, jakby właśnie wybierała się na przyjęcie, a nie do łóżka z klientem, co oczywiście o niczym nie świadczyło. Mogła być przecież ekskluzywną prostytutką, która oprócz świadczenia usług seksualnych towarzyszyła klientowi na bankietach, gdzie brylowała inteligencją, klasą, obyciem. Cena za takie usługi była olbrzymia, lecz Andrzej nie miał wątpliwości, że Tichonowa było na to stać.

Jednakże ta kobieta miała w sobie coś, co sprawiło, że Kamiński zaraz porzucił myśl, że jest ona prostytutką. Biło z niej niezwykle dostojeństwo, jakby była księżną, a nie kochanką szefa mafii. Jej niezwykle uroda, oliwkowa skóra i nienaganna figura spowodowały, że Andrzej nie mógł od niej oderwać oczu. Mógłby przysiąc, że widział już kiedyś tę twarz, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy.

Tymczasem ona równie uważnie przyglądała się jemu, oczami o kolorze niezgłębionej czerni, wzrokiem badawczym i wnikliwym, jakby wdzierając się do jaźni, żeby wyrwać wszystkie tajemnice. Poczł dreszcze na plecach i gdy stwierdził, że dłużej już nie wytrzyma jej spojrzenia, kobieta uśmiechnęła się z satysfakcją. W jej oczach pojawił się drapieżny błysk.

– Jest czysty – zakomunikował Maks. – Żadnej broń ani podsłuchu.

Gangster odstał dwa kroki, jednak cały czas mierzył do niego z pistoletu.

Tichonow gestem odesłał kobietę. Wróciła na kanapę, ponownie założyła nogę na nogę, ale tym razem nie sięgnęła po kolorowy magazyn, tylko z zainteresowaniem czekała na dalszy rozwój wydarzeń.

– Jak się tu dostałeś? – Rosjanin zdał sobie sprawę, jak źle funkcjonuje jego ochrona, i zrozumiał, że będzie musiał zmienić cały system zabezpieczeń. Gdyby Kamiński okazał się zabójcą, to rezydent Sołncewa już by nie żył.

– Czy to ważne? – Andrzej uśmiechnął się na myśl o Nadii.

Oleg Tichonow odpowiedział grymasem i wskazał wolne krzesło po drugiej stronie biurka. Kamiński

rozsiadł się wygodnie i zerknął z wyrzutem na Maksa. Gangster stał nad nim, przystawiając mu lufę pistoletu niemal do skroni.

Rosjanin zauważył jego spojrzenie.

– Schowaj broń – rzekł. – Nasz gość zapewne czuje się skрэpowany.

Niezadowolony Maks zabezpieczył pistolet i wetknął go za pasek spodni. Jednakże nie spuszczał wzroku z Kamińskiego, gotowy w każdej chwili do ataku. Jako były karateka i zawodowy kick bokser nie wątpił w swoją przewagę nad byle oficerem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrzznego. Służyli w niej urzędaszy, gryziopórki, a nie ludzie z przeszkoleniem wojskowym.

– Teraz możemy po przyjacielsku porozmawiać. – Tichonow odzyskał rezon. – Muszę przyznać, że mi zaimponowałeś, Andrieju. Pozwolisz, że będę do ciebie tak mówił? Jakimś sposobem dowiedziałeś się o mnie, wysłedziłeś i wdarłeś do mojej kwatery, licząc na to, że cię nie zabiję. Masz jaja, człowieku!

Rosjanin roześmiał się. Kamiński nie odpowiedział, milczał ponuro, wpatrując się w człowieka, mającego na swoim sumieniu tysiące przestępstw i setki zamordowanych ludzi. Niekoniecznie własnymi rękami, ale z tego co wyczytał z materiałów komisarza Rafalskiego, jego ludziom można było przypisać niemal co dziesiątą zbrodnię na terenie Trójmiasta. Andrzej zastanawiał się, czy Tichonowa kiedykolwiek spotka za to kara. W wymiar sprawiedliwości wątpił, wiedząc, że człowiek, który ma w kieszeni policję, lokalnych polityków i prokuratorów, raczej przed sądem nie stanie i w więzieniu nie odpokutuje win. Ale było wielce prawdopodobne, że zginie od

kuli podczas gangsterskich porachunków, tak jak kończyło życie większość szefów mafii.

– Widzę, że chcesz przejść od razu do konkretów – uśmiech zgasł na twarzy Rosjanina. – W czym mogę pomóc oficerowi z Departamentu Zwalczenia Sekt Religijnych? Jednak od razu uprzedzam, że nie interesują mnie te bzdury i nie mam nic wspólnego z żadnymi grupami wyznaniowymi. Nie cierpię fanatyków.

– W to akurat wierzę – odparł Andrzej. – Jesteś na to zbyt rozsądny.

– Czyżby? – Tichonow lekko uniósł brew.

– Trochę się na twój temat dowiedziałem. Prowadzisz interesy z niezwykłą ostrożnością, starasz się zawsze minimalizować ryzyko, czasami nawet kosztem większych zysków. Wychodzisz z założenia, że czasami lepiej sobie coś odpuścić niż niepotrzebnie mieć kłopoty. A religia, mimo że ma w sobie niezwykły potencjał, który można wykorzystać, jest przedsięwzięciem wielce niepewnym. Fanatyków religijnych można zmanipulować, wydoić z pieniędzy, uczynić z nich bezwolne narzędzia dla własnych celów, nawet idealnych zabójców, ale każdy miecz ma dwa ostrza.

– Masz na myśli Osamę bin Ladena? Amerykanie wyszkolili go i finansowali jego walkę przeciw wojskom radzieckim w Afganistanie. Potem stał się dla USA największym koszmarem. Masz rację, Andriej, jestem zbyt rozsądny, żeby pakować się w takie gówno.

– Ale się wpakowałeś...

– Co masz na myśli?

– Tydzień temu w gdyńskim porcie na statku „Tychy” celnicy zabezpieczyli kontener, w którym znajdowa-

ły się dzieła sztuki, w manifeście wyładunkowym figurujące jako mienie przesiedleńcze. Ekspozyty okazały się kananejskimi przedmiotami liczącymi przeszło trzy tysiące lat, mogącymi stanowić przedmioty kultu religijnego.

Andrzej Kamiński przerwał na chwilę, uważnie spoglądając w oczy rezydenta rosyjskiej mafii.

– Nie będę owijał w bawełnę. Wiem, że to ty maczałeś palce w tym przemyśle, a gdy kontener został zatrzymany, zorganizowałeś jego kradzież, przekupując celników i policję. Wywiezione artefakty prawdopodobnie zostały dostarczone właścicielowi. Nikt oprócz ciebie, Tichonow, nie ma takich wpływów i środków, żeby zrobić przekręt na tak wielką skalę.

– Przeceniasz moje możliwości.

– Nie wydaje mi się – odparł Andrzej. – Z tego, co zdążyłem się zorientować, posiadasz tutaj niepodzielną władzę, trzęsiesz całym trójmiejskim światkiem przestępczym i żaden grubszy przekręt nie zostałby zorganizowany bez twojej zgody.

Oleg Tichonow nie odpowiedział, zacisnął tylko mocniej szczękę.

– Nic do ciebie nie mam, ściganie przestępców to nie moja działka – mówił dalej Kamiński. – Daj mi tylko człowieka, który ci to zlecił.

Rezydent sołncewskiej mafii przez długą chwilę siedział zamyślony, ze wzrokiem wbitym gdzieś w przestrzeń, niczym mistrz szachowy zastanawiający się nad kolejnym posunięciem. Nikt z obecnych w pomieszczeniu nie śmiał przerywać milczenia. Maksymilian Burzyński nie spuszczał oczu z oficera ABW, podobnie jak

kobieta o platynowych włosach i uwodzicielskim uśmiechu. Trudno było stwierdzić, czy patrzy na niego zaintrygowana czy znudzona.

– Będę z tobą szczerzy – rzekł w końcu Tichonow. – Nie miałem nic wspólnego z przemytem tych artefaktów ani z kradzieżą kontenera z gdyńskiego portu.

Kamiński uniósł brwi w zdumieniu. Rezydent Sołncewa nie miał żadnych powodów, żeby go okłamywać. Słowo oficera ABW w sądzie nic by nie znaczyło.

– Jeśli nie wy, to kto? – zapytał i zaraz spłynęło na niego oświecenie. – Konkurencja!

Rosjanin ponuro skinął głową.

– Camorra.

– Mafia neapolitańska?! – Kamiński zupełnie zdębiał. – W Polsce? Przecież to nie ich strefa wpływów.

– A czemu nie? Przecież działają już w całej Europie. – Jasnowłosa piękność po raz pierwszy włączyła się do rozmowy. Dotychczas Andrzej przypuszczał, że jest tylko ozdobą, maskotką szefa mafii, teraz musiał zrewidować poglądy. – Klan La Torre inwestuje w turystykę w Szkocji. Mazzarella z powodzeniem działał we Francji, dopóki nie wszedł w konszachty z afrykańskimi kartelami, które wystawiły go tamtejszej policji. W Rumunii swoje interesy prowadzi Francesco Schiavone, a we wschodnich Niemczech neapolitańczycy praktycznie nie mają konkurencji...

– Skąd u pani taka wiedza? – spytał Kamiński.

– Wiem rzeczy, o których ty jeszcze nie masz pojęcia – odparła, głęboko spoglądając Andrzejowi w oczy. Nagle ziemia rozstała się pod nogami, a on leciał w czarną studnię bez dna. Poczul dreszcz przerażenia,

a jednocześnie nieopisaną rozkosz. Pragnął w tym stanie pozostać na zawsze.

– Marta – uśmiechnęła się uwodzicielsko. – Mów mi Marta.

Świat Kamińskiego powrócił na swoje miejsce, ale on nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Pobladyt skinał tylko głową.

– Prędzej czy później macki camorry musiały sięgnąć aż tutaj – rzekł Tichonow. – To było nieuniknione. Wiedzieliśmy o tym od dawna i przygotowaliśmy się do tej konfrontacji.

– Chcesz iść na wojnę?

– Wręcz przeciwnie – odparł z intrygującym uśmiechem rezydent Sołncewa. – Chcę z nimi zawrzeć układ...

Marta prychnęła rozłoszczona.

– Weszli na twój teren! To oczywiste, że chcą przejąć kontrolę nad portami, a co za tym idzie, nad kanałami przerzutowymi. A ty chcesz wchodzić z nimi w układy? Powinieneś raczej dać im porządną nauczkę.

– Moja droga, na to zawsze jest czas – rzekł spokojnie Tichonow i zwrócił się ponownie do Andrzeja. – Ale naszego gościa nie interesują nasze porachunki, prawda?

Kamiński ponownie skinał głową.

– Chcę się tylko dowiedzieć, czy nie stoi za tym jakaś sekta, która może stanowić zagrożenie dla państwa. Ale widocznie trafiłem pod zły adres.

Zaczął podnosić się z krzesła, ale Oleg Tichonow gestem nieznośnym sprzeciwu nakazał mu pozostać na miejscu.

– Wdarłeś się do mojej siedziby nieproszony, uzbrojony jedynie w swoją beczelność. Nie powiem, masz tu

pet i jak na Polaka przystało, iście ułańską fantazję. – Zamilkł na chwilę, piorunując wściekłym wzrokiem oficera ABW. I nagle się roześmiał. – I właśnie za to cię, Andrieju, polubiłem. Dlatego ci pomogę.

– Jak się tego dowiesz?

Rosjanin uśmiechnął się.

– Już my mamy swoje sposoby.

Kamiński zmrużył czujnie oczy.

– Czego chcesz w zamian?

– Wiedzy – odparł. – Chcę wiedzieć wszystko o tej sekcji. Kopia raportu, który napiszesz do ABW, ma trafić również do mnie. Tylko nie próbuj mnie oszukać, będę wiedział, jeśli coś przede mną ukryjesz.

– Dlaczego tak cię to interesuje?

Zanim Tichonow odpowiedział, zerknął na szufladę, w której trzymał płytę DVD z tłumaczeniem tajemniczych tabliczek.

– Powiedzmy, że mam ku temu swoje powody.

Andrzej Kamiński wiedział, że już niczego więcej się nie dowie.

– Jak przekażecie mi informacje?

– Zatrzymałeś się w hotelu „Hanza” w Gdańsku – odpowiedziała Marta. – Jak będziemy już coś wiedzieli, przyślę kogoś z wiadomością.

Oficer ABW wstał z krzesła i ruszył w stronę drzwi.

– Nie musisz mnie odprowadzać – mrugnął okiem do nadąsanego Maksymiliana Burzyńskiego. – Znam drogę.

Po wyjściu z „Nikity” skręcił w lewo, a następnie w boczną uliczkę, równoległą do sopockiego Monciaaka. Nie chciał wracać do samochodu tą samą drogą. Tutaj

nie było żywej duszy i tylko jakiś kot od czasu do czasu przemykał chodnikiem. Co prawda miał wrażenie, że ktoś za nim cały czas idzie, ale gdy odwracał się, nikt go nie widział.

Idąc zamaszystym krokiem, Kamiński zastanawiał się, czy zyskał coś na dzisiejszym spotkaniu? Wiele myśli kłębiło mu się w głowie: o skradzionym kontenerze, dziwnej sekcje działającej w Polsce, o konflikcie pomiędzy rosyjską i neapolitańską mafią, ale wszystkie nieodparcie wracały do jasnowłosej kobiety o imieniu Marta. Zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak nastolatek, który po raz pierwszy zrozumiał, czym jest pożądanie, a nie trzydziestoparoletni mężczyzna z całkiem niezłym doświadczeniem życiowym.

Gdy dotarł do samochodu, dochodziła druga w nocy. Oczy mu się kleiły ze zmęczenia, więc postanowił szybko wracać do hotelu i porządnie się wyspać.

Gdyby Andrzej Kamiński wracał z klubu „Nikita” tą samą drogą, którą przyszedł, zauważyłby miejsca oznaczone żółtą taśmą, radiowozy, karetkę pogotowia i całkiem spore zbiegowisko. Natomiast gdyby udało mu się przepchnąć przez tłum gapiów, ujrzałby rozszarpane ciała dwóch policjantów.

Tomasz Rafalski codziennie przyjeżdżał na komisariat na pół godziny przed objęciem służby. Nie dlatego, że kochał swoją pracę, choć nigdy na nią nie narzekał, i także nie dlatego, że był nad wyraz obowiązkowy. Po prostu nie było innego, dogodniejszego połączenia autobu-

sowego, a on samochodu z pensji policjanta jeszcze się nie dorobił.

Zanim wskazówki biurowego zegara, zawieszono na ścianie tuż obok godła, utworzyły odpowiedni kąt oznaczający godzinę ósmą, komisarz siadał przy biurku ze świeżo zaparzoną kawą i przeglądał prasę. Akurat dzisiaj był jeden z tych nielicznych dni, kiedy miał ochotę przejrzeć doniesienia na portalach internetowych, ale jego komputer podłączony był tylko do policyjnego intranetu i nie miał dostępu do sieci zewnętrznej. W pokoju, w którym urzędował, nie było też radia, bo dwa tygodnie temu się zepsuło, a nikt ze współpracowników nie miał ochoty składać się na nowe.

Z braku innych możliwości zdobycia bieżących informacji Rafalski rozłożył „Gazetę Wyborczą” i pobieżnie przejrzał nagłówki. Nie znalazł najmniejszej nawet wzmianki o morderstwie dokonany na dwóch sopockich policjantach, dlatego że wydarzenie miało miejsce w nocy, gdy numer był już zamknięty i gotowy do druku.

Rafalski dowiedział się o zabójstwie od swojego kolegi z sopockiej dochodzeniówki. Nad ranem dostał od niego sms-a i zaraz oddzwonił, o wszystko dokładnie wpytując. Policja dostała wezwanie na ulicę Powstańców Warszawy, gdzie ponoć słyszano strzały. Patrol, który przybył na miejsce zdarzenia, zameldował, że widzi dwójkę podejrzanych mężczyzn i przystępuje do interwencji. Więcej się nie zgłosił. Wysłany na miejsce drugi radiowóz odnalazł zmasakrowane zwłoki policjantów. Ich ciała były niemal rozszarpane, jak po ataku dzikiego zwierzęcia.

Nagle Rafalski zastygł z uniesionym kubkiem kawy. Przypomniał sobie, że Andrzej Kamiński pytał go podczas spotkania na terminalu kontenerowym, czy policja miała jakieś zgłoszenia o grasującej w okolicy pumie lub panterze. Wówczas to pytanie wydawało mu się niedorzeczne, dzisiaj jednak, w obliczu tego, co się wydarzyło, nabrało sensu. Komisarz zmarszczył groźnie krzaczaste brwi i zadumał się, jak przystało na prawdziwego Drzewca. Po dłuższej chwili odstawił kubek i włączył komputer.

Zaledwie pięć minut zabrało mu znalezienie tego czego szukał. Wyselekcjonował dwie sprawy, w których miano do czynienia z podobnym okaleczeniem ofiar. Rafalski wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Pierwsza z nich dotyczyła kierowcy tira, którego rozszarpane zwłoki znaleziono niedaleko Rulewa. Numer rejestracyjny wozu denata był identyczny z numerem pojazdu, jaki widniał na dokumentach spedycyjnych dotyczących odbioru skradzionego kontenera z gdyńskiego portu. To właśnie ten kierowca miał pobrać towar. Komisarz Rafalski nie wątpił, że ta śmierć miała jakiś związek ze sprawą. Pozostało pytanie, dlaczego on, oficer prowadzący, nic o tym nie wiedział? Potwierdzało to jego obawy, że wszystko próbowano wyciszyć na najwyższym szczeblu. Jednakże Kamiński musiał wiedzieć o tym powiązaniu, bo inaczej nie zapytałby o grasujące po okolicy dzikie zwierzę. No, ale on był z ABW i zapewne miał większe kompetencje, niż zwykły oficer policji.

Druga sprawa zdumiała Rafalskiego nie ze względu na ofiarę, bowiem był to jakiś bezdomny, ale miejsce znalezienia zwłok. Denata wyłowiono z Motławy, w okoli-

cach Wyspy Spichrzów, niemal naprzeciw hotelu „Hanza”. Hotelu, w którym zatrzymał się Andrzej Kamiński.

Oczywiście mógł to być przypadek, jednak komisarza niepokoiło coś jeszcze. Morderstwa policjantów dokonano w Sopocie na ulicy Powstańców Warszawy, dokładnie tam, gdzie mieścił się jeden z nocnych klubów należących do Tichonowa.

Tomasz Rafalski odchylił się na krzesło, w zadumie spoglądając na ścianę. Ciekawiło go, czy Andrzej Kamiński był wczorajszego wieczoru w tamtej okolicy?

Dochodziło południe i słońce stało wysoko na niebie, jednak Andrzej Kamiński spał w najlepsze w wygodnym hotelowym łóżku. Ponownie śnił o dawno zapomnianej krainie na Wschodzie, gdzie pustynny piasek zgrzytał pod stopami, a gorący wiatr otulał twarze wędrowców.

Stał pośrodku obozowiska, wraz z dwoma jeszcze podróżnikami. Jeden z nich miał na sobie drogie, przetykane złotem szaty, drugi zaś odziany był w czerń. Między namiotami uwijali się ludzie wypełniający codzienne obowiązki koczowników. Mężczyźni nosili spódniczki w czerwone i niebieskie pasy. Niektórzy na goły tułów zarzucili koszule bez rękawów lub wzorzyste płaszcze, które w nocy służyły jako koce. Kobiety ubierały się w barwne tuniki, przeważał tutaj kolor zielony. Głowę owijały długim szalem na kształt beduińskiego zawoju, spod którego uciekały niesforne kosmyki kruczoczarnych włosów. Piękno brązowych oczu kobiet podkreślał ciemniejszy odcień powiek, uzyskany za pomocą mała-

chitu i sproszkowanego turkus. Usta i policzki różowiły sobie czerwoną ochrą. Nie gardziły ozdobami. Na ramionach i nogach nosiły srebrne obręcze, zaś na szyi naszyjniki z barwnych paciorków.

Nagle przed wędrowcami pojawił się wiekowy już mężczyzna, nisko się pokłonił i zgodnie z prawem gościnności zaprosił całą trójkę do swojego namiotu. Kazał sługom podać wodę do obmycia nóg, a sam poszedł wybrać dorodne cielę na poczęstunek. Niewolnice rozstawiły przed nimi dzbany z mlekiem, półmiski pełne masła, mięsiwa i pieczywa. Gospodarz zaprosił gości do jedzenia, sam zaś na znak szacunku nie usiadł, lecz stał przy nich, podając naczynia i usługując.

Andrzej zdawał sobie sprawę z tego, że śni, jednak czuł smak pokarmów i napojów. Zaczął przysłuchiwać się rozmowie, którą gospodarz toczył z wędrowcem w drogocennych szatach. Nie zrozumiał jednak niczego z chrapliwej mowy, jaką się posługiwali. Nagle rozległ się kobiecy śmiech. U wejścia do namiotu stała starucha, zapewne żona gospodarza, i zasłaniała usta pomarszczoną dłonią. Widać było, że nie może ukryć wesołości. Wędrowiec spojrzał na nią groźnie i o coś zapytał. Kobieta pokręciła głową, szybko zaprzeczając. Rozgniewany gość zwrócił się koczownika, przez chwilę mu coś tłumacząc, a potem gwałtownie wstał i ruszył do wyjścia. Andrzej i drugi z podróżników ruszyli za nim.

Opuscili obóz, kierując się na południe. Gospodarz odprowadził ich do skrzyżowania dróg, przez cały czas zadając pytania człowiekowi w ozdobnych szatach. Gdy wreszcie uzyskał satysfakcjonującą odpowiedź, skinął głową i wrócił do obozowiska.

Oni zaś skierowali się ku majaczącemu na horyzoncie miastu.

Zwłoki znalazł działkowicz, emerytowany pułkownik lotnictwa, od lat mieszkający na gdyńskiej dzielnicy Obłuże. W piątkowy poranek wsiadł na rower i pojechał na działkę, na której chciał do południa popracować. Mocno się zdziwił, gdy w niewielkiej szklarni, gdzie uprawiał pomidory, ujrzał leżącego mężczyznę. Najpierw pomyślał, że to pijak, jeden z tych, którzy zawsze kręcili się po ogródkach działkowych, szukając okazji do wypicia.

Rezolutny emeryt chwycił gruby kij, wpadł do szklarni i zaczął nim okładać nieszczęśnika, krzycząc, żeby się wynosił. Dopiero po chwili zorientował się, że leżący ani drgnął, a foliowane ściany szklarni obryzgane są krwią. Inny na jego miejscu wpadłby w panikę, jednak emeryt był przecież niegdyś oficerem. Pobladły, z drżącymi ustami, pochylił się nad mężczyzną i sprawdził puls na jego szyi. Tak jak przypuszczał, człowiek nie żył. Spokojnie wycofał się na zewnątrz, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił na policję.

Tak przynajmniej zeznał przybyłym na miejsce funkcjonariuszom. Ci zaraz powiadomili gdyńską dochodzeniówkę.

Tomasz Rafalski przyglądał się patologowi badającemu zwłoki postawnego mężczyzny około pięćdziesiątki. Komisarz niejednokrotnie już był na miejscach zbrodni, widział trupy i zdawało się, że nic już nie jest w stanie

nim wstrząsnąć. Teraz jednak z trudem powstrzymywał torsje. Twarz nieboszczyka była zmasakrowana, brzuch i klatka piersiowa rozszarpane, a wnętrzności wylały się na zewnątrz, zalegając między gałązkami soczystych pomidorów. Nieco dalej leżało wyrwane serce – kawał surowego mięsa, które wyglądało, jakby spadło z talerza w oczekiwaniu na grilla.

Rafalski odwrócił wzrok.

– Co pan o tym sądzi, doktorze? – spytał, spoglądając w przestrzeń nad głową lekarza.

– Nie żyje co najmniej od dwóch dni – odparł patolog z ciężkim westchnieniem. – Sekcja zwłok wykaże dokładną przyczynę śmierci, ale już teraz mogę powiedzieć, że zginął od serii ciosów zadanych... jakimś narzędziem.

– Ten człowiek wygląda, jakby rozszarpała go dzika bestia!

Lekarz wstał, ściągnął silikonowe rękawiczki i podszedł do Rafalskiego. Przez chwilę z uwagą wpatrywał się w ciało, a w jego oczach tliła się tylko zimna ciekawość.

– Ma pan rację, komisarzu – rzekł. – Na pierwszy rzut oka rany wyglądają, jakby zostały zadane pazurami, ale ich kąt i głębokość świadczą, że musiał tego dokonać człowiek mierzący około stu osiemdziesięciu centymetrów. Morderca zapewne użył w tym celu specjalnego noża z ząbkami, jaki można dostać w każdym sklepie militarnym.

Tomasz Rafalski pokiwał głową. Wziął tę sprawę, gdy tylko dowiedział się o rozszarpanych zwłokach. Od razu zaofiarował się, że pojedzie na miejsce zdarzenia, wyręczając w ten sposób kolegę z pokoju, który z wdzięcznością przyjął pomoc. Komisarz nie miał wątpliwości,

że sprawcą jest ta sama osoba, która zabiła kierowcę tira, bezdomnego w Gdańsku i dwóch sopockich policjantów.

Na pozór zdawało się, że ofiary wybrane zostały przypadkowo, ale Rafalski nie był co do tego przekonany. Podejrzewał, że zabójstwa mogą mieć związek z tajemniczym kontenerem i śledztwem prowadzonym przez ABW. Nie miał na to żadnych dowodów, ale jego policyjny instynkt jeszcze nigdy go nie zawiódł. Jednakże poprzednie morderstwa mógł ze sobą jakoś powiązać, ale to dokonane na Obłuzu nie pasowało do schematu.

– To zrobił jakiś wariat – z zamyślenia wyrwał go głos lekarza. – Nie dość, że zabił, to jeszcze pastwił się nad zwłokami.

Komisarz podrapał się po kędzierzawej czuprynie. Jeszcze wczoraj był przekonany, że za sprawą kontenera stoi rosyjska mafia i choć metody Sołncewskiej Braci były okrutne, zawsze czemuś służyły, zazwyczaj zastraszaniu. W tym przypadku okaleczanie ciał zupełnie pozbawione było sensu. Żeby groźba odniosła skutek, musi być znany ten, kto za nią stoi. A wyglądało na to, że zabójstw dokonał jakiś szaleniec ogarnięty żądzą mordu.

Rafalski westchnął ciężko. Może faktycznie zbrodnie to dzieło seryjnego mordercy, a on był po prostu przewrażliwiony? Gdyby napisał w raporcie, że kierowca tira, został zamordowany w związku ze sprawą skradzionego kontenera, jego przełożeni machnęliby ręką, stwierdzając, że poniosła go fantazja. Gdyby do tego napisał, że zabójstwa bezdomnego oraz sopockich policjantów łączy osoba Andrzeja Kamińskiego, oficera ABW prowadzącego tamto śledztwo, uznaliby go za paranoika i wysłali na

długi, przymusowy urlop. A to była ostania rzecz, jakiej Rafalski mógł sobie życzyć.

Postanowił odpuścić. Po przyjeździe na komisariat napisze standardowy raport, w którym nadmieni, że należy rozpocząć poszukiwanie seryjnego mordercy, zapewne niezrównoważonego psychicznie osobnika, zabijającego ofiary specyficznym nożem. Analitycy zajrzą do policyjnych kartotek, przetrzасną bazy danych szpitali psychiatrycznych i wyselekcjonują podejrzanych. W ciągu kilku godzin powinno być po sprawie.

Rafalski pożegnał się z lekarzem, zamienił jeszcze kilka słów z szefem ekipy zabezpieczającej miejsce zbrodni i ruszył w stronę wyjścia.

– Komisarzu! – usłyszał. Obejrzał się i ujrzał młodego aspiranta trzymającego w ręku notatnik.

– Tak?

– Znamy już tożsamość denata. – Policjant zerknął w zapiski. – Jest nim niejaki Ryszard Formela.

Rafalski skinął w podziękowaniu głową. Podoficer zasalutował i już chciał odejść, ale w tym momencie komisarza coś tchnęło.

– Wiemy coś na jego temat? – zapytał. – Kim był? Czym się zajmował?

– Tak – odparł aspirant, ponownie zaglądając do notatnika. – Marynarz. Pracował dla armatora o nazwie POL_LEVANT. Zaledwie kilka dni temu powrócił z rejsu.

– Wiadomo, na jakim pływał statku?

– Statek nosił nazwę...

Młodzieniec zmrużył oczy, próbując rozszyfrować swoje własne pismo. Poblady Tomasz Rafalski w napię-

ciu oczekiwał na odpowiedź, pomimo że wiedział, co zaraz usłyszy.

– „Tychy”.

Andrzej spałby zapewne do południa, gdyby nie koszmar, który go nagle obudził. Z mocno walącym sercem w panice rozglądał się po pokoju, usiłując przypomnieć sobie, kim jest i gdzie się znajduje. Pod powiekami tliły mu się resztki snu: płonące miasto obracające się w kupę dymiących zwalisk, języki ognia sięgające nieba i przeraźliwe krzyki, brzmiące niczym wyrzut skierowany w jego stronę.

Usiadł na łóżku, mocno przetarł oczy, jakby chciał tym gestem pozbyć się resztek straszego koszmaru. Pomogło. Sięgnął po telefon komórkowy, sprawdzając, która godzina. Wyświetlacz był wygaszony – w nocy rozładowała się bateria. Andrzej zaklął i sięgnął po ładowarkę. Gdy włączył telefon, ze zdziwieniem spostrzegł, że dawno minęła jedenasta. Co prawda, na dzisiejszy dzień nie miał żadnych konkretnych planów, ale nie lubił długo spać. Od zawsze był typem „skowronka” i rano miał niewielej energii, wieczorami zaś czuł się zmęczony. Wczoraj jednak zasnął dopiero po trzeciej w nocy. Nic więc dziwnego, że dopiero teraz się obudził.

Leżąc w łóżku, raz jeszcze przeanalizował wydarzenia poprzedniego dnia. Pojechał do „Nikity” przekonany, że to Oleg Tichonow stoi za sprawą kradzieży kontenera z artefaktami. Okazało się jednak, że rezydent sołncew-

skiej mafii nie ma nic z tym wspólnego, a przynajmniej tak twierdził, przekonany, że maczała w tym palce włoska camorra. Andrzej nie miał powodów, żeby mu nie wierzyć.

Do tej pory Kamiński przypuszczał, że ma do czynienia z sektą religijną z Bliskiego Wschodu, która postanowiła osiąść w Polsce. Podejrzewał, że w Latakii wyczarterowali kontener, spakowali przedmioty kultu i wysłali je statkiem do Gdyni. W Straszynie miało dojść do przeładunku towaru, jednak gdy wynajęty kierowca nie zgłosił się po ładunek, celnicy rozpieczętowali kontener i odstawili na cargo. Wówczas sekciarze zwrócili się o pomoc do sołncewskiej mafii, która pomogła im odzyskać własność. Ale po tym, co Andrzej wczoraj usłyszał, wszystkie jego teorie rozsypały się niczym domek z kart.

Dotychczas łudził się, że ma do czynienia z nieszkodliwą sektą religijną, teraz obawiał się niebezpiecznych ekstremistów, wspomaganych przez neapolitańską mafię. Kim byli i czego szukali w Polsce? Na te dwa pytania na razie nie znał odpowiedzi. Tak naprawdę nie wiedział nic i żeby czegokolwiek się dowiedzieć, musiał zdać się na Tichonowa. Rezydent Sołncewskiej Braci najwyraźniej równie mocno jak on pragnął dowiedzieć się, o co tak naprawdę chodzi i z kim ma do czynienia. Andrzejowi pozostawało czekać.

Domyślał się, że dojdzie do spotkania między Rosjanami i Włochami, a tym samym do konfrontacji. Przyszło mu do głowy, że należałoby ten fakt zgłosić do centrali, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Tak naprawdę nie interesowały go porachunki mafijne, jemu

zależało jedynie na informacji dotyczącej właściciela kontenera. Kamiński miał nadzieję, że Tichonow dotrzyma obietnicy.

Andrzej wstał z łóżka, żeby iść pod prysznic. Zanim jednak ruszył w stronę łazienki, spojrzął na telefon, który zdążył się już trochę naładować. Na wyświetlaczu pojawiła się ikona koperty, co oznaczało, że ktoś nagrał się na pocztę głosową.

Kamiński odsłuchiwał wiadomość.



ROZDZIAŁ 5

PIĄTEK, 16 LIPCA 2010 R.

W klubie nocnym „Nikita”, jak to często bywa w tego rodzaju przybytkach, do południa panowała niczym niezmacona cisza. Dziewczyny odsypiały ciężko przepracowaną noc, inni pracownicy lokalu już dawno udali się do domu, a wraz z nimi ochroniarze, którzy uprzednio dokładnie pozamykali wszystkie drzwi. Wydawać się mogło, że w całym budynku nie ma żywej duszy. Tymczasem na drugim piętrze, w swoim gabinecie, Oleg Tichonow stał przed oknem i ponuro spoglądał na falujące w oddali morze. Rezydent sołncewskiej mafii czoło miał pochmurne, usta zaciśnięte i wyglądał na mocno zaniepokojonego. I trudno mu się dziwić. Nie dość, że w najbliższym czasie musiał skonfrontować się z camorrą, na karku miał wężącego oficera ABW, to jeszcze ta sprawa z Sorokinem...

Dzisiaj około piątej rano Sroka przyszedł, a raczej wtoczył się do lokalu. Ochroniarze w pierwszej chwili myśleli, że jest pijany, ale gdy zobaczyli, jak trzyma się za żebra i dostrzegli zaschniętą strużkę krwi na brodzie,

zrozumieli, że coś jest nie tak. Zaciągnęli go do jednego z wolnych pokoi, położyli na łóżku i obudzili Tichonowa. Wyrwany ze snu, delikatnie wysunął się z ramion Marty i zadzwonił do zaprzyjaźnionego lekarza, który już niejednokrotnie łątał jego ludzi. Był pewny, że Fiodora dopadli „śmieciarze”. Potem ubrał się i poszedł porozmawiać ze Sroką. To, czego się dowiedział, mógł śmiało uznać za majaczenia gorączkującego, rannego człowieka, jednak było coś w spojrzeniu Sorokina, co kazało mu poważnie zastanowić się nad słowami podwładnego.

– Fiodor twierdzi, że zaatakował go demon. – Tichonow odwrócił się do Marty. Kobieta ubrana w czarną, prześwitującą koszulę nocną, sięgającą jej zaledwie do połowy uda, rozkosznie niczym kotka wyciągnęła się na sofie. Teraz mógł w całej okazałości podziwiać jej długie, opalone nogi, krągłe piersi niesforne wymykające się spod tkaniny i łabędzią szyję, którą uwielbiał całować. Marta smakowała gorącym słońcem południa, pustynnym wiatrem i gdy wodził ustami po jej ciele, w jego nozdrza wdzierał się zapach lilii, lotosu oraz cynamonu. Najchętniej wziąłby ją teraz w ramiona i zaniósł do sypialni. Jednakże musiał się zająć ważniejszymi sprawami.

– To stres – rzekła kobieta, wydymając perłowe usta. – Wyolbrzymia to, co mu się przytrafiło. Nie może uwierzyć, że został pokonany.

– To nie tak – pokręcił głową Tichonow. – Znam Sorokina od lat i widziałem go w bardziej opłakanym stanie. W Czeczeniu dwukrotnie wymknął się śmierci, do-

stał się do niewoli, był torturowany. Dlaczego miałby się załamać właśnie teraz?

W odpowiedzi Marta wzruszyła ramionami. Wyglądała na niewyspaną i znudzoną. Zapewne wolałaby w tej chwili leżeć w ciepłym łóżku niż zastanawiać się, dlaczego jeden z ludzi Tichonowa oszalał.

– Może wziął jakieś gówno od któregoś z dealerów?

– Fiodor trzyma się z daleka od narkotyków – odparł Rosjanin. – Wypić mu się zdarzy, i owszem, ale prochów nie bierze. To musiało być co innego...

– Dlaczego nie przyjmiesz do wiadomości faktu, że jeden z twoich ludzi rozsypał się psychicznie? Zdarza się najlepszym. Spowodować to mogła jakaś trauma z Czeczenii, która akurat teraz postanowiła się ujawnić.

Tichonow usiadł przy biurku.

– Może masz rację – rzekł z westchnieniem. – Nadal jednak pozostaje pytanie, kto go zaatakował i pobił? Sorokin do ułomków nie należy, zaryzykuję nawet twierdzenie, że niewielu ludzi na świecie jest w stanie pokonać go w walce sam na sam. A z tego, co mi wiadomo, napastnik był tylko jeden. Ponadto w pojedynkę załatwił dwóch policjantów. Ludzie, którzy widzieli ich ciała, twierdzą, że były niemal rozszarpane. To musi być jakiś szaleniec!

– Człowiek camorry – stwierdziła Marta bez cienia wątpliwości. – Dobrze wyszkolony najemnik.

Rezydent Sołncewa zmrużył oczy, przez dłuższą chwilę przyglądając się leżącej na sofie kobiecie. Zastanawiał się, skąd u niej taka pewność, że za tymi wszystkimi wydarzeniami stała camorra? Uświadomił sobie, że

to właśnie Marta cały czas popychała go do wojny ze „śmieciarzami”. Może pragnęła odwetu na neapolitańskiej mafii za krzywdy, jakie spotkały ją w przeszłości? Może była agentem rządowym i jej celem było doprowadzenie do konfrontacji i osłabienie obu grup? A może działała dla kogoś, kto miał na tym wszystkim skorzystać i dopiero pojawić się na powojennych zgłiszczach? Cokolwiek to było, Marta na pewno miała w tym swój własny interes. Tichonow jeszcze nie wiedział, dla kogo pracuje, ale obiecał sobie, że się dowie. Jednakże dopóki mieli wspólnego wroga, postanowił grać w jej grę, zachowując jednak daleko posuniętą ostrożność.

Jego spojrzenie prześliznęło się po jej kuszącym ciele. Rosjanin miał już swoje lata, a co za tym idzie doświadczenie oraz mądrość życiową i żadna kobieta, nawet tak wyjątkowa jak Marta, nie mogła mu naprawdę zawrócić w głowie. Z zalem oderwał od niej wzrok. Zerknął na szufladę biurka, w której schował płytę DVD z przetłumaczonym tekstem tajemniczych tabliczek. Cała ta sprawa z kontenerem śmierdziała na odległość i instynkt podpowiadał mu, żeby się do tego nie mieszać. Było już jednak za późno, górę wzięła ciekawość, musiał dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Już chciał włączyć komputer, wsunąć płytę i przeczytać to, co przetłumaczył nieżyjący student, ale w chwili gdy sięgał po laptopa, Marta przeciągnęła się kusząco.

– Choć tu do mnie – wyszeptała i rozchyliła lekko nogi. – Chcę cię poczuć w sobie.

Oleg Tichonow nie wahał się. Uśmiechnął się, wstał od biurka i podszedł do kobiety, stwierdziwszy, że wszystko inne może poczekać.

Andrzej Kamiński siedział w hotelowej restauracji, popijał kawę i przeglądał popołudniową prasę. Gazety niewiele miejsca poświęciły informacji o śmierci dwóch policjantów w Sopocie. Widocznie redaktorzy uznali wydarzenie za mało nośny temat. Pierwsze strony poświęcone były globalnemu kryzysowi finansowemu, który pogłębiał się z miesiąca na miesiąc. W świecie rządzonym przez pieniądź kryzys wypalał straszliwe piętno w niemal każdej dziedzinie życia. Nie powinno tak być. Jednakże ludzie zostali zakładnikami dóbr materialnych, zaprogramowani na konsumpcję snuli się pomiędzy centrami handlowymi niczym klasyczne zombie z horrorów klasy B, niezdolni do jakiegokolwiek autorefleksji, odurzeni samą ideą posiadania coraz więcej i więcej. Wyznacznikiem wartości człowieka stały się luksusowe mieszkanie, dobrej marki samochód i plazmowy telewizor, którym można było się pochwalić przed znajomymi. Żeby osiągnąć wyższy status społeczny, ludzie zapożyczali się w bankach, które beztrwosko udzielały kredytów. Ktoregoś dnia to wszystko musiało się zawalić i się zawaliło.

Reszta artykułów dotyczyła polskiej sceny politycznej, a więc komisji śledczych, przetasowań na stanowiskach rządowych i prognoz przed zbliżającymi się wyborami do samorządów. Pomimo okresu urlopowego i tak zwanego „sezonu ogórkowego”, dziennikarze mieli o czym pisać.

Andrzej z rezygnacją odłożył gazetę, spojrzął na zegarek i zmarszczył czoło. Minęła szesnasta. Tomasz Rafalski spóźniał się już dobry kwadrans. Gdy rano Kamiński odsłuchiwał wiadomość zostawioną przez ko-

misarza, zaraz do niego zadzwonił, jednak ten nie za bardzo chciał, a może nie mógł rozmawiać, a do tego był niezwykle tajemniczy. Powiedział tylko o śmierci policjantów, a potem zaofiarował się, że przyjedzie do hotelu „Hanza”, w którym zatrzymał się Andrzej, żeby z nim porozmawiać twarzą w twarz. Umówili się o szesnastej w restauracji, ale komisarz do tej pory się nie zjawił.

Kamiński ciekawy był, o czym chce rozmawiać Rafalski i dlaczego nie mógł tego zrobić przez telefon. Czyżby obawiał się podsłuchu? A może chciał przekazać mu jakieś ważne dokumenty, które rzuciłyby więcej światła na sprawę? Jednak ton głosu komisarza był oschły, pełen rezerwy i Andrzejowi wydawało się, że raczej chce go przesłuchać niż zdradzić jakieś poufne informacje.

Postanowił o tym nie myśleć i zamówić jeszcze małą kawę. Podniósł głowę, żeby odszukać wzrokiem kelnera, ale jego spojrzenie przykuła wysoka sylwetka Rafalskiego, który akurat wszedł do restauracji. Miał na sobie sztruksową marynarkę, w kolorze brązowym, w odcieniu kory drzewa, przez co jeszcze bardziej przypominał tolkienowskiego Drzewca. Andrzej pokiwał mu ręką.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – powiedział, niezgrabnie siadając na krześle. – W piątek zawsze są największe korki. Wie pan, jak to jest, ludzie na weekend chcą wyjechać z miasta...

– Chciał się pan ze mną widzieć. – Andrzej obcesowo przerwał tłumaczenia Rafalskiego. Dobrze wiedział, że to nie korki były przyczyną spóźnienia. Zobaczył to w oczach komisarza. – Proszę powiedzieć, o co chodzi.

Tomasz Rafalski pokiwał głową i długo wpatrywał się w oficera ABW, jakby z jego twarzy chciał wyczytać

wszystkie odpowiedzi na niezadane jeszcze pytania. Jadąc tutaj, naiwnie wierzył, że gdy spojrzy na Kamińskiego, będzie wiedział, czy może mu nadal ufać.

W Gdańsku był na długo przed czasem. Zaparkował samochód służbowy niedaleko hotelu „Hanza”, ale na spotkanie mu się nie spieszyło. Niemal pół godziny siedział w wozie, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę? Chciał nawet wrócić na komendę i sporządzić raport, w którym rzetelnie opisałby swoje podejrzenia względem oficera ABW. Wówczas dopiero rozpętałaby się afera. Rafalski nigdy nie działał pochopnie i teraz też nie miał takiego zamiaru. Zdecydował wreszcie, że jednak spotka się z Kamińskim, zada mu kilka pytań i spokojnie wysłucha odpowiedzi.

– Gdzie pan był dzisiejszej nocy między północą a godziną drugą?

Andrzej uniósł brew w zdziwieniu. Na jego ustach błąkał się lekki uśmiech.

– Czy to przesłuchanie?

– Nie. Po prostu chcę wiedzieć, na czym stoję – odparł sucho komisarz. – Zaufałem panu, powiedziałem wszystko, co wiem na temat korupcji w policji, urzędzie celnym, przekazałem informacje na temat rosyjskiej mafii i powiem szczerze, że teraz tego żałuję. Wszystkie zabójstwa wiążą się z pana osobą.

– Ze mną?! – Kamiński roześmiał się. – Myśli pan, że to ja zabiłem w Sopocie tych policjantów?

– Nie tylko policjanci zginęli – odparł lakonicznie komisarz. – Odpowie pan na moje pytanie?

Andrzej odchylił się na krześle i przez chwilę uważnie spoglądał na Rafalskiego, próbując zrozumieć, o co

mu chodzi. Przecież równie mocno jak on pragnął rozwiązać tę sprawę, wystawił mu nawet Tichonowa, a teraz przyjechał tu pełen nieufności, gotowy oskarżyć go morderstwo.

– Byłem w Sopocie i spotkałem się z Tichonowem – rzekł wolno, uważnie dobierając słowa. – To chciał pan usłyszeć.

Rafalski szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Prawa ręka powędrowała w stronę klapy od marynarki, pod którą miał ukrytą kaburę ze służbowym pistoletem.

– Jednak to nie ja zabiłem policjantów – kontynuował Kamiński. – Do dzisiaj nie wiedziałem, że takie wydarzenie miało w ogóle miejsce. To musi być przypadek.

– Przypadek? – Komisarz skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. – Najpierw ginie kierowca tira, który miał podjąć kontener. Ofiara ma liczne rany cięte i szarpane, jakby zbrodni dokonała wściekła bestia lub szaleniak pastwiący się nad ciałem. Podobnie wygląda ciało denata, bezdomnego wyłowionego z Motławy...

Rafalski wskazał przez okno drugi brzeg rzeki i spostrzegł zdumienie na twarzy Kamińskiego.

– Może ów bezdomny zobaczył coś, czego nie powinien, i dlatego musiał zginąć – kontynuował komisarz. – Potem w Sopocie zostali zamordowani dwaj policjanci, niedaleko miejsca, w którym akurat pan przebywał. No i jeszcze śmierć trzeciego oficera ze statku „Tychy”, z którym, jak ustaliłem, też się pan spotkał.

– Ryszard Formela nie żyje? – wyszeptał poblady Kamiński, a Rafalski był pewny, że oficer ABW nie udaje zaskoczenia.

– Dzisiaj odkryliśmy jego zwłoki w gdyńskiej dzielnicy Obłuże – odparł. – Podobnie jak poprzednie ofiary miał szereg ran ciętych i szarpanych. Bez wątpienia zabił go ten sam morderca.

– Ja tego nie zrobiłem. – Andrzej bezradnie rozłożył ręce. Po tym, co przed chwilą usłyszał, nie mógł zebrać myśli, miał kompletną pustkę w głowie. Czyżby był mordercą i nic o tym nie wiedział? Przypadki rozdwojenia jaźni nie były znowu takie rzadkie. Może w dzień był oficerem ABW, a nocami przemieniał się w szaleńca mordującego tych, z którymi jako Andrzej Kamiński się spotykał? Dr Jekyll i Mr Hyde. Potrząsnął głową, odsuwając od siebie tak absurdalne pomysły.

Tymczasem Rafalski długo mu się przyglądał. Służył w policji dziesięć lat i potrafił rozpoznać, kiedy człowiek kłamie, oszukuje, kręci. Wyczuwał to w tonie głosu, widział w gestach, w mimice twarzy. Komisarz mógłby postawić swoją roczną pensję na to, że Kamiński mówi prawdę. A może bardzo chciał wierzyć, że tak było? Nie ulegało wątpliwości, że obdarzył oficera ABW zaufaniem i pewną dozą sympatii, ale przecież kłamcy i oszuści właśnie na tym bazowali. Tym razem jednak Rafalski postanowił ponownie zdać się na swój instynkt. Zdjął dłoń z kabury pistoletu.

– Wierzę – rzekł zwięźle. – Nie zmienia to jednak faktu, że wokół pana osoby dzieją się niepokojące rzeczy. Giną ludzie!

– Nie potrafię tego wytłumaczyć – odparł Kamiński. Siedział bładny ze zmarszczonym czołem, nerwowo zaciskając pięści. – Morderca musi mnie śledzić. Innej moż-

liwości nie widzę. Dlaczego eliminuje ludzi w miejscach, gdzie się pojawiają?

– Nie wiem – westchnął ciężko Rafalski. – Szczerze mówiąc, myślałem, że od pana usłyszę odpowiedź.

– Może chce mnie zrobić w te morderstwa? – zastanawiał się Andrzej. – A może ma to związek ze śledztwem, jakie prowadzę?

– Ile osób wiedziało, czym się pan zajmuje?

– Przed przyjazdem do Trójmiasta dwóch, może trzech ludzi z centrali ABW. Na miejscu ta liczba znacząco się powiększyła, bo przecież prowadzę tu śledztwo, a wieści szybko się rozchodzą.

Nagle oczy Kamińskiego zabłyśły, jakby sobie o czymś przypomniał.

– Tichonow! – wykrzyknął, uderzając otwartą dłoń w stół, tak mocno, że siedząca przy sąsiednim stole para spojrzała na niego z niepokojem. – Wiedział o mnie i o dochodzeniu, jakie prowadzę. Może to on zlecił te zabójstwa? Tylko jaki miał w tym cel?

Tomasz Rafalski wzruszył ramionami. Nie znał odpowiedzi na to pytanie i nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

– Dowiedział się pan czegoś od Tichonowa? – zapytał, zmieniając temat.

– Twierdzi, że nie on w tym maczał palce.

– Jak nie on, to kto?

Andrzej zawahał się, zanim odpowiedział. Nie wiedział, ile ze śledztwa może ujawnić zwykłemu policjantowi. Po chwili uznał jednak, że ma w Rafalskim sprzymierzeńca i jeśli chce rozwikłać zagadkę tajemniczego

kontenera, to pomoc komisarza może okazać się niezbędna.

– Twierdzi, że to camorra.

Tomasz Rafalski roześmiał się na tyle głośno, że para przy sąsiednim stoliku ponownie spojrzała na nich z dezaprobatą.

– Camorra? W Trójmieście?

– Też się zdziwiłem – odparł spokojnie Kamiński. – Jednak Tichonow jest przekonany, że mafia neapolitańska włązi na jego teren. Podejrzewam, że w najbliższym czasie będzie chciał się z makaroniarzami rozprawić.

– Niedobrze – skrzywił się komisarz, pewny już, że oficer agencji nie żartuje. – Zatem szykuje nam się tutaj kolejna wojna gangów.

– To wielce prawdopodobne.

Mężczyźni siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach. Andrzej jeszcze nie otrząsnął się po tym, co usłyszał. Nie mieściło mu się w głowie, że jakiś szaleniec podąży jego śladem, dokonując morderstw. Zastanawiał się, kim może być ten wariat? Natomiast Rafalski myślał o pracy, jaka czeka policję w najbliższym czasie, o ile potwierdzą się rewelacje Kamińskiego. Szykowała się wojna między dwiema największymi organizacjami przestępczymi na świecie, a Trójmiasto zostało wybrane na pole bitwy. Oczyma wyobraźni widział już strzelaniny na ulicach, wylatujące w powietrze samochody, krew, terror, strach.

– Co z tym zrobimy? – Andrzej pierwszy przerwał ciszę.

Rafalski pokręcił głową, dając do zrozumienia, że jeszcze nie wie. Dopiero po chwili skojarzył, że Kamińskiemu chodziło o sprawę mordercy.

– Podwoiliśmy patrole w śródmieściu Gdańska, a policjanci przeszukują teren wokół hotelu. Jak tylko natrafią na coś podejrzanego, zaraz mi zameldują.

– Od samego początku wiedział pan, że jestem niewinny. – Andrzej uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Inaczej nie podjąłby pan takich działań.

– To prawda – odparł komisarz. – Przyszedłem tutaj, żeby się upewnić.

– I upewnił się pan.

Rafalski nie odpowiedział, zamiast tego spojrział przez okno na Wyspę Spichrzów, gdzie majaczyły ruiny starych budynków. Pomyślał, że po zachodzie słońca muszą wydawać się mroczne i straszne.

– Ma pan służbową broń? – zapytał.

Kamiński skinął głową.

Nastał wieczór. Słońce schowało się za drzewami, barwiąc horyzont pastelowymi kolorami. I chociaż upał nieco zelżał, nadal było gorąco. Na głównych ulicach Gdańska panował ruch, setki samochodów stały w korkach, spaliny wdzierały się w nozdrza przechodniów, a wszystko dlatego, że ludzie chcieli wyjechać na weekend poza miasto. Tymczasem niedaleko drogi krajowej numer 7, na poboczu szosy biegnącej do Leźna, stało zaparkowane czarne BMW, w którym siedziało trzech mężczyzn.

Szczypior, mimo pracującej klimatyzacji, połuźnił krawat, który pasował mu jak świni siodło, i spojrział z wyrzutem na Maksa, który siedział na fotelu pasażera. To on kazał jemu i Małemu wbić się w niewygodne garnitury. Podobno taki był rozkaz szefa, ale Szczypior przekonany był, że to pomysł Maksa, chcącego upodobnić ich do siebie. Od zawsze przeszkadzało mu, że chodzili w dresach.

– Długo mamy czekać? – spytał niecierpliwie Mały, szarpiąc za kołnierz pijącej go koszuli.

– Tyle, ile będzie trzeba – odparł ze stoickim spokojem Maks.

Mężczyzna przez przednią szybę spoglądał na mający w oddali budynek. Urokliwy pałacyk otoczony był malowniczym parkiem, w którym właśnie rozbłysły latarnie. W ich świetle można było dostrzec wiekowe drzewa, kwietne aleje oraz drewnianą altankę.

Pałac miał swoją długoletnią historię. Pierwsze wzmianki dotyczące Leźna pochodziły z XIV-wiecznych dokumentów, a pierwszym właścicielem dóbr leźnieńskich z nadania krzyżackiego był niejaki Gottk. Po upadku zakonu ziemie przeszły na własność króla polskiego. Dopiero jednak w XVIII wieku, gdy właścicielem Leźna został Jan Jerzy Przebendowski, uczestnik bitwy chocimskiej i podskarbi koronny, wzniesiono w tym miejscu wspaniały dwupiętrowy pałac, otoczony niewielkim parkiem. Jak zapewniał kronikarz, salonów i pokoiów było w nim ponad trzydzieści, a gmach porównywano do sławnych krzyżackich zamków.

Później majątek podupadł. Podczas wojen napoleońskich w pałacyku stacjonowały wojska francuskie i to

one rozpoczęły jego dewastację. Kontynuowali ją w roku 1945 żołnierze Armii Radzieckiej, a po drugiej wojnie światowej cały majątek został upaństwowiony. W czasach komuny znajdował się tam PGR i cały kompleks został doprowadzony do ruiny. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych, gdy majątek stał się własnością Uniwersytetu Gdańskiego, poddano pałacyk pieczołowitej renowacji. Odbudowano fasadę, odrestaurowano pomieszczenia i obecnie znajdował się tu luksusowy hotel.

Maks rozmasował sobie obolały kark. Wraz ze swoimi ludźmi siedział tu od rana, obserwując hotel i czekając na zaproszonych przez Tichonowa gości. Najpierw pod budynek podjechała taksówka, z której wysiadł niski, łyśawy facet w źle skrojonym garniturze. Nieufnie rozejrzał się po okolicy, odebrał od kierowcy walizkę i ruszył w stronę portierni. Nie sposób było zgadnąć, że człowiekiem tym jest Alessandro Pantani, jeden z rezydentów neapolitańskiej mafii. Przyleciał z Warszawy bez ochroniarzy, co świadczyć mogło o wielkiej pewności siebie lub zwykłej głupocie.

Szczypior i Mały co godzinę sprawdzali teren, ale nie zauważyli niczego niepokojącego. Wyglądało na to, że makaroniarz rzeczywiście przyleciał do Gdańska sam, bez żadnej obstawy. Maksowi wydawało się to wielce podejrzanе i był niemal pewien, że Włosi coś kombinują. Od dawna szykowali się, żeby wejść na teren Rosjan i przejąć ich kanały dystrybucyjne, ale jak dotąd byli na to za słabi. Teraz wszystko się zmieniło. Akcja na terminalu kontenerowym pokazała, że zdobyli odpowiednie wpływy i poważnie zagrażali pozycji Tichonowa. Mogło to się skończyć dwojako: obie grupy się dogadają i po-

dziela strefy wpływów albo wybuchnie między nimi wojna. Maks nie miałby nic przeciw konfrontacji, był typem fightera i lubił walkę. Niestety, wyglądało na to, że Tichonow naprawdę chce się dogadać.

– Spójrzcie! – krzyknął Szczypior, wskazując podjeżdżające pod hotel trzy luksusowe limuzyny. – Już tu są.

Najpierw wysiadło kilku ochroniarzy, ubranych w czarne garnitury i wyglądających niczym klony. Krótko ostrzyżeni, dobrze zbudowani, z okularami przeciwsłonecznymi na nosach zlustrowali wzrokiem okolicę. Dopiero gdy jeden z nich dał znać, że teren czysty, ze środkowego samochodu wysiadł mężczyzna o długich, lokowanych włosach, spadających kaskadą na ramiona i skierował się w stronę hotelu.

– To on? – spytał Szczypior.

Maks skinął głową, z kieszeni marynarki wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer.

– Szefie? – odezwał się po chwili. – Giuseppe Rossi właśnie przyjechał. Mamy ich wszystkich w komplecie.

– Wracajcie – rzucił krótko Oleg Tichonow i wyłączył telefon.

Rezydent sołncewskiej mafii odsunął od siebie talerz z niedojedzoną połówką faszerowaną szpinakiem i serem, otarł usta serwetką i sięgnął po kieliszek z winem. Przez chwilę delectował się cierpkim smakiem Belleruche i rozbrzmiewającą w restauracji muzyką Gershwi-
na. Pianista dobrze wiedział, że gdy Tichonow zjawia się

w lokalu, należy grać „Błękitną rapsodię” lub „Amerykanina w Paryżu”, jego ulubione szlagiery.

Rosjanin na kolację wybrał się sam do położonej na gdyńskim bulwarze urokliwej restauracji, gdzie można było dobrze zjeść, posłuchać na żywo muzyki i popatrzeć na falujące morze. Przyglądając się halsującym jachtom, zakotwiczonym na redzie statkom i mewom szybującym nad niespokojną taflą wody, Tichonow zastanawiał się, czy dobrze robi, próbując się dogadać z camorra?

Nie dalej jak godzinę temu dzwonił do Moskwy, składając relację z tego, co dzieje się na jego terenie. Dostał zgodę na podjęcie takich działań, jakie uważa za słuszne, nawet z opcją zlikwidowania przedstawicieli camorry. Może powinien kazać rozwalić rezydentów neapolitańskiej mafii, właśnie teraz, gdy była ku temu okazja, żeby pokazać, kto tu rządzi. Zyskałby jeszcze większe poważanie w środowisku przestępczym, szacunek i prestiż. Kusiło go, żeby wydać rozkaz zabicia Alessandra Pantaniego i Giuseppe Rossiego, ale dobrze wiedział, że na ich miejsce pojawią się inni. Lepszy jest wróg, którego się dobrze zna, na którego ma się haki, niż ktoś zupełnie nowy. Ponadto Tichonow chciał uniknąć trupów na ulicach, zasadzek i wybuchów, które nieodłącznie towarzyszyły mafijnym porachunkom.

Tichonow nie był głupcem, dobrze wiedział, że camorra jest równie potężna jak Sołncewo i prędzej czy później musi dojść do konfliktu pomiędzy tymi dwiema organizacjami. Na razie Tichonow postanowił się z makaroniarzami dogadać, oczywiście na jego warunkach, a co będzie dalej, to czas pokaże.

Pianista płynnie przeszedł w „I Got Rhythm” i Rosjanin zmarszczył brwi. Nie był dzisiaj w nastroju na żwawą muzykę. Przywołał kelnera, uregulował rachunek i wyszedł z restauracji, wciągając w nozdrza chłodne, wieczorne powietrze. Zaraz u jego boku pojawił się potężny Czeczeniec, który był zarówno kierowcą, jak i ochroniarzem rezydenta sołncewskiej mafii. Tichonow zwerbował go, jak większość swoich zaufanych ludzi, na wojnie. Dimitri nie służył w armii Federacji Rosyjskiej, a wręcz przeciwnie – był jej wrogiem. Okazało się jednak, że nic tak ludzi nie łączy, jak pieniądze.

Tichonow ruszył wolnym krokiem do samochodu zaparkowanego niecałe pięćdziesiąt metrów dalej. Uśmiechnął się z zadowoleniem, podziwiając swojego czarnego Mercedesa s600 Pullman Guard. Była to jedna z niewielu drogich zachcianek, na jakie sobie pozwolił. Nie szastał szmałem na lewo i prawo, a to, co zarobił, natychmiast inwestował. Wychodził z założenia, że pieniądze musi robić pieniądze i postrzegał siebie bardziej jako biznesmena niż gangstera. Kto wie, może niedługo wejście w świat polityki? Uśmiechnął się na tę ostatnią myśl.

Wiedział, że bez problemu mógłby sobie kupić czołowe miejsce na liście wyborczej każdego z dużych ugrupowań politycznych, a tym samym znaleźć się w sejmie lub senacie. Jednak rezydent sołncewskiej mafii wołał działać zza kulis. W jego ręku znajdowały się kompromitujące materiały na czołowych polityków, decydentów w obecnym rządzie, i gdy trzeba było, robił z nich użytek, jak wówczas, gdy rozstrzygały się losy kontraktu na dostarczanie gazu do Polski. Dzięki szantażowi, bo Tichonow

lubił nazywać rzeczy po imieniu i nie używał słowa „lobbing”, przetarg wygrała firma rosyjska należąca do Sołncewskiej Braci. Miał nadzieję, że tą samą metodą również rozwiąże sprawę z camorrą.

Dimitri otworzył drzwi samochodu i Tichonow wsunął się na wygodne siedzenie. Gdy ruszyli, wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił do Marty. Powiedział jej, żeby umówiła go z makaroniarzami na jutro.

Andrzej Kamiński siedział na łóżku i sprawdzał broń. Wszystko wydawało się być w jak najlepszym porządku. Na szkielet pistoletu z powrotem założył zamek, lufę i sprężynę powrotną wraz z żerdzią. Glock 17 kaliber 9 mm, ważył nieco ponad pół kilo i idealnie pasował do dłoni. Andrzej umieścił siedemnaście nabojów w magazynku i wsunął go do gniazda. Następnie wstał z łóżka, schował broń do kabury przewieszanej przez krzesło i stanął przy oknie, spoglądając na drugi brzeg Motławy.

Słońce dawno już zaszło i pogrążona w mroku Wyspa Spichrzów sprawiała upiorne wrażenie. Postrzępione ruiny budynków straszyły swoją posępnością, krzaki porastające cypel, oświetlone jedynie księżycową łuną, zdawały się być widmowymi stworami, które nocą wyłazły na żer. Zaraz ruszą na Stare Miasto, żeby szponami rozszarpywać spacerujących po starówce przechodniów, wbić zęby w ich ciała, utoczyć krwi i dać upust żądzy zabijania. Wyobrażenia Andrzeja podsuwała mu pełne grozy obrazy, wyjęte wprost z amerykańskich horrorów klasy B. Uśmiechnął się na tę myśl. Jednakże zaraz so-

bie uświadomił, że niebezpieczeństwo jest całkiem realne. Gdzieś tam czaił się morderca śledzący Kamińskiego i zabijający ludzi w jego otoczeniu. Dlaczego to robił? Kim był? Dla kogo pracował? Na te pytania Andrzej jeszcze nie znał odpowiedzi.

Zasunął szczelnie zasłony, jakby w obawie, że tajemniczy zabójca go spostrzeże, następnie otworzył laptopa i sprawdził pocztę elektroniczną. Nic. Żadnego potwierdzenia z centrali, a przecież raport wysłał około południa. Od początku swojego pobytu w Trójmieście nie dostał żadnych wytycznych, nikt z Warszawy się z nim nie kontaktował i nie odpisywał na e-maile. Wyglądało na to, że w tej konkretnej sprawie ABW pozostawiło go samemu sobie.

Do tej chwili Andrzej się tym nie przejmował, nawet mu to odpowiadało, że zwierzchnicy dają mu wolną rękę, a nie trzymają na krótkiej smyczy, jak to w przeszłości bywało. Teraz jednak sytuacja mocno się skomplikowała.

Kamiński wyłączył komputer i chwycił ze stołu telefon komórkowy. Przez dłuższą chwilę beznamyślnie wpatrywał się w wyświetlacz, aż wreszcie podjął decyzję. Wybrał numer swojego bezpośredniego zwierzchnika. Spojrzał na zegarek. Co prawda było już po dwudziestej drugiej i do tego piątek, ale Andrzej stwierdził, że jest to sprawa najwyższej wagi. Po pierwsze musiał zgłosić fakt, że tajemniczy morderca kroczy jego śladem i w związku z tym musiał wiedzieć, jakie podjąć czynności, po drugie wierzył, że w rozmowie z przełożonym uda mu się uzyskać informacje o tym, kto w agencji wiedział o prowadzonym przez niego śledztwie. Andrzej podejrzewał, że może w aferę zamieszany jest ktoś z centrali.

Po pierwszym sygnale Kamiński usłyszał wiadomość: „abonent czasowo niedostępny”. Zdziwił się, gdyż pracownicy ABW nie mogli wyłączać telefonów służbowych, a przełożony Andrzeja najwyraźniej to zrobił. Spróbował raz jeszcze. To samo. Zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce z prośbą o natychmiastowy kontakt i odłożył telefon.

Podszedł do okna i odsunął zasłonę. Ponownie miał wrażenie, że jest obserwowany. Na plecach poczuł nieprzyjemny dreszcz, jakby coś mrocznego i oślizgłego pełzło mu wzdłuż krzyża, pojawił się irracjonalny strach, że jakaś mroczna siła zaraz wedrze się do jego mózgu, opanuje myśli i pozbawi wolnej woli. Niestraszne mu były śmierć ani ból. Najbardziej obawiał się tego, że zostanie bezwolną kukłą, bez możliwości decydowania o własnym losie, bał się utraty własnej tożsamości i duszy.

Kamiński potrząsnął głową, próbując odgonić nieprzyjemne myśli, postanowił skupić się na czymś przyjemniejszym i zaraz przypomniał sobie kobietę, którą ujrzał w „Nikicie”. Miała na imię Marta, była piękna i należała do Tichonowa. To wszystko, co o niej wiedział. Przypomniał sobie jej platynowe włosy, kontrastującą z nimi oliwkową skórę i drapieżne rysy twarzy. Jednak największe wrażenie robiły czarne, hipnotyzujące oczy. Oczy, które mogły pochłonąć jak najgłębsza studnia, ale on zanurzyłyby się w nich bez wahania.

Andrzej pragnął tej kobiety. Chciał zamknąć ją w ramionach, delikatnie całować perłowe usta, pieścić językiem każdy zakamarek oliwkowego ciała. Rozsądek podpowiadał mu, że powinien jak najszybciej o niej zapomnieć, jednak żądza sprawiała, że chciał ją posiąść bez

względu na konsekwencje. To nic, że należała do najbardziej wpływowego gangstera na Wybrzeżu. To nic, że groził, wyrok za udział w grupie przestępczej. To nic, że była zamieszana w sprawę, jaką prowadził, i należała do grona podejrzanych. On jej pragnął i wierzył, że będzie miał okazję ujrzeć ją ponownie.

Nagle coś przerwało jego rozmyślenia. Po drugiej stronie Motławy zamigotały światła i rozległ się dźwięk syren policyjnych radiowozów. Coś działo się na Wyspie Spichrzów. W tej samej chwili usłyszał sygnał telefonu. Odebrał w nadziei, że dzwoni jego przełożony.

Ale to był komisarz Tomasz Rafalski.

Pomimo późnej pory w jednym z okien Muzeum Archeologicznego paliło się światło. W ciasnym gabinecie, wśród sterty zakurzonych książek i zabytkowych eksponatów, przy swoim dębowym biurku siedział profesor Aleksander Bonc-Chojnarski. Nie wyglądał tak dobrze, jak kilka dni temu podczas rozmowy z Andrzejem Kamińskim. Zgarbiony, jakby przytłoczony tym, co odkrył, sprawiał wrażenie o dziesięć lat starszego. Jego skóra miała niezdrowy żółtawy odcień, pod oczami można było dostrzec wory, w drżącej dłoni trzymał lupę, przez którą przyglądał się niedbale porozrzucanym zdjęciom.

Co jakiś czas wertował stertę kartek zapisanych drobnym maczkiem, wypełnionych dziwaczными hieroglifami i opisami ich znaczeń, a potem szybko coś notował w grubym zeszycie. Pogrążony w pracy nie przejmował się tym, że jest sam jak palec w gmachu pełnym wie-

kowych eksponatów, gdzie oprócz glinianych naczyń używanych przez pomorskie plemiona w epoce żelaza, amuletów, ubrań i broni ze starożytnego Egiptu, ozdób elegantek z wczesnego średniowiecza można było również znaleźć szkielety. Jedna z wystaw poświęcona była schorzeniom ludności w różnych okresach historycznych i w szczelnie pozamykanych gablotach znajdowały się poharatane szczątki wojowników, zdeformowane czaszki trędowatych, koszmarnie powykręcane kręgosłupy chorych na gruźlicę, kości dotknięte nowotworami, zniekształcone w wyniku chorób genetycznych obojczyki i stawy oraz inne straszne zwyrodnienia.

Te wszystkie eksponaty zdawały się być pogrążone w głębokim śnie, ale ktoś obdarzony bujniejszą wyobraźnią mógłby wziąć skrzygnięcia zdezelowanych drzwi za człapiącego po schodach myśliwego z okresu neolitu, który właśnie wyszedł na polowanie. W trzasku okiennicy uderzanej wiatrem usłyszałby kołatkę trędowatych, wędrujących procesją po korytarzu. Ciche popiskiwanie myszy buszującej na strychu uznałby za przepełnione bólem jęki niemowlaków, którym ropiejące wrzody nie pozwalają spać. Jednak człowiek siedzący przy dębowym biurku tak dalece pochłonięty był pracą, że pewnie i tak nie zwróciłby uwagi na wpełzające z gablot nocne strachy.

Profesor zdjął okulary i potarł przekrwione oczy. Od wtorku spał zaledwie kilka godzin, a w jego wieku było to niedopuszczalne. Jednakże rozszyfrowywanie tekstów tak bardzo go zaabsorbowało, że przez ten cały czas nie odczuwał zmęczenia.

Zaraz po wtorkowej wizycie Andrzeja Kamińskiego zabrał się za tłumaczenie, najpierw korzystając z własnej wiedzy na temat alfabetu Kananejczyków, a następnie konsultując się z autorytetami w tej dziedzinie. Żałował, że nie udało mu się skontaktować z Dariuszem Kowalewskim, młodym studentem, który odbywał u niego praktyki w muzeum. Młodzieniec pomimo tego, że nie zdobył jeszcze tytułu magistra, dzięki swojej pasji do starożytnego Wschodu był specjalistą w odszyfrowywaniu inskrypcji. Dzięki niemu szybciej uporałby się z problemem. Dzwonił kilkadziesiąt razy na jego komórkę, a nawet na numer domowy. Nikt nie odpowiadał.

Aleksander Bonc-Chojnarski westchnął ciężko i spojrział na rozrzucone po stole zdjęcia. Wreszcie udało mu się odnaleźć właściwy klucz pisma klinowego i zidentyfikował znaki, dzięki czemu mógł zabrać się za tłumaczenie tekstu. Był mniej więcej w połowie.

Tabliczki pochodziły ze świątyni Baala i okazały się zawierać modlitwy, inwokacje, jak również poematy wielbiące kananejskich bogów, prastare mity i przypowieści. Profesor najpierw z wypiekami na twarzy odszyfrowywał teksty, zagłębiając się w świat sprzed kilku tysięcy lat, zachwycając się zapomnianymi już legendami i katalogując panteon bóstw. Jednak z każdym kolejnym tekstem jego euforia zmieniała się w niepokój. Każdy kolejny fragment, element układanki, odsłaniał rzeczy, od których włosy zjeżyłyby mu się na głowie, gdyby profesor je posiadał. Otwierał szeroko oczy, czytając o rzeczach, które wyróbcą do góry nogami historię, podważą dogmaty religijne i zniszczą fundament kultury chrześcijańskiej.

Bonc-Chojnarski wstał od stołu, podszedł do okna i spojrzął na pustą już o tej porze i pogrążoną w mroku ulicę Mariacką. Ciągające się po jej obu stronach, oświetlone nikłym światłem latarni przedproża, urzekały bogactwem kamieniarskiej sztuki. Rzeźbionym rzygaczom do odprowadzania wody nadano kształty zwierząt, tworząc osobliwy zwierzyniec, którego uzupełnienie znajdowało się na szczytach zabytkowych kamienic. Można było podziwiać kunszt zarówno dawnych mistrzów architektury, jak i współczesnych artystów, którzy przywrócili świetność ulicy Mariackiej po tym, jak została zniszczona w czasie drugiej wojny światowej.

Ten jeden z najpiękniejszych i najstarszych zakątków Gdańska od zawsze przyciągał artystów. Po starym granitowym bruku spacerowali poeci, układając w głowie wiersze, na kamiennych schodach siadali malarze z arkuszami papieru i rysikami w dłoniach i oddawali w szkicach piękno ulicy, w dzień tętniącej życiem, teraz zaś otulonej płaszczem nocy.

Profesor poczuł ciarki na plecach na myśl o kamiennych gargulcach na fasadach kamienic, spoglądających na niego pustymi oczami i zaraz cofnął się w głąb pokoju. Wyobraźnia podpowiadała mu, że wśród tych rzeźb czają się upiorne, okrutne istoty, o których dowiedział się z tajemniczych tabliczek. Usiadł przy biurku i zabrał się do dalszej pracy.

Tomasz Rafalski miał na sobie tę samą popielatą marynarkę, w której Kamiński widział go, gdy spotkali się po

raz pierwszy na terminalu kontenerowym. Od tego wydarzenia minęły zaledwie dwa dni, a Andrzejowi wydawało się, że całe wieki. Śledztwo ciągnęło się dłużej niż przypuszczał i zataczało coraz szersze kręgi.

Komisarz stał nad brzegiem Motławy, na samym skraju Wyspy Spichrzów, niedaleko miejsca, gdzie wczoraj wyłowiono trupa bezdomnego pijaka. W świetle policyjnych reflektorów, omiatających światłem niemal całą wyspę, rozmawiał z wysokim, barczystym mężczyzną, sądząc po ubiorze dowódcą SPAP. Samodzielny Pododdział Antyterrorystyczny Policji angażowano przede wszystkim do akcji o najwyższym stopniu ryzyka, czyli do zwalczania terroryzmu i zatrzymań szczególnie groźnych przestępców.

Mężczyzna, podobnie jak jego ludzie stojący kilka metrów dalej i czekający na rozkazy, miał na sobie ubiór z nomeksu, kamizelkę taktyczną, na głowie zaś hełm z kevlaru. W rękach trzymał pistolet maszynowy Heckler&Koch MP-5. Antyterrorysty zakrywali twarze kominiarkami, ale widać było, jak czujnym wzrokiem rozglądają się po okolicy.

– Co tu się stało? – zapytał Andrzej, witając się z Rafalskim i dowódcą SPAP.

– Prawie go dopadliśmy – odparł smętnie komisarz.

– Prawie?

– Przed godziną policyjny patrol zauważył podejrzanego mężczyznę kręcącego się po Wyspie Spichrzów. Nie wyglądał na bezdomnego. Na szczęście mieli na tyle oleju w głowie, żeby nie interweniować i powiadomić centralę. Natychmiast przyjechałem tutaj z antyterrorystami i rozpoczęliśmy procedurę zatrzymania...

Rafalski zamilkł, zmarszczył czoło i ponuro wbił wzrok w ziemię.

– Po prostu nam spierdolił – odparł rzeczowo oficer SPAP, który nie raczył się Andrzejowi przedstawić. – Nie mam pojęcia, jak mu się to udało. Otoczyliśmy podejrzanego, a on rzucił się na nas z gołymi rękoma. Dwóch moich ludzi karetka odwiozła do szpitala.

Andrzej zrozumiał, skąd te syreny, które słyszał w hotelowym pokoju.

– Uciekł w stronę spichlerzy, próbując skryć się w ruinach, a my ruszyliśmy za nim. Zezwoliłem na otwarcie ognia. Mogę przysiąc, że trafiłem skurwysyna kilka razy, od innych moich ludzi też musiał zarobić kulkę, ale to go nie zatrzymało.

– Pewnie miał kamizelkę kuloodporną – wtrącił nieśmiało Rafalski.

Mężczyzna roześmiał się. Jednak w jego śmiechu Andrzej nie wyczuł wesołości, a raczej histerię.

– Nawet jak masz na sobie kamizelkę kuloodporną, to siła wystrzelonego pocisku zapiera dech w piersiach, a ból niemal pozbawia przytomności. A ten facet nawet nie zwolnił kroku.

– Może był naćpany? – zapytał Andrzej. – Zdarza się, że ludzie wówczas nie odczuwają bólu.

Antyterrorysta pokręcił głową i rzekł ściszym głosem:

– To nie było normalne.

– Co pan ma na myśli?

– Nie dość, że nie imają się go kule, to jeszcze skakał między zwaliskami gruzu niczym gazela. Ja i moi ludzie

jesteśmy świetnie wyszkoleni fizycznie, ale nie mogliśmy go dogonić. Po prostu go zgubiliśmy.

Andrzej zauważył, jak oficer SPAP zacisnął wściekle pięść.

– Zablokowaliśmy wszystkie mosty prowadzące do wyspy, dokładnie przeszukaliśmy każdy jej zakamarek i nic. – Rafalski bezradnie rozłożył ręce. – Wygląda na to, że facet rozpułnął się w powietrzu.

– Jeśli wy dostał się z Wyspy Spichrzów, to może być już gdziekolwiek – rzekł antyterrorysta. – Jeśli ruszył na południe, to możemy całą noc przeszukiwać kamienice oraz zaułki Dolnego Miasta, a i tak go nie znajdziemy. Zbyt duży obszar. Natomiast jeśli przedostał się na północ, to pewnie wmieszał się w tłum turystów na starówce. Spieprzyliśmy sprawę i tyle.

– Niekoniecznie – odparł tajemniczo Andrzej, spoglądając w stronę wieży Muzeum Archeologicznego, górującej nad innymi budynkami. Obudziło się w nim dziwne przeczucie. Nie potrafił sprecyzować, skąd się wzięło. Nagle zaczął biec w stronę Bramy Mariackiej.

– Za mną!

Osadzona na szczycie kamienicy maskara, wyjęta wprost z greckiej mitologii, spoglądała w okno muzeum, za którym dostrzec można było Aleksandra Bonca-Chojnarskiego. Taksowała profesora wzrokiem nieruchomym, zimnym i obojętnym, bo cóż mogło zainteresować pozbawionego świadomości kamiennego

stwora? Zakurzone książki na półkach i stosy dokumentów? Zgarbiona sylwetka starszego mężczyzny, drżącą ręką zawzięcie notującego coś w grubym zeszytacie? A może zdjęcia niedbale rozrzucone na blacie stołu? Rzeźbiona maskara tkwiła tu od dziesięcioleci, a czekały ją jeszcze długie lata bezczynnej egzystencji, zanim zniszczy ją deszcz i wiatr, więc takie widoki nie stanowiły dla niej żadnej ekscytacji. Oczywiście, przy założeniu, że maskara byłaby żywa. Ale nie była.

Dlatego też nie spostrzegła, jak tuż obok przycupnęła odziana w czerń postać, która oparła stopy na wąskim gzymsie, nienaturalnie wygięła kręgosłup i pochyliła się do przodu. Nie przejmowała się zupełnie tym, że może spaść i roztrzaskać się o granitowy bruk. Wyglądało to tak, jakby nie działała na nią siła grawitacji, albo posiadała magiczną moc utrzymującą ją w tej pozycji. Istota zastygła w miejscu, ptasim sposobem przekręciła głowę, spoglądając w to samo miejsce, co kamienna maskara.

Jeśli ktoś spacerowałby w tym czasie ulicą Mariacką i podniósł głowę, spoglądając na fasady kamienic, dostrzegłby tylko otulone mrokiem dwa niewyraźne kształty. Wziąłby je zapewne za rzeźby i ruszył w dalszą niespieszną wędrówkę po zabytkowych uliczkach Gdańska. Jednakże jedna z istot pustymi oczami nie widziała nic, druga uważnie obserwowała siedzącego za biurkiem mężczyznę.

Nagle ów tajemnicza postać drgnęła zaniepokojona. Gwałtownie odwróciła głowę, nadstawiając uszu. Od strony Bramy Mariackiej dochodziły podniesione głosy, szczekliwe rozkazy i po chwili echem między kamienicami poniósł się odgłos ciężkich wojskowych butów.

Stworzenie kucające na gzymsie fuknęło wściekle i obnażyło kły. Raz jeszcze spojrzało w okno Muzeum Archeologicznego, a potem wybiło się w górę i bez najmniejszego problemu wskoczyło na dach kamienicy. Sądząc olbrzymie susy, zaczęło uciekać w stronę Bazyliki Mariackiej, jakby tam spodziewało się znaleźć schronienie przed nadciągającą pogonią.



Kamiński biegł ile sił po brukowanej uliczce. Cały czas zadzierał głowę, patrząc w górę, nie chcąc stracić z oczu umykającej po dachu szarej sylwetki. Prawdopodobnie był to ten, którego szukali – niebezpieczny morderca, mający na koncie mord przynajmniej pięciu ludzi. Andrzej daleko w tyle zostawił dyszącego niczym lokomotywa komisarza Rafalskiego i antyterrorystów. Okazało się, że nie mieli tak dobrej kondycji, jak twierdził ich dowódca. A może to Kamiński był w wysmienitej formie?

Od momentu gdy ruszył z Wyspy Spichrzów, nawet na chwilę nie zwolnił. Zdziwieni turyści, będący na nocnym spacerze, pośpiesznie schodzili mu z drogi, gdy biegł przez most nad Motławą, potem zaś Długim Pobrzeżem. Wreszcie wpadł na ulicę Mariacką, cały czas czując instynktownie, że morderca właśnie tutaj się ukrył. Podpowiadał mu to jakiś szósty zmysł, intuicja, a może kilkuletnie doświadczenie w ABW?

Nie pomylił się. Kiedy minął Bramę Mariacką, jego spojrzenie powędrowało w górę i na dachu jednej z kamienic spostrzegł otuloną w czerń postać. Nie miał wątpliwości, że to poszukiwany. Tajemniczy osobnik na-

tychmiast zorientował się, że jest w niebezpieczeństwie, i zaczął uciekać. Z akrobatyczną zwinnością przeskakiwał z dachu na dach, omijając kominy i ślizgając się po dachówkach. Andrzej pognał za nim ulicą, kombinując w myślach, jak dostać się na górę. Wiedział, że nie będzie to proste. Dochodziła północ i o tej porze wszystkie sklepy były już pozamykane, drzwi do kamienic zaryglowane, okna zakratowane. Nie miał możliwości, żeby tam wejść, a latać nie potrafił.

Jak zatem na górę dostał się morderca? – przebiegło przez głowę Kamińskiemu, ale widząc jego kaskaderskie wyczyny, można było założyć, że wspiął się po rynnie lub piorunochronie. Andrzej nie miał ochoty na tego rodzaju eksperymenty.

Obejrzał się za siebie. Antyterrorysty znajdowali się dobre pięćdziesiąt metrów za nim. Na pustej o tej porze ulicy echem roznosiły się ich ciężkie, dyszące oddechy. Nie miał co na nich liczyć. Jeśli on nie dopadnie mordercy, nikt tego nie zrobi.

Podczas biegu rzucał szybkie spojrzenia na mijane budynki. Z mroku wyłaniały się dziwaczne kształty: kamienne zwierzęta warujące na przedprożach domów, szczerzące zęby maskary, milczące posągi mitycznych stworów i wyciągające swoje smocze szyje rzeźbione rzygacze. Osobliwy zwierzyniec wzbudzał lęk, napełniał niepokojem. Wydawało się, że kamienne potwory zaraz ożyją, rzucą się na Andrzeja, rozszarpując go pazurami, potężnymi kłami przegryzą gardło i wytoczą krew.

Nagle w jednym z mijanych budynków dostrzegł niezakratowane okno galerii sztuki, na tyle duże, że mógł swobodnie dostać się do środka. Długo się nie zastana-

wiał. Błyskawicznie wbiegł po kamiennych schodach przedproża kamienicy i prostym kopnięciem roztrzaskał szybę. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, a zaraz potem zawył alarm. Andrzej nie przejął się tym i ostrożnie, uważając na pozostawione we framudze kawałki szyby, wkroczył do pomieszczenia.

Dobrych kilka sekund zajęłoby Kamińskiemu przyzwyczajenie oczu do zupełnych ciemności, ale on nie mógł czekać. Ruszył po omacku, potykając się o meble oraz stelaże z wystawionymi obrazami i zanim dotarł do przeciwległej ściany, gdzie miał nadzieję znaleźć wyjście, zdążył nabawić się kilku siniaków. Gdy wreszcie zaczął dostrzegać niewyraźne kształty, był już przy drzwiach. Szarpnął za klamkę. Zamknięte. Cofnął się o krok, mocno kopnął i wyłamał zamek. Naparł ramieniem na drzwi, które natychmiast ustąpiły, i wypadł na klatkę schodową. Tutaj na szczęście dzięki większej ilości okien było nieco światła rzucanego przez uliczne latarnie. Ruszył na górę, pokonując po trzy schodki na raz i zatrzymał się dopiero na ostatnim podejściu przed wejściem prowadzącym na dach.

Metalowa klapa zamknięta była na kłódkę. Andrzej nie wahał się ani chwili, sięgnął do kabury po służbowego Glocka. Strzał został zagłuszony przez wyjący niemiłosiernie alarm. Kamiński ściągnął przestrelony skobel, odryglował klapę i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Co prawda było mało prawdopodobne, że morderca przewidział jego plany i czał się teraz przy wejściu, ale wołał dmuchać na zimne. Nie zauważył niczego niepokojącego, wdrapał się na górę i natychmiast ruszył w stronę, gdzie po raz ostatni widział uciekiniera.

Pokryty papą dach w niczym nie przypominał stadionowej bieżni i Kamiński potykał się, wpadając w każde niemal zagłębienie. Wydawało mu się, że wiekowe sklepienie zaraz się zawali, a on zleci kilka metrów w dół, łamiąc wszystkie kości. Na szczęście na razie nic takiego się nie zdarzyło, ale kilka razy poślizgnął się na stromiznie dachu i niemal zsunął się w dół.

Po chwili skończył się budynek i Andrzej musiał skoczyć dobre dwa metry na dach kolejnej kamienicy. Podczas lądowania potknął się i przekoziółkował. Szybko jednak podniósł się i biegł dalej.

Nagle ujrzał jakiś ruch po prawej stronie, cień przeemykający przy kominie. Natychmiast wyszarpnął pistolet z kabury, wymierzył i zastygł z palcem na spuście... To tylko kot. Czarny, wypasiony kocur łypał na niego zielonymi oczami, w których można było wyczytać niemy wyrzut. Wyprężył grzbiet, fuknął groźnie, wierząc, że tym przestraszy to dziwne dwunożne stworzenie, które wlaźło na jego teren. Wydawał się być zdziwiony, bo z dachu przeganiał zazwyczaj mewy i gołębie, a teraz widział człowieka. Kocur zmiarkował wreszcie, że nie poradzi sobie z większym od niego przeciwnikiem, i czmychnął za komin.

Tymczasem Andrzej biegł dalej. Nie chował broni, bo widział majaczącą w ciemności sylwetkę mordercy. Przyspieszył. Od uciekiniera dzieliło go zaledwie dziesięć metrów. Nie odczuwał zmęczenia. Prawdopodobnie zawdzięczał to podwyższonemu poziomowi adrenaliny. Kamiński próbował krzyknąć, ale z gardła dobył mu się tylko głuchy charkot. Wystrzelił w powietrze.

Ku jego zdumieniu, tajemniczy osobnik zatrzymał się.

Tomasz Rafalski był przekonany, że zaraz wypluje płuca. W pracy większość czasu spędzał za biurkiem, niemal zupełnie zaprzestając ćwiczeń fizycznych i teraz trzystumetrowy sprint pozbawił go tchu. Przed oczyma pojawiły mu się mroczki, serce waliło jak oszalałe, ale biegł dalej. Przed sobą widział muskularne plecy antyterrorystów z oddziału SPAP, a z przodu sylwetkę Andrzeja Kamińskiego.

Komisarz z podziwem obserwował jak oficer ABW niczym strzała wystrzelona z procy pomknął w stronę ulicy Mariackiej. Wydawało się, że pobił wszystkie możliwe rekordy w biegach krótkodystansowych. W przeciwieństwie do niego musiał być w świetnej kondycji.

Rafalski zastanawiał się, czy Kamiński dostrzegł mordercę po drugiej stronie Motławy, czy podpowiedział mu to instynkt. A może wiedział coś, czego nie chciał mu powiedzieć? Czymkolwiek oficer agencji się kierował, okazało się, że miał rację. Gdy tylko minęli Bramę Mariacką, zaraz spostrzegli cień przemykający po dachach kamienic.

Pierwszą reakcją Tomasza Rafalskiego było zdziwienie. Dlaczego podejrzany włął na górę, zamiast spróbować ucieczki? Mógł niepostrzeżenie wmieszać się pomiędzy licznych jeszcze przechodniów, spacerujących po gdańskiej starówce. Potem przyszło zrozumienie. Mor-

derca nie bał się obławy. On polował! Mając pod nosem liczne patrole przeczesujące teren, antyterrorystów gotowych w każdej chwili do akcji, on spokojnie wypatrywał kolejnej ofiary.

Po plecach komisarza przeszedł zimny dreszcz. Wszystko wskazywało, że mają do czynienia z psychopata. Tylko ktoś taki z zimną krwią i okrucieństwem mógł zabijać ludzi, a potem masakrować ich ciała. Morderca działał impulsywnie i wydawał się być kompletnie pozbawiony uczucia lęku. Rafalski w swojej pracy zawodowej często miał z takimi do czynienia, z aspołecznymi, pozbawionymi empatii wykolejeńcami, którzy nie liczyli się z niczym i nikim. Potworami w ludzkiej skórze.

A może to nie był człowiek, tylko jakaś szatańska istota? Może demon, który wypełził z piekła, albo mara z sennych koszmarów? Tomasz Rafalski odpędził te myśli, stwierdzając, że nie powinien oglądać idiotycznych horrorów.

Nagle usłyszał brzęk tłuczonego szkła i spostrzegł, jak Tomasz Kamiński wdziera się do kamienicy. Rafalski bezgłośnie zaklął, zdając sobie sprawę z konsekwencji. Policja będzie musiała tłumaczyć się ze zniszczeń własności prywatnej, o może nawet z nielegalnego wtargnięcia. Nie pomogą wyjaśnienia, że dokonał tego oficer ABW, to Rafalski prowadził obławę i na jego barkach spoczywała odpowiedzialność. Teraz żałował, że do niego zadzwonił.

Komisarz zatrzymał się, stwierdziwszy, że dalszy jego pościg nie ma sensu. Z przodu był Kamiński, za nim antyterrorysty i jeśli oni nie zdołają zatrzymać podejrzanego, to on tym bardziej tego nie zrobi. Stał przez chwilę,

obserwując, jak uciekinier zwinnie pokonuje przeszkody i bez wysiłku przeskakuje z dachu na dach. Rafalski pokręcił głową w mimowolnym podziwieniu dla jego sprawności, potem spojrział w głąb ulicy, próbując dociec, dokąd ten zmierza.

Ujrzał olbrzymi gmach Bazyliki Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny.

Dopiero teraz Kamiński zorientował się, że dachy kamienic nagle się skończyły i morderca nie miał dokąd uciec. Stał na okapie budynku, tyłem do niego, i spoglądał w dół. Andrzej przestraszył się, że ten gotów był zaryzykować skok z wysokości drugiego piętra. Szybko wycelował w niego Glocka.

– Stój! – krzyknął. – Bo będę strzelał.

Mężczyzna nawet nie drgnął.

Kamiński podszedł kilka kroków.

– Unieś ręce nad głowę i powoli się odwróć.

Tajemniczy osobnik tylko w części posłuchał rozkazu. Co prawda stanął do Andrzeja przodem, cały czas balansując na skraju dachu, lecz rąk nie podniósł. Rozłożył je tylko w zapraszającym geście.

Kamiński mógł mu się uważnie przyjrzeć. Mężczyzna był wysoki, niemal jego wzrostu. Długie, czarne włosy opadały mu na twarz, więc nie sposób było dojrzeć oblicza. Ubrany był w rodzaj czarnej, długiej sukni, bardziej przypominającej starożytny efod noszony przez hebrajskich kapłanów. Andrzej nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z szaleńcem kultywującym pradawne

tradycje. Zastanawiał się tylko, jak dalece sięga kult i ile osób jest w to zamieszanych? Teraz jednak będzie miał wreszcie jakiś punkt zaczepienia. Aresztuje mordercę, dokona jego przesłuchania i może odkryje, o co w tym wszystkim chodzi?

– Ręce nad głowę! – wrzasnął raz jeszcze, ale i tym razem nie poskutkowało.

Tajemniczy osobnik odgarnął włosy i ukazała się nie-ludzko blada twarz. Wklęsłe, niemal zapadnięte policzki wskazywały na skrajne wychudzenie, ale sprężyste mięśnie widoczne pod tuniką temu zaprzeczały. Czarne oczy płonęły niezdrowym blaskiem, spojrzenie epatowało jakimś archaicznym mrokiem. Przerażony Andrzej cofnął się o krok. Wydawało mu się, że już kiedyś widział tę twarz, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i gdzie to było.

W głowie Kamińskiego pojawiła się myśl, że nie ma do czynienia z ludzką istotą. Nagle przypomniał sobie opowieść Ryszarda Formeli o kananejskim kapłanie boga Baala, który wędruje po świecie od niepamiętnych czasów. Czy stojący przed nim osobnik był nieśmiertelny? Przynajmniej wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z grobu. Według słów marynarza, miał on być strażnikiem. Może ukrywał tajemnicę, która miała wstrząsnąć światem? A może przybył tu, żeby przygotować grunt na przyście swojego boga? Baal zstąpi z nieba i przyniesie ze sobą szalejącą burzę i deszcz, niszcząc wszystko na swojej drodze? Zaraz jednak Andrzej zdał sobie sprawę z absurdalności własnych rozważań.

Tajemniczy mężczyzna jakby czytał w jego myślach, uśmiechnął się, a raczej skrzywił usta w grymasie, od-

słaniając zwierzęce kły. Kamińskiego ogarnął paniczny strach. Zrozumiał, że morderca wcale nie używał specjalnego noża, ale zadawał rany ofiarom zębami. Dotarło do niego, że na pewno nie ma do czynienia z człowiekiem. Nie wiedział, kim jest ta istota, i nie chciał wiedzieć. Jedyne, czego pragnął, to uciec stąd jak najdalej i o wszystkim zapomnieć.

Nagle rozległ się dźwięk policyjnych syren i Andrzej domyślił się, że radiowozy obstawiły wyjazd z ulicy Mariackiej, a funkcjonariusze otoczyli kamienicę. Teraz morderca nie miał już żadnej drogi ucieczki.

Kamiński drgnął, usłyszawszy ciężki tupot obutych stóp. To byli antyterrorysty, którzy wreszcie dotarli, wdrapali się na dach i teraz z wycelowanymi karabinami podchodzili do uciekiniera.

– Nie ruszaj się! – krzyczał ich dowódca, mocnym, władczym głosem. – Kładź się twarzą do ziemi.

Tajemniczy osobnik nie posłuchał, obnażył tylko kły i warknął wściekle niczym zwierzę zagonione w pułapkę.

– Na ziemię! – wrzasnął oficer SPAP i postąpił krok do przodu. Od mordercy dzieliły go zaledwie trzy kroki. – Kładź się, gnoju, bo cię rozwalę!

Ostatnie słowo dobiegło już z rozszarpanego gardła. Wszystko stało się błyskawicznie, tak że oko Andrzeja nie zdążyło zarejestrować, kiedy odziana w czern postać doskoczyła do dowódcy, wbijając mu szponiaste palce w grdykę. Mężczyzna zarzęził, wypuścił z ręki MP-5 i przez chwilę jeszcze kołysał się na nogach, jakby nie mogąc się pogodzić ze śmiercią. Wreszcie zwałił się martwy na pokryty papą dach kamienicy. W tym momencie rozpętało się piekło.

Antyterrorysty otworzyli ogień. Chaotycznie i w panice. Choć byli świetnie wyszkoleni, ręce im drżały. Zdało się, że pociski wystrzeliwane z broni automatycznej nie miały się mordercy, który błyskawicznie dopadł najbliższego policjanta. Chwycił go za kask i szarpnął mocno, odrywając głowę od tułowia. Odrzucił ją daleko, jakby od niechcenia. Poleciała dwa piętra w dół, spadła na zaparkowany radiowóz, odbiła się od maski i poturlała po kocich łbach ulicy Mariackiej.

Rozległ się rozdzierający krzyk, gdy potwór dopadł kolejnego antyterrorystę. Uniósł go w górę i cisnął z dachu niczym szmacianą lalkę. Następnie wyrwał rękę trzymającą karabin. Gdy ten padł na kolana, wrzeszcząc z bólu i trzymając się za krwawiący kikut, dziwne monstrum rzuciło się na pozostałych trzech policjantów. Ci cały czas strzelali, ale kule nie czyniły mu żadnej szkody.

Pierwszego uderzył otwartą dłonią, wbijając kevlarowy kask w czaszkę. W powietrze wytrysnęły kawałki kości i mózgu. Drugi zmarł ze skręconym karkiem, jego głowa została przekręcona o sto osiemdziesiąt stopni. Ostatniemu wyrwał serce, które pulsowało jeszcze przez chwilę w szponiastej dłoni.

Andrzej oglądał ten makabryczny spektakl ze ściśniętym gardłem, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Chciał strzelać, nawet wycelował, ale zaraz opuścił broń, jakby jakaś siła zawładnęła jego umysłem i ciałem. Serce biło mu jak szalone. Widział zmasakrowane trupy policjantów i wiedział, że zaraz przyjdzie kolej na niego.

Zabójca odgarnął włosy, rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu wrogów, ale wszyscy oprócz Kamińskiego leżeli na ziemi martwi lub ciężko ranni. Andrzej zadrzał,

widząc skierowane na siebie spojrzenie czarnych, straszliwych oczu mordercy. Ta przerażająca istota miała coś z drapieżnego ptaka, który przenikliwie obserwował swoje ofiary. Morderca podszedł do niego i stanął z nim twarzą w twarz. Kamiński poczuł odrażający smród rozkładu i śmierci. Zebrało mu się na wymioty, ale zacisnął mocno szczękę. Jeśli miał umrzeć, to chciał odejść z godnością.

Morderca podniósł dłoń i zrogowaciałym szponem delikatnie, niemalże pieśczośliwie, przesunął po policzku Andrzeja. Kamiński mógłby przysiąc, że w potworzych oczach błysnęła tkliwość, zrozumienie, miłość.

– Ty nie – wychrypiał potwór.

Potem błyskawicznie odwrócił się i pobiegł ku skrajowi dachu. Odbił się mocno, przeleciał w powietrzu jakieś dwadzieścia metrów i wylądował na jednej z wież Bazyliki Mariackiej. Teraz był tylko szarą plamą, która zaraz zniknęła wśród rzeźbionych zdobień, krzyży i kul.

Dopiero teraz pod Andrzejem ugięły się nogi. Dopadły go torsje.

Komisarz Rafalski znalazł go klęczącego wśród kałuży krwi i ludzkich szczątków. O nic nie pytał, nie miało to żadnego sensu. Usiadł, opierając się plecami o komin, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, którą dopiero dzisiaj kupił, jakby przeczuwając, że będzie potrzebna. Zapalił. Pierwszy raz od dziesięciu lat.

Dzwony Bazyliki Mariackiej wybiły północ.



ROZDZIAŁ 6

SOBOTA, 17 LIPCA 2010 R.

Siedzieli na komisariacie policji przy ulicy Pivnej, w tym samym, gdzie przed kilkoma dniami zatrzymany został Dariusz Kowalewski. Ten sam młodszy aspirant, który wówczas przesłuchiwał chłopaka, teraz postawił przed Andrzejem Kamińskim i Tomaszem Rafalskim kubki gorącej kawy. Spojrzał spode łba na pobladłych mężczyzn, jakby to oni byli winni całego zamieszania i zakłócenia spokoju na jego zmianie, a następnie wyszedł z pomieszczenia. Nie chciał przebywać w ich milczącym, ponurym towarzystwie. Zresztą i tak miał pełne ręce roboty.

Od północy przez komisariat przewinęło się mnóstwo ludzi, od oficerów śledczych, lokalnych polityków, poprzez służby medyczne, aż po dziennikarzy, którzy już zwietrzyli gorący temat. Wcale im się nie dziwił. Brauwrowa akcja policji w centrum Gdańska, sześć trupów i jeden okaleczony funkcjonariusz to nie lada sensacja. Młodszy aspirant gotów był pójść o zakład i postawić całą swoją pensję, że przez kolejny tydzień w mediach bę-

dzie aż huczeć. Do radia i telewizji zapraszani będą eksperci, rozpoczną się dyskusje o tym, jak mogło do tego dojść, kto jest winien i kto powinien podać się do dymisji. Partie polityczne zaczną wykorzystywać tragedię do własnych celów, dziennikarze się wybiją, a najbardziej na tym ucierpi policja. Ostatecznie to na nich spadnie cała odpowiedzialność. Młodszy aspirant westchnął ciężko i zamknął za sobą drzwi, pozostawiając komisarza policji i oficera ABW samych.

Kamiński ponuro wpatrywał się w okno, za którym widać było monumentalny gmach Bazyliki Mariackiej. Osnuta mrokiem wyróżniała się na tle ciemnogramatowego nieba, czekając świtu. Za chwilę pierwsze promienie słońca musną czerwone cegły budowli, wysmukłe pinakle, dwa potężne dzwony, kamienny wimperg wieńczący szczyty portalu i wedrą się przez witraże, zalewając kościół światłem. Sunąć będą po drewnianych elementach organów wykonanych z sosny, dębu i lipy, po piszczałkach ze stopu cyny oraz ołowiu, a następnie spełzną niżej, delikatnie łechcąc cokół chrzcielniczy z gotlandzkiego piaskowca, płyty nagrobkowe, zdobione tabernakulum, żeby zatrzymać się na ołtarzu głównym. Wówczas w pełni ukaże jego piękno. Oświetli filary, słupki, służki oraz rzeźby przedstawiające figury świętych i ojców Kościoła. Teraz jednak jeszcze panował mrok, czas upiorów, duchów i nocnych mar.

Andrzej wzdrygnął się, przypomniawszy sobie wszystkie książki i filmy o wampirach chłepczących ludzką krew, potworach czających się w ciemności i przerażających mutantach. Czy tajemniczy morderca był którąś z tych istot? Kamiński wiedział jedno. Dzi-

siejszej nocy nie miał do czynienia z człowiekiem. Tylko z kim lub z czym? To pytanie zadawał sobie od przeszło dwóch godzin.

Na miejsce zbrodni zjechała się policja z całego Trójmiasta, przeszukano dokładnie bazylikę oraz okolice Starego Miasta. Nic nie znaleźli. Wyglądało na to, że morderca rozpułnął się w powietrzu. A może cały czas gdzieś tu był, czaił się w zaułkach kamienic i ich obserwował? Andrzeja ponownie przeszedł dreszcz. Sięgnął po herbatę i pił małymi łydkami, nie spuszczać wzroku z Bazyliki Mariackiej.

Tomasz Rafalski też nie był skory do rozmów. Co prawda trudno mu było uwierzyć, że morderca gołymi rękami zabił sześciu dobrze wyszkolonych i uzbrojonych antyterrorystów, ale sam widział zmasakrowane trupy na dachu. Słyszał też, co szeptał okaleczony funkcjonariusz, gdy udzielano mu pierwszej pomocy. Na wpół obłąkany powtarzał, że zaatakowała go bestia, demon, upiór.

Komisarz Rafalski był człowiekiem mocno stąpającym po ziemi, zawsze wyśmiewał się z duchów, kosmitów i wszelkich zjawisk nadprzyrodzonych. Nie dopuszczał myśli, że morderca miał nadnaturalne moce. Może był na prochach, sterydach? Jednak nieludzkiej siły pozwalającej na wyrwanie komuś ręki i głowy oraz skoku na odległość dwudziestu metrów nie sposób było wytłumaczyć używkami.

– Nic tu po mnie – rzekł Andrzej, podnosząc się z krzesła.

– Nie zaczeka pan do końca obławy? – zdziwił się komisarz.

– Już go nie złapiecie.

Tomasz Rafalski spojrział na niego podejrzliwie.

– Skąd ta pewność?

Kamiński nie odpowiedział, skrzywił tylko usta w ironicznym uśmiechu i ruszył w stronę drzwi.

– Proszę chwilę poczekać.

Komisarz wstał, podszedł do Kamińskiego, który zamarł z dłonią na klamce.

– Jedno nie daje mi spokoju – rzekł, uważnie spoglądając na oficera ABW. – Dlaczego morderca pana oszczędził?

Andrzej zbladł. Sam zastanawiał się, dlaczego ta przerażająca istota nie zrobiła mu krzywdy. W pamięci miał również jej tajemnicze słowa: „Ty nie” i usiłował zrozumieć, co one znaczą. Teraz jednak nie chciał tego roztrząsać, a już na pewno nie w obecności Rafalskiego. Jedyne, czego teraz pragnął, to pogrążyć się we śnie i zapomnieć o dzisiejszym koszmarze. Może jutro, gdy wstanie nowy dzień, a blask słońca rozgoni strach, będzie w stanie trzeźwo myśleć i rozwiąże zagadkę?

– Nie wiem – odparł, kręcąc głową. – Może dlatego, że nie strzelałem i morderca nie uznał mnie za zagrożenie? Rannego antyterrorysty też nie dobił.

– Może tak, a może nie – w głosie komisarza brzmiało powątpiewanie.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Rafalski wzruszył ramionami.

– Po prostu głośno myślę. Pan go pierwszy wypatrzył i gonił po dachach kamienic. – Wskazał palcem na Kamińskiego. – Na miejscu mordercy uznałbym właśnie pana za największe zagrożenie.

– Nie jestem psychologiem i trudno mi wydedukować, jak rozumuje morderca. A w szczególności taki morderca. Może miał swoje powody, a może zabrakło mu czasu? Nie obchodzi mnie to. Ważne, że żyję. Zarzuca mi pan, że nie zginąłem tam na górze wraz z innymi?

– Nic takiego nie powiedziałem!

– Ale tak to zabrzmiało – odparł Andrzej zmęczonym głosem. – W razie czego będę w swoim hotelu.

Wyszedł, a komisarz długo jeszcze zastanawiał się nad tym, co mu powiedział, a raczej nad tym, czego mu nie powiedział. Rafalski nie miał żadnej wątpliwości, że Kamiński coś ukrywa i z jakiś powodów nie chce wyjaśnić, co jeszcze wydarzyło się na dachu. Może rzuciłoby to zupełnie inne światło na całą sprawę?



Aleksander Bonc-Chojnarski zdjął okulary i ostrożnie położył je na stole. Następnie sięgnął do szafki biurka i wyciągnął wiśniową nalewkę. Karafka była już niemal pusta, ale starczyło na jeszcze jeden porządny łyk. Profesor nie bawił się w nalewanie do kieliszka. Otarł grzbieniem dłoni usta i spojrzał na rozrzucone zdjęcia. Pokręcił w niedowierzaniu głową.

Bonc-Chojnarski, podobnie jak Einstein, nigdy nie wierzył w osobowego Boga. Nie mógł zaakceptować starotestamentowego tyrańcy, małostkowego i kapryśnego. Boga zazdrosnego, mściwego, który dokonał wielu czystek etnicznych. Żądnego krwi ludobójcy posyłającego na śmierć dzieci, w tym jedno własne. Teraz po przetłumaczeniu tajemniczych tabliczek jeszcze bardziej upew-

nił się w przekonaniu co do jego natury. Profesora jednak najbardziej przerażyło to, że w niego uwierzył.

Poczuł nieprzyjemny dreszcz wędrujący po plecach i chłód w sercu, który pozostanie do końca jego dni. Do tychczas żył w świadomości, że jeśli rzeczywiście istnieją jakieś siły władające tym światem, to pozostaną one dla niego niedostępne do chwili śmierci. Potem zaś będzie mu wszystko jedno. Aleksander Bonc-Chojnarski od zawsze był hedonistą i nie przejmował się tym, co czeka go po drugiej stronie. Niemniej jednak to, czego się dowiedział, rzuciło zupełnie inne światło na całe jego życie. Podświadomie czuł, że odkrył prawdę, którą teraz musiał zaakceptować.

Nagle przypomniał sobie o oficerze ABW, który dostarczył mu zdjęcia. Otworzył szufladę biurka i drżącymi rękoma zaczął ją pospiesznie przeszukiwać. Wreszcie wydobyl z głębi pomietą wizytówkę i położył na biurku. Z kieszeni marynarki wyciągnął telefon komórkowy i już chciał wybrać numer Andrzeja Kamińskiego, gdy spojrzal na wyświetlacz. Dochodziła druga w nocy. Nie przypuszczał, że jest już tak późno.

Profesor schował z powrotem telefon, obiecując sobie, że zadzwoni z samego rana. Nie wątpił, że oficer umówi się z nim na rozmowę, gdy tylko usłyszy, co znajduje się w kananejskim tekście. Nie wątpił również, że ma do czynienia z zagrożeniem bezpieczeństwa państwa. A to już była sprawa ABW.

Aleksander Bonc-Chojnarski zamknął zeszyt, pozbiarał rozrzucone zdjęcia i wszystko schował do brązowej skórzanej teczki, pamiętającej jeszcze czasy PRL-u. Ciężko podniósł się z krzesła. Postanowił wziąć tak-

sówkę, pojechać do domu i chociaż trochę się przespać. W jego wieku siedzenie do późna w nocy nie było wskazane. Zamknął za sobą drzwi gabinetu i ruszył pogrążonym w mroku korytarzem. Nie zapalał światła. Blask ulicznych latarni wpadający przez okna był na tyle intensywny, że profesor pomimo znacznej wady wzroku doskonale wszystko widział. Z wielką wprawą omijał wystawione eksponaty, dzbany, gabloty. Nie pierwszy raz opuszczał w nocy gmach muzeum, lecz po raz pierwszy odczuwał tak wielki niepokój.

Na schodach nagle zatrzymał się, gdy usłyszał szelest, jakby ktoś się skradał. Ze strachu serce zaczęło mu mocniej bić. Czyżby przyszli po niego ci, o których właśnie przeczytał?

Aleksander Bonc-Chojnarski nadstawił uszu. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić na policję. Ale co miałby zgłosić? Dziwne odgłosy w muzeum znajdującym się w starej kamienicy, gdzie pewno myszy harcują? A może opowie o straszliwych istotach z zamierzchłych czasów, które wydawały się żyć tylko w mitach i legendach, a okazały się realne?

Profesor zrezygnował z tego pomysłu, cofnął się na szczyt schodów, gotów w każdej chwili ukryć się na powrót w swoim gabinecie, zatrzasnąć drzwi i przecze-kać w nim do rana. Pierwsze promienie słońca rozgonią mrok, a jednocześnie wypędzą irracjonalny strach z jego serca.

Minęła minuta, dwie, niespokojnego nasłuchiwania, ale dziwny odgłos nie powtórzył się. Może to rzeczywiście były myszy lub gwałtowniejszy powiew wiatru? – pomyślał mężczyzna. Zdecydowany stawić czoło niebez-

pieczeństwu, czy to realnemu, czy wyimaginowanemu, ruszył do wyjścia. Pędził po schodach jak opętany, chcąc jak najszybciej wydostać się z budynku i znaleźć się na jasno oświetlonej ulicy.

Nie wiedząc kiedy, znalazł się na parterze i już widział przed sobą ciężkie drewniane drzwi. Nagle zatrzymał się przerażony. W holu stała jakaś postać. Zdawała się górować nad nim przynajmniej o głowę, ale to nic dziwnego, bo profesor do najwyższych nie należał. Z gardła archeologa dobył się piskliwy, paniczny kwik. Zaczął tyłem wycofywać się, ale zaraz nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na zimną, marmurową podłogę. Po policzkach popłynęły łzy.

Aleksander Bonc-Chojnarski nie chciał jeszcze umierać. Wierzył, że czeka go jeszcze piętnaście, może dwadzieścia lat życia. Przecież przez ten czas tak wiele mógł dokonać. Pragnął stworzyć w muzeum pawilon edukacyjno-wystawienniczy, napisać wreszcie książkę o wykopaliskach archeologicznych w Sudanie, w których uczestniczył przed laty, i czekał na niego nieskończony projekt odbudowy trzynastowiecznej piwnicy romańskiej przy placu Dominikańskim. Za późno. Stojący w holu stwór zaraz pozbawi go życia.

Profesor zacisnął mocno powieki i zasłonił głowę rękoma. Drżącymi ustami zaczął błagać o litość. Nie wierzył jednak, że to pomoże. Miał do czynienia z istotą pozbawioną duszy i sumienia, z bezwzględnym mordercą, posłusznym tylko rozkazom swojego pana.

Aleksander Bonc-Chojnarski, łkając, kuląc się ze strachu, oczekiwał śmierci. Ale ona nie nadchodziła. Nie było potwornych uderzeń rozłupujących czaszkę, ciosów

strasznymi szponami ani kłów przegryzających gardło. Mężczyzna odważył się unieść lekko powieki. Tajemniczy osobnik cały czas stał nieruchomo. Ośmielony pozwoli podnieść się z podłogi i postąpił krok naprzód. Przystanął, oczekując reakcji tamtego. Nic. Postąpił następny krok i jeszcze jeden. Nic. Istota stojąca w mroku zdawała się w ogóle nie dostrzegać zbliżającego się człowieka. Profesor podszedł na tyle blisko, że był w stanie wyciągnąć rękę i dotknąć nocnego intruza. Zrobił to i zaraz wybuchnął śmiechem obłąkańczym, a jednocześnie pełnym ulgi. Śmiał się z własnej głupoty. Miał przed sobą woskową figurę egipskiego wojownika, którą dopiero wczoraj wieczorem przywieziono i pozostawiono w holu. W poniedziałek mieli zdecydować, gdzie ją umieścić.

Profesor protekcyjnie poklepał wojownika po ramieniu, poprawił mu tunikę i lekko odchylił trzymaną w rękę włócznię. Następnie opuścił budynek.

Andrzej Kamiński opłukał twarz wodą i nie zakręcając kranu, spojrzął w lustro zawieszone nad umywalką. Ujrzał zmęczone oblicze, zachmurzone czoło, kilka nowych zmarszczek pod oczami. Przeciągnął dłonią po czarnych włosach i odkrył siwe pasemka tuż przy skroniach. Wydarzenia dzisiejszej nocy odcisnęły na nim swoje piętno.

Przez dobrą chwilę przyglądał się swojemu odbiciu, nie zwracając uwagi na lejącą się z kranu wodę. Był przerażony. Mógł mierzyć się z ludźmi z krwi i kości, z najgroźniejszymi przestępcami, gotów był rzucić wyzwanie

nawet mafii, ale nie znał sposobu na pokonanie demona. To przekraczało jego możliwości.

Postanowił jutro z samego rana wracać do Warszawy i spróbować zapomnieć o całej sprawie. Wymazać z pamięci nocne spotkanie z potworem, który nie powinien istnieć. Kto wie, może za jakiś czas demon będzie tylko mglistym wspomnieniem, sennym koszmarem? Człowiek posiada zdolność do spychania rzeczy przerażających, irracjonalnych głęboko w zakamarki swojego umysłu i zacierania po nich wszelkich śladów. Już teraz Andrzej łapał się na tym, że odsuwa od siebie wydarzenia dzisiejszej nocy. Czy naprawdę widział to, co widział? Trupy antyterrorystów nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Zakręcił wodę, wytarł twarz ręcznikiem i wyszedł z łazienki. Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Spojrzał zdziwiony na zegarek. Dochodziła trzecia. Kto to mógł być o tej godzinie? Przez chwilę zastanawiał się, czy odpowiedzieć. Nie chciał przyjmować gości, był za bardzo zmęczony. Mógł to być ktoś z policji lub komisarz Rafalski, żeby zadać mu jeszcze kilka pytań. Nie miał ochoty już na żadne odpowiadać. Westchnął ciężko, otworzył drzwi i wbił zdumione spojrzenie w swojego gościa.

W progu stała Marta ubrana w czerwoną wieczorową suknię ściśle przylegającą do ciała, z rozcięciem na lewej nodze. Głęboki dekolt zachęcał do zanurkowania wzrokiem ku kształtnym piersiom, a buty na wysokim obcasie oraz złota biżuteria dodawały kobiecie szyku. Wydawała się być boginią, która zstąpiła z nieba i stanęła u drzwi Andrzeja Kamińskiego.

Marta odgarnęła kosmyk platynowych włosów opadających na policzek i uśmiechnęła się kącikami ust.

– Będziemy tak stali cały wieczór? – spytała, a w jej głosie brzmiała obietnica rozkoszy. – Mogę wejść?

Kamiński bezwiednie odsunął się i zaprosił ją do środka.

Kobieta przez chwilę rozglądała się po pomieszczeniu, taksując wzrokiem mało gustowny wystrój robiony pod niemieckich turystów, a następnie bez skrępowania wygodnie rozsiadła się na łóżku, zakładając nogę na nogę, tak że Andrzej w rozcięciu sukni dostrzegł koronkowe zakończenie cielistej pończochy. Przechyliła głowę na bok, trochę drapieźnie, trochę zalotnie i utkwiała wzrok w mężczyźnie. Kamiński poczuł się nieswojo, spoglądając w czarne, nieprzeniknione oczy Marty, które zdawały się prześwieślać go na wylot.

– Co cię sprowadza?

Pytanie miało zostać zadane lekkim, uwodzicielskim tonem, znamionującym pewnego siebie mężczyznę, który nieraz miał do czynienia z pięknymi kobietami, odwiedzającymi go w nocy w pokoju hotelowym. Chciał zabrzmieć jak Sean Connery, grający Jamesa Bonda, jak Roger Moore, odtwarzający rolę Świętego, ale wyszło mu to żałośnie. Wydawał się bardziej przestraszony wizytą Marty niż podekscytowany.

– Nie domyślasz się? – odparła pytaniem na pytanie.

W normalnych okolicznościach Andrzej nie miałby żadnych wątpliwości co do celu jej wizyty. Ale okoliczności normalne nie były. Kamiński prowadził skomplikowane śledztwo, w które zamieszana była sołncewska mafia, a Marta była z nią związana. Może pełniła jakąś

funkcję w organizacji, a może tylko była kochanką Tichonowa? To jednak nie miało żadnego znaczenia. Podczas ewentualnego procesu sąd dokładnie prześwietli relacje śledczego z osobami uwikłanymi w sprawę. Jeśli wykryją, że miał romans z dziewczyną mafijnego szefa, może wylecieć ze służby.

Ponadto ledwie przed kilkoma godzinami spotkał istotę, która nie powinna istnieć. Tutaj już nie chodziło o przemyt przedmiotów kultu, sektę religijną czy też porachunki gangsterskie. Miał do czynienia z czymś, co wykraczało poza jego pojmowanie, a już na pewno poza zakres obowiązków oficera ABW. To nie nastrajało do spędzenia romantycznej nocy.

W normalnych okolicznościach Andrzej w ogóle by się nie zastanawiał, wziąłby Martę w ramiona, obsypał pocałunkami, zdarł z niej suknię i posiadał na łóżku, podłodze, nocnej szafce – gdziekolwiek. Teraz jednak przyglądał jej się podejrzliwie.

– Dzisiaj Oleg Tichonow spotka się z przedstawicielami camorry w pałacyku w Leźnie – rzekła, przestając się kokieteryjnie uśmiechać.

– Przyjechałaś tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

Kobieta uniosła lekko brew.

– Przecież chciałeś być o wszystkim informowany.

– Przysłał cię Tichonow?

Marta nie odpowiedziała. Podniosła się z łóżka i poszła do niego wolnym, pełnym gracji krokiem, kołysząc biodrami. Andrzej poczuł jej zapach. Oszałamiający. Pachniała jaśminem, migdałami i pustynnym wiatrem. Oparła dłoń na jego piersi, a on zrozumiał, że jedyną

rzeczą, jakiej teraz pragnie, jest tylko ona. Zapomniał o śledztwie i dzisiejszej masakrze. Nic się w tej chwili nie liczyło. Tylko ona.

Pochylił się, delikatnie muskając wargami jej perłowe usta, lecz Marta nie oddała pocałunku. Wbiła w niego ironiczne spojrzenie.

– Zależy ci na rozwiązaniu tej sprawy?

– Co? – Andrzej wrócił do rzeczywistości.

Zmarszczył czoło. Z jednej strony bał się tego, co może odkryć, dalej prowadząc śledztwo, oraz ponownego spotkania z tajemniczą istotą, która tym razem mogła go nie oszczędzić. Z drugiej jednak strony ciekawość brała nad nim górę i chciał rozwiązać intrygującą zagadkę.

– Miałem zamiar jutro wracać do Warszawy – odparł. – Chyba że Tichonow ma coś dla mnie.

– Nie przysłała mnie Tichonow.

Kamiński spojrzał na nią zdumiony.

– Dla kogo pracujesz?

– W tej chwili to nie ma żadnego znaczenia.

– Dla mnie ma – rzekł Andrzej. – Policja, wywiad wojskowy, camorra?

Marta wybuchła śmiechem, donośnym i wdzięcznym.

– Władza, wpływy, pieniądze. – Kobieta przestała się śmiać, a na jej ustach pojawił się grymas pogardy. – Czy one mają jakiegokolwiek znaczenie? Życie ludzkie jest ulotne, przemija szybko i bezpowrotnie. Czy jest się królem czy żebrakiem, biznesmenem czy bezrobotnym i tak po każdym upomni się śmierć. Największe nawet imperium obróci się wniwecz, najwyższe gmachy popadną w ruinę, a bogactwa przeminą. Więc powiedz mi, dlaczego mia-

łabym pracować dla rządu lub mafii, organizacji dbającej o dobra tak ulotne, jak dmuchawce na wietrze?

Andrzej, chociaż słuchał chropowatego, lecz kojącego głosu Marty, to tak naprawdę nie docierał do niego sens wypowiedzianych przez nią słów. Przestało go obchodzić, dlaczego tu jest i dla kogo pracuje. Delektował się obecnością pięknej kobiety i jedyne, o czym teraz marzył, to pieścić jej ciało, smakować, dotykać, wielbić.

Dłużej już nie mógł wytrzymać. Gwałtownie objął ją w pół i przyciągnął do siebie. Nachylił się, żeby ją pocałować, lecz Marta z zadziwiającą siłą przytrzymała mu głowę i spojrzała głęboko w oczy. Andrzej ujrzał jej czarne tęczy, tajemnicze, dziwne, zdające się bramami piekła. Zanurzył się w nich, zapominając o całym świecie, pozwolił odpłynąć swojej świadomości i teraz była w nim tylko namiętność.

Kobieta oddała pocałunek, mocno wbijając się w jego usta. Ich języki wiły się, zmysły szalały, a podniecenie niemalże rozsadzało ich ciała. Niecierpliwymi palcami zaczęły ściągać z siebie ubrania. Na podłodze znalazła się koszula Andrzeja, czerwona suknia Marty, która teraz została w czarnych majtkach z koronką, pończochach i butach na wysokim obcasie. Osunęła się na kolana i rozpięła mu rozporek. Językiem dotknęła jego penisa, najpierw delikatnie muskając, potem liżąc, aż wreszcie opasała go ustami. Patrząc cały czas w oczy mężczyzny, zaczęła miarowo poruszać głową. Co jakiś czas przerywała, żeby popieścić językiem, dłonią, wargami.

Z gardła Andrzeja dobył się głęboki okrzyk, znalazł się na skraju szaleństwa, obłędu. Odchylił głowę i wplół dłonie w platynowe włosy Marty. Chociaż nie pierwszy

raz kobieta w ten sposób dostarczała mu przyjemności, to nigdy wcześniej nie zaznał takiej rozkoszy. Wydawało mu się, że każda cząstka jego ciała drży w podnieceniu, neurony w mózgu eksplodują w nieustannej ekstazie, a zmysły oszalały. Pragnął, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Marta przedłużała jego rozkosz jak tylko mogła, instynktownie wyczuwała, kiedy dochodzi i zmniejszała intensywność pieszczot, żeby za chwilę wzmóc je ponownie. Przez cały czas nie odrywała od mężczyzny wzroku, obserwowała jego reakcje, a w jej czarnych oczach trudno było dostrzec jakiegokolwiek emocje.

Nagle Andrzej zapragnął w niej być. Podciągnął ją w górę, a następnie bez pardonu pchnął na łóżko. Wydała z siebie zaskoczony okrzyk, ale upadła miękko, na plecy. Kamiński nie czekał. Wdarł się w nią niczym do sanktuarium, w największą świętość, jaka istniała, istnieje i istnieć będzie. W środku była wilgotna i przyjęła go z ochotą. Zarzuciła mu nogi na biodra i zaczęła nadawać tempo. Pomieszczenie wypełniło się ich przyspieszonymi oddechami, urywanymi okrzykami i ciężkimi westchnieniami.

Nagle kobieta wzmogła tempo i po chwili było po wszystkim. Andrzej zadrżał, wyprężył się jak struna, a z jego gardła dobył się przeciągły jęk. Rozkosz rozlała się po całym jego ciele i świecie, bo w tej chwili nie sposób było tego oddzielić. Przywarł do niej i trwał tak, zdawało się, przez wieki. Wiedział, że już nic nie będzie takie jak dawniej, to, czego przed chwilą doświadczył, zostanie w nim na zawsze.

Spojrzał na Martę, szukając w jej oczach spełnienia, ale jak zawsze nic nie mógł z nich odczytać. Kobieta wy-

dawała się nieobecna, nie wiedział tylko, czy to stan błogości czy znudzenia? Pragnął dać jej rozkosz, żeby czuła, drżała, umierała w zachwycie. Powoli zaczął ją całować, muskać wargami jej policzki, płatki uszu, łabędzią szyję. Dłońmi masował kształtne piersi, delikatnie wodząc palcami po brodawkach. Schodził ustami coraz niżej i niżej ku miejscu wypełnionym wilgocią. Zanurzył się całkowicie w jej zapachu, smaku, jestestwie. Językiem delikatnie pobudził punkt największej ekstazy, dając kobiecie rozkosz najlepiej jak potrafił. Aż do spełnienia.

Zasnęli kilka godzin później.

Andrzej ponownie śnił o piaskach pustyni i gorącym wietrze szarpiącym czarne szaty, które miał na sobie. Wraz z towarzyszem podróży dotarli do bram miasta widzianego w poprzednim śnie. Nadchodził mrok. Niebo zdążyło już przybrać barwę granatu, pojawiły się pierwsze gwiazdy, nad horyzontem zawisł szkarłatny sierp księżyca, a okolicę wypełniało cykanie świerszczy.

Do podróżnych podszedł jakiś mężczyzna i cały czas się kłaniając, tłumaczył coś w gardłowej mowie, której Andrzej nie rozumiał. Za to rozumiał ją jego kompan. Najpierw kilkakrotnie przecząco pokręcił głową, ale ciągnięty przez mężczyznę za szaty, dał się w końcu ubłagać i ruszyli za nim.

Przemierzając kręte, wąskie uliczki miasta, podziwiali jego bogactwo: ogromne domy, wielkością dorównujące spichlerzom, ozdobne pałace, potężne świątynie, wysokie gmachy bibliotek i sięgające nieba zikkuraty. Zdobio-

ne lazurem i złotem fasady skrzyły się w świetle pochodni. Mijali roztańczonych ludzi, ubranych w sute tkaniny, obwieszonych kosztownościami i trzymających w rękach puchary z winem. Musiało się im dobrze powodzić.

Andrzej poczuł wściekłość. Ogarnęła go straszna furia i gotów był rzucić się na rozradowanych ludzi, wepchnąć im do gardła złote puchary, kosztowności, podpalić ich misternie tkane szaty. Niechaj płoną, niechaj ogień strawi niegodne życie, oczyści z grzechów mieszkańców miasta, wypali plugastwo zakorzenione w ich sercach i duszach. I chociaż Kamiński zdawał sobie sprawę z tego, że śni, mocno zacisnął pięści.

Po długim marszu, podczas którego gniew w Andrzeju coraz bardziej narastał, dotarli wreszcie do skromnego, niczym niewyróżniającego się domu. Mężczyzna zaprosił ich do środka i wyprawił ucztę. Zajadając prząsny chleb i popijając czystą, źródlaną wodę, Kamiński uśmiechał się życzliwie do trzech kobiet usługujących do wieczery. Jedna z nich, zapewne żona gospodarza, miała już swoje lata, na twarzy głębokie zmarszczki, lecz z ciekawością przyglądała się gościom. Pozostałe dwie były tak naprawdę jeszcze dziewczynkami o pięknych, delikatnych rysach.

Po skończonej wieczery, gdy kładli się już spać, rozległ się nagły łomot do drzwi. Na zewnątrz stał rozwścieczony tłum mężczyzn wygrażających pięściami. Nie trzeba było rozumieć ich języka, żeby domyślić się, że motłoch żąda wydania gości. Zapewne nie lubili tutaj obcych.

Gospodarz próbował uspokajać ludzi, składał dłonie w błagalnych gestach, załamywał ręce, nawet groził. Nic nie pomagało, tłum napierał, chcąc dostać się do środka

i siłą wyciągnąć na zewnątrz Andrzeja oraz jego towarzysza. W przypływie desperacji, człowiek, który przyjął ich pod swój dach, przywołał do siebie córki i pchnął lekko w stronę zebranych mężczyzn. Gospodarz gotów był oddać je na pohańbienie, żeby tylko zostawiono w spokoju tych, którzy znaleźli schronienie w jego domu. Prawo gościnności nakazywało mu chronić wędrowców za wszelką cenę.

Ale i to nie dało pożądanых efektów. Motłoch pochwycił gospodarza i zaczął się nad nim pastwić. Rozwścieczeni mężczyźni bili go po głowie drewnianymi pałkami, a gdy padł na ziemię, zaczęli go kopać.

Andrzej nie zdzierzył. Poczul w sobie gniew, który zawładnął całym jego ciałem, zmysłami, duszą. Wstąpiła w niego jakaś potężna moc i zrozumiał, że w tej chwili dysponuje niewyobrażalną potęgą. Dосkoczył do progu, kilku oprawcom wymierzył ciosy tak silne, że od razu padli martwi, i wciągnął gospodarza z powrotem do domu. Zaryglował podwoje. Niestety, nie zniechęciło to rozjuszonego tłumu. Napastnicy cały czas napierali, usiłując wyważyć drzwi.

Wówczas towarzysz Andrzeja przymknął oczy, uniósł w górę ręce i zaczął intonację. Kamiński bezwiednie poszedł w jego ślady. Poczul energię przepływającą mu przez ręce, palce i pozwolił jej wypłynąć, wraz ze swoim gniewem, wściekłością, nienawiścią. Jednocześnie wypowiedzieli zaklęcie, które uderzyło w tłoczący się na zewnątrz tłum. Za drzwiami dały się słyszeć rozpaczliwe wrzaski, jęki i zawodzenia.

W jednej chwili Andrzeja opuścił gniew, a wraz z nim potężna moc. Podeszedł do okna i ostrożnie wyj-

rzał na zewnątrz. Ujrzał płaczących ludzi, którzy złorzeczając, błędzili na osłep i na siebie wpadali. Musieli zostać porażeni ślepotą w wyniku użytych czarów. Kamiński nie wiedział, skąd wzięła się w nim taka moc, ale miał świadomość, że to sen, a w nim wszystko jest możliwe.

Tymczasem towarzysz Andrzeja gorączkowo tłumaczył coś gospodarzowi, a ten mu potakiwał. Potem narpędce spakował do podróźnych sakw niezbędne rzeczy oraz żywność, przywołał do siebie żonę wraz z córkami i wówczas wszyscy opuścili domostwo. Kiedy dotarli za miasto, człowiek, który przyjął ich pod swój dach, skłonił im się nisko, wypowiadając podziękowania. Tak przynajmniej wydawało się Andrzejowi. Potem mężczyzna spojrział na nich po raz ostatni i wyszeptał:

– *Akar, Akar, Akar.*

Kamiński drgnął, słysząc po raz drugi te słowa. Pochwycił, że koniecznie musi sprawdzić, co oznaczają. Miał nadzieję, że będzie o tym pamiętać po przebudzeniu.

Teraz jednak wraz z towarzyszem obserwował, jak mężczyzna i jego rodzina znikają na pustynnym trakcie w blasku wschodzącego słońca. Nadchodził nowy dzień.

Nagle Andrzej poczuł, jak moc ponownie go wypełnia. Dzika, nieokiełznana siła zawładnęła jego ciałem i myślami. Obaj podróźnicy unieśli ręce i ponownie wyszeptali inwokację. Naraz niebo rozdarło się, błysnęły pioruny i potężny grzmot przetoczył się przez okolicę. Wstrząsnęło światem. Na stojące w oddali miasto spadła nawałnica siarki i ognia. Okazałe domy, strzeliste pałace i piękne świątynie w jednej chwili obróciły się w kupę

dymiącego gruzu. Mieszkańcy umierali w cierpieniu, trawieni przez ogień, gorącą lawę, duszeni przez dym.

Kamiński, wiedząc, że jest sprawcą tej Apokalipsy, nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Co więcej, rozpie-rała go radość i poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Nastąpiła cisza. Wiatr przegonił ciemne chmury i ponownie wyszło słońce. Z miasta zostały tylko ruiny i oprócz rodziny człowieka, który dochował prawa gościnności, nie przeżył żaden mieszkaniec.

Przerażony snem Andrzej obudził się raptownie. Obok spała przytulona do niego Marta. To go uspokoi-ło. Odgarnął kosmyk jej włosów i zaczął przyglądać się twarzy, pięknie rzeźbionym rysom, perłowym, kształtnym ustom. Zmrużył oczy, po raz kolejny zastanawiając się, gdzie już ją widział?

Sięgnął do nocnej szafki po zegarek. Dawno minęła dziesiąta. Kamiński westchnął z żalem. Przespał hote-lowie śniadanie.



Oleg Tichonow siedział przy swoim biurku w gabinecie klubu „Nikita”, pił kawę i przeglądał poranną prasę. I chociaż na jego twarzy nie sposób było dostrzec oznak napięcia, to rezydent sołncewskiej mafii był mocno wzburzony. Objawiało się to zaledwie delikatnym marszczeniem czoła i gwałtowniejszym niż zwykle przewracaniem stron gazety.

Za kilka godzin miał spotkać się z przedstawicielami neapolitańskiej mafii i od tego spotkania zależeć

będą losy zarówno camorry, jak i Sołncewa w Polsce. Tichonow zdawał sobie sprawę, że w razie niepowodzenia mógł nawet pożegnać się z życiem, bowiem decydenci w Moskwie nie wybaczą błędów.

Jednakże nie to było powodem jego zmartwienia. Wściekły był na Martę, gdyż nie wróciła na noc. Co prawda kobieta żyła swoim życiem, mogła robić, na co miała ochotę, i wiedział, że chodziła do łóżka z innymi mężczyznami, ale tym razem Rosjanin odczuwał zazdrość. Nie przeszkadzało mu, dopóki ci ludzie pozostawali anonimowi, ale teraz było inaczej.

Tichonow był człowiekiem byстрыm, inteligentnym i obdarzonym niezwykłą intuicją, więc szybko odgadł, że Marta spędziła noc z Andrzejem Kamińskim. Podczas niedawnego spotkania w tym właśnie gabinecie oficer wodził za nią wzrokiem, a Marta, zazwyczaj znudzona i obojętna, tym razem wyraźnie była mężczyzną zainteresowana.

Rosjanin zwinął gazetę i rzucił ją niedbale na biurko. Podniósł się z fotela, podszedł do okna i spojrzął na szumiące w oddali morze. Ten widok zawsze go uspokajał. Fale, mewy krążące nad taflą wody i letnie, błękitne niebo. Słońce, mimo wczesnej pory, już prażyło niemiosernie. Niedługo upał stanie się nie do wytrzymania.

Oleg Tichonow zastanawiał się, dlaczego fakt, że Marta zbliżyła się do Kamińskiego, tak go poruszył? Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był zazdrosny o kobietę. Wydawało mu się, że szczeniackie emocje ma już dawno za sobą. Nigdy nie traktował Marty przedmiotowo, więc nie była to kwestia własności i tym dziwniejsze wydawały mu się własne odczucia. A może był to

atawistyczny strach przed utratą terytorium? Przecież Andrzej Kamiński pracował dla ABW, organizacji próbującej zniszczyć struktury, które Tichonow tak pieczołowicie budował.

Rosjanin uśmiechnął się krzywo. Postanowił, że nie może tego tak zostawić. Przez całe życie dostawał zawsze to, czego pragnął, i przyzwyczaił się, że jego wola jest najważniejsza. Teraz życzył sobie, żeby Marta była tutaj, u jego boku, i więcej nie spotykała się z tamtym mężczyzną.

Sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer Maksa.

– Pojedziesz do hotelu „Hanza” i zaraz przywieziesz tutaj Martę. – Zamilkł na chwilę, bo słowa, które miał wypowiedzieć, nie chciały przejść przez gardło. – Znajdziesz ją w pokoju Andrzeja Kamińskiego.

Wyłączył się, zanim Burzyński zdążył cokolwiek powiedzieć. Rezydent sołncewskiej mafii nie wątpił, że jego człowiek zaraz pojedzie wykonać zadanie. W ciągu godziny kobieta będzie w „Nikicie”.

Zadowolony z siebie Oleg Tichonow mógł teraz spokojnie przygotować się do czekającego go spotkania z przedstawicielami camorry.

Maksymilian Burzyński był cholernie zły na swojego szefa. Nie mógł mu tego powiedzieć wprost, bo podpaść Tichonowowi oznaczało dostać kulkę w łeb. Tak więc zazwyczaj opanowany i powściągliwy Maks teraz cały kipiał z wściekłości. Zatrąbił na jadącego przed nim kierowcę tico, który gwałtownie zmienił pas ruchu, zajęz-

dżając drogę jego BMW. Nigdy wcześniej nie używał klaksonu i jako użytkownik dróg publicznych wykazywał się zawsze dużą tolerancją. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj wszystko wyprowadzało go z równowagi.

A zaczęło się o drugiej w nocy, od telefonu informatora z policji. Obudzony Maks wysłuchał relacji o obławie na seryjnego mordercę, która skończyła się masakrą antyterrorystów na dachu jednej z gdańskich kamienic. Ponoć napastnik gołymi rękoma zabił sześciu ludzi, a jednego okaleczył. Wyglądało to na robotę zawodowca. O ile oczywiście informator nie koloryzował, żeby wyciągnąć dodatkową kasę. Niemniej jednak Burzyński postanowił to sprawdzić i pół nocy spędził na Starym Mieście.

Informator nie kłamał. Ulica Mariacka została zamknięta, a policji było więcej niż na derbach piłkarskich. Maks nie mógł się zbliżyć do miejsca zbrodni, ale udało mu się skontaktować z zaprzyjaźnionym lekarzem, który tam był. Spotkali się, gdy ten skończył dyżur o szóstej nad ranem i opowiedział Burzyńskiemu o zmasakrowanych ciałach antyterrorystów. Wyglądało to tak, jakby dopadło ich jakieś dzikie zwierzę, a nie człowiek. Lekarz twierdził, że w swojej karierze jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział.

Maks zastanawiał się, czy ta masakra miała coś wspólnego ze sprawą wykradzonego kontenera i przyjazdem do Gdańska przedstawicieli mafii neapolitańskiej? Nie wątpił, że Tichonow będzie chciał dokładnie wiedzieć, co się dzieje na jego terenie. Na razie jednak nie było żadnych konkretów i trzeba było poczekać na wyniki policyjnego śledztwa.

Zmartwiony tymi wiadomościami Maks wrócił do willi na Osowej dopiero przed ósmą. Postanowił prześpać się kilka godzin przed spotkaniem z camorrą. Musiał zregenerować siły, być wypoczętym, żeby w razie czego odpowiednio szybko reagować. Nie wiedział, co może się zdarzyć w Leźnie, ale wolał być przygotowany na najgorsze. Najchętniej rozwaliliby makaroniarzy już teraz, ale przecież Tichonow chciał się z nimi dogadać. Według Burzyńskiego to był błąd. W świecie przestępczym liczyła się tylko bezwzględna siła, a gangsterzy respektowali jedynie prawo pięści. Jego szef był jednak innego zdania, co Maksa również złościło.

Jednakże najbardziej wściekało go, że musiał dzisiaj robić za sutenera. Tichonow powinien lepiej pilnować swojej dziwki.

Skręcił w boczną uliczkę prowadzącą do hotelu „Hanza”. Jadąc, myślał o tym oficerze ABW, z którym była Marta. Nie podobał mu się ten facet. Już podczas pierwszego spotkania w klubie „Nikita” chciał mu porachować kości. Wówczas szef na to nie pozwolił. Miał nadzieję, że teraz będzie ku temu okazja.

Uśmiechnął się złośliwie. Dostrzegł wolne miejsce i zaparkował samochód.

Uprawiali seks jeszcze dwa razy. Za pierwszym razem gwałtownie, szybko, zachłannie, cały czas nienasyceni sobą. Za drugim razem już spokojnie, bez pośpiechu. Marta była na górze, wolno kołysała biodrami, przedłużając tym samym rozkosz Andrzeja. Gdy skończyli,

długo jeszcze leżeli w łóżku, smakując wrażenia, kolekcjonując odczucia i obdarzając się pieśzcotami. Wstali dopiero około godziny jedenastej.

Kobieta była w łazience, gdy zadzwonił telefon Kamińskiego. Andrzej spojrział na wyświetlacz, żeby sprawdzić, kto dobija się w sobotni rano, ale numer był zastrzeżony. Zmarszczył czoło, poważnie zastanawiając się, czy odebrać. Telefon na pewno miał związek ze śledztwem, jakie prowadził, a o którym niemal zapomniał w ramionach Marty. Przyblakło również wspomnienie spotkanego tej nocy mordercy. Potwora zabijającego z dziecinną łatwością, który z jakichś powodów go oszczędził.

Instykt podpowiadał Andrzejowi, żeby trzymał się od tej sprawy z daleka, ale z drugiej strony zżerała go ciekawość. Podniósł klapkę telefonu.

– Kamiński, słucham?

– Z tej strony Aleksander Bonc-Chojnarski...

– Witam, profesorze. – Andrzej w pierwszej chwili ucieszył się, że archeolog w końcu się odezwał, ale po chwili jego radość przerodziła się w niepokój. – Jeśli dzwoni pan w sprawie tabliczek...

– W końcu udało mi się je rozszyfrować – przerwał podekscytowany profesor. – To wstrząśnie fundamentami religii, podważy dogmaty wiary i dokona rewolucji w postrzeganiu historii! Co ja mówię? W postrzeganiu całego świata! Nasza cywilizacja została zbudowana na błędnych podstawach. Już nic nie będzie takie jak kiedyś, musimy zmienić nasz sposób widzenia...

– Co konkretnie pan odkrył na tabliczkach? – Tym razem Kamiński przerwał ten bełkot.

– To nie jest rozmowa na telefon – wyszeptał konspiracyjnie. – Ale wiem już, kto jest właścicielem tych przedmiotów. Proszę przyjść do mnie do muzeum, tam wszystko panu opowiem.

– Dobrze. – Spojrzał na zegarek. – Będę około dwunastej.

– W takim razie czekam.

Andrzej odłożył telefon na stół, podszedł do okna i spojrzał na Motławę. Obserwując szybujące nad rzeką rybitwy, zastanawiał się, czy dobrze robi? Może powinien natychmiast wsiąść w samochód i wracać do Warszawy, zostawiając daleko za sobą Trójmiasto, całe to dziwne śledztwo, tajemnicze tabliczki, a także mafijne porachunki?

– Kto dzwonił? – zapytała Marta, wychodząc z łazienki.

Usiadła na łóżku całkiem naga i zaczęła wycierać się ręcznikiem. Andrzej przesunął wzrokiem po jej długich nogach, idealnej talii, zatrzymał się dłużej na przystrzyżonych włosach łonowych, pod którymi znajdowało się miejsce, które dostarczyło mu mnóstwo rozkoszy, zachwyił się oliwkową, jędrną skórą na brzuchu, kształtnymi piersiami i urodziwą twarzą. Wszystko wydawało się być w niej idealne, doskonałe, każdy gest i ruch. Andrzej nagle zdał sobie sprawę, że to coś więcej niż zwykłe pożądanie.

– Nikt ważny – odparł szorstko, zły na siebie, swoje emocje, na uczucie, które w nim się narodziło. Nie chciał się zakochać, nie w takiej kobiecie. Nie różniła się niczym od zwyczajnych dziwek, które chodziły do łóżka z facetami dla pieniędzy. Ona sypiała z Tichonowem dla

jakichś własnych celów. Andrzej zastanawiał się, czy on też jest częścią jej gry?

– Dlaczego tu jesteś? – spytał, a w jego głosie zabrzmiała gniewna nuta.

Marta zamarła z ręcznikiem przy włosach i spojrzała uważnie na Kamińskiego. Trudno było stwierdzić, czy patrzy na niego z rozbawieniem, szyderstwem, a może strachem? Andrzej mógł tylko zgadywać.

– Przyjechałam, żeby ci opowiedzieć o planach Tichonowa – zawiesiła głos. – A potem wszystko samo się potoczyło.

Kamiński pokręcił głową.

– Dokładnie to sobie zaplanowałaś.

– Co? – Otworzyła szerzej oczy. – Że zaciągnę cię do łóżka?

– Tak.

Marta roześmiała się, a Andrzej stwierdził, że mógłby słuchać jej śmiechu godzinami.

– Stało się to, co się musiało stać – odparła, beztrąsko wzruszając ramionami. – Źle ci było?

– Nie. – Uśmiechnął się mimowolnie. – Co z tym spotkaniem w Leźnie?

– Oleg nie chce wojny z makaroniarzami i będzie próbował się z nimi dogadać. Rezydenci neapolitańskiej mafii już wczoraj zjechali do hotelu. Rozmowy niedługo się rozpoczną, w porze lunchu. Podejrzewam, że wszystko skończy się jatką...

– Co masz na myśli?

– Makaroniarze nie są głupi – prychnęła Marta. – Przygotowali się na taką okazję. Weź choćby tego zabójcę, co załatwił Sorokina.

– On nie działał na zlecenie camorry.

Marta uniosła w zdziwieniu brew.

– Jesteś tego pewien?

Kamiński nie odpowiedział. Skinął tylko głową. Nie chciał jej mówić o tym, że morderca podążał w ślad za nim, że może cały czas gdzieś się czai. Sam odsuwał od siebie tę myśl.

– Dla kogo pracujesz?

– Pytasz o to już po raz drugi.

– A ty nie odpowiedziałaś.

Kobieta przesłała powłóczyście spojrzenie, które zmroziło Andrzeja. Spoglądając w jej oczy, miał wrażenie, że zapada się w lodową otchłań – zimną, mroczną i bezlitosną. Uwięziony w szczelinach jej źrenic, tracił pewność siebie i czuł się zdany na jej łaskę bądź niełaskę.

– Na wszystko przyjdzie odpowiedni czas – odparła enigmatycznie i zaczęła się ubierać.

– Co przez to rozumiesz?

Uśmiechnęła się smutno.

– Niedługo się dowiesz.

Andrzej westchnął z rezygnacją. Zrozumiał, że teraz nic więcej od niej nie wyciągnie. Kiedy będzie miała ochotę sama mu powie. Przyglądał się, jak wkłada koronkowe majtki, naciąga pończochy, zapina stanik, a wszystko to robiła z wdziękiem, gracją, wkładając w to całą swoją zmysłowość. Pierwszy raz spotkał kobietę, która z ubierania potrafiła uczynić sztukę nie mniejszą niż z rozbierania.

– Co z nami będzie? – zapytał.

– A co chcesz, żeby było?

Kamiński wzruszył ramionami.

– No widzisz? – Marta wysmukłymi palcami dopinała suwak sukni. – Sam nie wiesz, czego chcesz. Zostawmy to na razie tak, jak jest.

Założyła buty, podeszła do niego i pocałowała czule w policzek.

– Zgłodniałam – oznajmiła. – Idziemy coś zjeść?

Andrzej spojrział na zegarek. Do spotkania z profesorem miał prawie godzinę. Dojście z hotelu do Muzeum Archeologicznego zajmie najwyżej pięć minut, mieli więc sporo czasu.

– Na dole w restauracji dają wyśmienite śniadania.



Maks w hotelowej recepcji dowiedział się o numer pokoju Andrzeja Kamińskiego i wszedł schodami na pierwsze piętro. Tutaj natrafił na tłum turystów niemieckich, przepuścił wszystkich i znalazł się w pustym korytarzu. Nie do końca pustym. Z jednego z pokoi właśnie wyszło dwoje ludzi: mężczyzna w czarnym garniturze i kobieta w czerwonej wieczorowej sukni. Zastąpił im drogę.

– Tichonow chce cię natychmiast widzieć – zwrócił się do Marty, ale zaczepnym spojrzeniem taksował Kamińskiego. Miał nadzieję, że oficer ABW się postawi, da powód do rozkwaszenia mu gęby. Ten jednak uniósł tylko lekko brew i czekał na rozwój wydarzeń.

– Widzę, że Oleg wysłał po mnie swojego pieska – prychnęła kobieta, obrzucając Maksa pogardliwym spojrzeniem. – Wracaj do swojego pana i powiedz mu, że przyjdę, kiedy to ja będę tego chciała. On nie może

mnie do niczego zmusić, nie ma nade mną żadnej władzy. Zrozumiałeś?

W jej głosie pobrzmiewały takie pewność siebie i siła, że w pierwszym odruchu Burzyński chciał odejść. Jednak szybko otrząsnął się z tej myśli i ogarnęła go złość. Przede wszystkim na Martę, za to, że miała się za lepszą od niego, a była tylko zwykłą dziwką, własnością Tichonowa. Zły był także na szefa, bo przecież ten mógł wysłać kogoś innego do tak banalnego zadania, a jemu powierzyć coś poważniejszego. I zły na Kamińskiego, wciskającego nos w nie swoje sprawy. Lecz tak naprawdę Maks najbardziej był wściekły na samego siebie. Dawał się traktować jak popychadło, chłopiec na posyłki, człowiek od najgorszej roboty. Najdłużej ze wszystkich pracował u Tichonowa i już dawno powinien zostać prawą ręką szefa. Jednak szef bardziej sobie cenił rodaków, a wszystkich Polaków pracujących dla niego odsuwał od poważnych spraw, a co za tym idzie, od dużych pieniędzy.

Frustracja musiała znaleźć swoje ujście. Maks chwycił kobietę za ramię i mocno pociągnął.

– Idziemy!

Dopiero gdy poczuł uderzenie w szczękę, zrozumiał, jak wielki popełnił błąd. Zaślepiiony wściekłością zignorował obecność oficera ABW, który widząc szarpaną Martę, zaatakował. Prawy prosty Kamińskiego miał potworną siłę i Maks poczuł, jak świat wokół niego wiruje. Oszołomiony zatoczył się dwa kroki, co uchroniło go przed błyskawicznie wyprowadzonym kopnięciem. Kolejne uderzenie zablokował cudem i odskoczył do tyłu. To pozwoliło mu na chwilę oddechu i przyjęcie odpowied-

niej pozycji do walki. Podniósł wysoko pięści, wysunął nieco do przodu lewą nogę i spojrzał na swojego rywala.

Andrzej Kamiński też był gotów. Nie przyjął żadnej pozycji z elementarza sztuki walki, ale jakąś własną dziwną postawę. Stał na lekko rozsuniętych nogach, z rękoma rozłożonymi wzdłuż tułowia, opuszczoną głową, lecz cały czas spoglądając drapieżnie na Maksa. Wydawało się, że nie ma zamiaru walczyć. To jednak nie zmyliło gangstera. Dobrze wiedział, że ma przed sobą wytrawnego przeciwnika, który niemal znokautował go jednym ciosem.

W ciągu jednego tygodnia Maks dwukrotnie otrzymał silne uderzenie. Za pierwszym razem zadał je szczeniak, którego trzymali w willi na Oruni, a teraz Kamiński. Ten jednak nie użył do tego młotka, a własnej pięści. Burzyński nie przestraszył się, przeciwnie – wzmogło to tylko jego gniew, wzmocniło działanie adrenaliny i był teraz rozjuszony niczym byk na corridzie, gdy torreador macha mu przed nosem czerwoną płachtą.

– Chcesz się ze mną bić, dupku? – wyszczał przez zaciśnięte zęby. – Rozkwaszę ci mordę, skurwysynie, tak, że rodzona matka cię nie pozna. A potem zaciągnę tę sukę do Tichonowa. Ale przedtem obciągnie mi w samochodzie. Co ty na to, dupku?

Andrzej nie odpowiedział na zaczepkę. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Wydawał się być niczym posąg: spokojny, milczący i zupełnie pozbawiony emocji.

Maks zaatakował szybko niczym kobra. Niczego nie zapomniał z czasów, gdy trenował kick boxing, a dodatkowo był bogatszy o doświadczenie. Wiedział, że kory-

tarz jest zbyt wąski, żeby wyprowadzić skuteczne kopnięcie z obrotu, więc zdecydował się walczyć kolanami i łokciami.

Błyskawicznie doskoczył do przeciwnika, wymierzając cios prosto w skroń, ale Kamiński był szybszy. Uderzył go otwartą dłonią w klatkę piersiową i Maks poleciał dobre dwa metry do tyłu, lądując plecami na wykładzinie. Kilka sekund trwało, zanim złapał oddech i zebrał się z podłogi. Stanął chwiejnie, czując, że ma pęknięte co najmniej dwa żebra. Z przerażeniem spojrzął na przeciwnika. Oficer ABW stał w tym samym miejscu co poprzednio i w tej samej pozycji. Tylko jego oczy wydawały się bardziej dzikie, drapieżne, wypełnione nienawiścią. Gangster poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach. Nie mógł pojąć, jak Kamińskiemu udało się wyprzedzić jego atak i wyprowadzić tak potężny cios.

Zerknął na Martę, która przywarła plecami do ściany i obserwowała bójkę. Na jej twarzy nie dostrzegł lęku, ale rozbawienie i zaintrygowanie.

Strach dodał Burzyńskiemu siły. Zaatakował raz jeszcze, chcąc chwycić Kamińskiego za głowę, ściągnąć w dół i uderzyć kolanem. Nic z tego. Oficer ABW bez trudu wykonał unik, złapał Maksa za kłapy marynarki i cisnął nim o ścianę jak szmacianą lalką. Gangster jęknął z bólu i osunął się na podłogę. Wiedział, że tym razem żebra ma już połamane, a dodatkowo skręcony bark. Próbował się jeszcze podnieść, walczyć, ale zaraz opadł z powrotem. Nie miał siły. Grzbietem dłoni otarł krew płynącą z ust. Zrozumiał, że przegrał – nie tylko tę rundę, ale również całą walkę. Nawet jeśli przeżyje, to i tak jest skończony. Tichonow mu tego nie wybaczy.

Zrezygnowany spojrział na przeciwnika. Kamiński zbliżał się do niego wolnym krokiem. Gangster skrzywił usta w pogardliwym uśmiechu, widząc, jak ten unosi w górę pięść.

Ogarnęła go ciemność.

Andrzej z zaskoczeniem spojrział na ogłuszonego mężczyznę, a później na swoją pięść. Nie spodziewał się, że tak łatwo pokona jednego z najlepszych ludzi Tichonowa, byłego kick boksera, dwumetrowego, nabitego mięśniami osiłka. Co prawda sam do ułomków nie należał i agencja zadbała o to, żeby przeszedł solidne przeszkolenie w zakresie sztuk walki, ale znokautowanie takiego przeciwnika wydawało się cudem.

Podczas walki czuł wypełniającą go potężną siłę, jakby nagle został obdarzony niespodziewaną mocą. Nie umiał powiedzieć, czy było to w nim, czy też przyszło z zewnątrz. Może ktoś rzucił na niego zaklęcie, urok, czar? To była irracjonalna myśl, ale po wydarzeniach dzisiejszej nocy Kamiński gotów był wierzyć w najbardziej szalone pomysły.

Zerknął podejrzliwie na Martę, w jej oczach szukając odpowiedzi, ale one jak zawsze były nieodgadnione. Kobieta stała oparta o ścianę, nieco błada i wydawała się przestraszona. Może tylko udawała? A może bójka rzeczywiście ją przeraziła? Jeśli grała, robiła to bardzo dobrze.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Marta skinęła głową.

Andrzej pochylił się nad leżącym i przyłożył palce do jego tętnicy szyjnej. Zmarszczył brwi, nie mogąc wykryć pulsu, przestraszony tym, że zabił człowieka. Wiedział, że z tego tak łatwo się nie wykręci. Co prawda działał w obronie własnej, ale uderzył napastnika, gdy ten już leżał na ziemi. Każdego innego obywatela prawdopodobnie sąd by uniewinnił, ale Kamiński był oficerem ABW i to zmieniało postać rzeczy. Nawet jeśli nie pójdzie za kratki, to o dalszej karierze w agencji nie ma co marzyć.

Nagle wyczuł pod palcami słaby puls i odetchnął z ulgą.

Maksymilian Burzyński żył.

Andrzej wyciągnął z kieszeni marynarki telefon komórkowy i zadzwonił na pogotowie. Następnie wybrał numer do Tomasza Rafalskiego. Miał nadzieję, że komisarz już nie śpi.



ROZDZIAŁ 7

SOBOTA, 17 LIPCA 2010 R.

Kamiński był już spóźniony na spotkanie z profesorem dobry kwadrans. Niespodziewane pojawienie się Maksa Burzyńskiego w „Hanzie” i bójka na hotelowym korytarzu zburzyły plany Andrzeja. Musiał poczekać na Rafalskiego, który przybył na miejsce z dwoma funkcjonariuszami i opowiedzieć o wszystkim, co zaszło. Policjanci aresztowali gangstera, a potem Kamiński odbył jeszcze długą rozmowę z komisarzem. Jednakże w tym całym zamieszaniu zniknęła gdzieś Marta.

Andrzej był niepokieszony, bo liczył, że wspólnie zjedzą śniadanie i może umówią się na wieczór. Najpierw pomyślał, że wróciła do Tichonowa, jednak gdyby chciała to zrobić, spokojnie pojechałaby z Burzyńskim bez wywoływania awantury. A może poszła spotkać się ze swoimi szefami? Tego Kamiński nie mógł wykluczyć. W każdym razie kobieta zniknęła, a on nie wiedział, gdzie jej szukać. Teraz jednak zaprzętało go spotkanie z profesorem.

Wszedł do budynku Muzeum Archeologicznego, uśmiechnął się do recepcjonistki, tej samej, która miała dyżur we wtorek i popędził schodami na trzecie piętro. Przeskakiwał po dwa schody i już po chwili stał zdyszany przed drzwiami Aleksandra Bonca-Chojnarskiego. Zapukał i gdy usłyszał chrapliwe „proszę”, wszedł do środka.

Gabinet profesora nie zmienił się od ostatniej wizyty i Kamiński doświadczył wrażenia déjà vu. Książki, skoroszyty i dokumenty zawalające pokój nie zostały przesunięte ani o jotę. Tylko kurz na nich zalegający wydawał się mieć grubszą warstwę. Profesor siedział tak jak wówczas blady, wciśnięty głęboko w fotel i ubrany w tę samą sztruksową marynarkę i niebieską koszulę. Andrzej zastanawiał się, czy Bonc-Chojnarski w ciągu tych kilku dni w ogóle się przebierał? Może tak bardzo pochłonięty był rozwiązaniem zagadki, że zupełnie się zaniedbał?

Archeolog obdarzył Kamińskiego spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

– Spóźnił się pan – rzekł surowo, jakby strofował studenta.

– Proszę mi wybaczyć. Obowiązki.

Bonc-Chojnarski lekko uniósł brew.

– Terroryści, sekty, ekstremiści religijni?

– Nie – uśmiechnął się Andrzej. – Tym razem jeden namolny typ.

– A nie powinna się nim zająć policja?

– Już się zajęła – odparł. – Proszę mi powiedzieć, co pan dla mnie ma?

Twarz profesora zbladła jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe, i teraz przypominała barwę perga-

minu. Wyglądał tak, jakby właśnie przypomniano mu o czymś, co chciał na zawsze wymazać z pamięci. Westchnął ciężko, otworzył szufladę biurka i drżącymi rękami wyciągnął plik zdjęć, starannie rozkładając je na blacie. Do każdego z nich spinaczami poprzyczepiane były niewielkie karteczki z niewyraźnym odręcznym pismem. W ten sposób Bonc-Chojnarski oznaczył, jakie treści zawiera dana tabliczka pokazana na zdjęciu.

– Udało mi się rozszyfrować większość tekstu. – Ton profesora zmienił się i zniknął głos pewnego siebie belfra, zastąpiony panicznym falsetem. – Wykluczam jakąkolwiek mistyfikację. Mogliby ją stworzyć tylko najwyższej klasy specjaliści, poświęcając na to kilka miesięcy. A takich ze świecą szukać, nie wspominając o tym, że żaden z nich nie miałby czasu na tego typu zabawy. Nie mówię już o współpracy między nimi, bo musi pan wiedzieć, że środowisko archeologów jest mocno ze sobą skłócone. Małe wojenki, podgryzanie autorytetów i oczernianie konkurentów są na porządku dziennym...

– Jak w każdym środowisku, profesorze – przerwał mu Andrzej. – Przejdźmy do tabliczek. Co pan zdołał odkryć?

– Wstrząsające rzeczy! – wykrzyknął Aleksander Bonc-Chojnarski i wykonał nieokreślony gest rękoma. – Teksty rzucają zupełnie inne światło na całą naszą kulturę. Gdy zostaną ujawnione światu, spowoduje to zachwianie fundamentów religijnych takich wyznań, jak judaizm, islam, a nawet chrześcijaństwo...

– Wszystko to już słyszałem. – Kamiński próbował ostudzić zapał archeologa. Zaczynał mieć wątpliwości co do stanu jego umysłu.

– To wydarzenie na miarę odkrycia zwojów w Qumran. – Bonc-Chojnarski zdawał się zupełnie nie słyszeć, co się do niego mówi.

– Profesorze! – Andrzej podniósł głos i dopiero wówczas załężniony archeolog spojrział na niego. – Proszę mi wreszcie zdradzić treść tych tabliczek.



Kelner. – młody, zaledwie dwudziestoletni chłopak, postawił na stole lunch i dyskretnie, ale przede wszystkim szybko, zniknął w kuchni. Sprawiał wrażenie mocno wystraszonego, lecz trudno mu się dziwić, gdyż w sali restauracyjnej urządzonej w biedermeierowskim stylu przebywali gangsterzy. Co do tego nie miał żadnej wątpliwości.

Trzech mężczyzn siedzących przy stole było szefami mafii, zaś po obu stronach sali stały dwie piątki ich ochroniarzy, podejrzliwie mierząc się wzrokiem. Odchylone marynarki odsłaniały kabury pistoletów. Mężczyźni w ogóle się z tym nie kryli, a wręcz przeciwnie, ostentacyjnie puszyli się, jakby broń miała wzbudzić szacunek.

Oleg Tichonow bez apetytu dłubał filet z dorsza na sosie z ogórków kiszonych z purée, żałując, że nie zamówił limandy po prowansalsku. Chciał nawet przywołać kelnera i zmienić zamówienie, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie mógł pokazać makaroniarzom, że się waha, nawet w tak błahej sprawie jak wybór posiłku na lunch. Zmiana zamówienia mogła go skompromitować. Przełknął więc kawał dorsza, udając, że mu smakuje.

Zerknął na siedzącego po prawej stronie Alessandra Pantaniego, rezydenta neapolitańskiej mafii z Warszawy. Nieogolony łysy mężczyzna w źle dopasowanym garniturze, łapczywie pochłaniał swoją porcję ryby, pomagając sobie palcami, które co chwilę oblizywał. Tichonow nie mógł się nadziwić, jak ten człowiek znalazł się na szczycie camorry? Może miał wpływowego krewnego? Ale neapolitańska mafia w przeciwieństwie do sycylijskiej nie stawiała na powiązania rodzinne.

Rosjanin przeniósł spojrzenie na drugiego z mężczyzn. Giuseppe Rossi, rezydent z Katowic, był zupełnym przeciwieństwem swojego rodaka. Urodziwy, z długimi, lokowanymi czarnymi włosami stanowił wzorowy przykład prawdziwego Włocha. W wysmukłych palcach delikatnie trzymał sztucce i posługiwał się nimi z chirurgiczną niemal precyzją. Na ten widok dreszcz przeszedł po plecach Tichonowa, który zdał sobie sprawę, że ten wymuskany goguś jest o wiele niebezpieczniejszym przeciwnikiem niż przypuszczał.

– A gdzie jest uroczna Marta? – zapytał Rossi. – Miałem nadzieję, że będę mógł ją osobiście poznać, a przede wszystkim zobaczyć na własne oczy. Podczas telekonferencji prezentowała się oszałamiająco. Zjawiskowa kobieta.

Tichonowowi lekko drgnęła powieka i tylko w ten sposób można było poznać, jak mocno wzburzyło go to pytanie. Nie wiedział, gdzie ona jest. Tuż przed spotkaniem z makaroniarzami dowiedział się, że policja aresztowała Maksa, którego po nią wysłał. I tym oto sposobem na dzisiejszym lunchu z camorrą zabrakło nie tylko Marty, organizatorki spotkania, ale również Burzyńskie-

go, który miał kierować ochroną i pilnować wszystko w środku pałacu. Rosjanin nie mógł także liczyć na dopiero dochodzącego do zdrowia Srokę, którego wyznaczył do ubezpieczania terenu. To zadanie musiał powierzyć swojemu kierowcy. Wiedział, że Dimitri zrobi wszystko jak należy, ale wolałby, żeby siedział w samochodzie, jeśli będzie potrzeba szybkiej ewakuacji z Leżna. Zbyt wiele rzeczy wymykało się spod kontroli, a Tichonow tego nie lubił.

Odłożył sztucce, otarł usta chusteczką i przez dłuższą chwilę przyglądał się Rossiemu. Włoch zmarszczył czoło, ale wytrzymał zimne spojrzenie Rosjanina.

– Powiedz mi, przyjacielu, czemu ci zależy na towarzystwie Marty? – zagadnął protekcyjnym tonem.

– Lubię otaczać się pięknymi kobietami – odparł Włoch, szczerząc nieskazitelnie białe zęby.

Na ustach rezydenta sołncewskiej mafii pojawił się szydrczy grymas

– Czyżby?

– Nie da się ukryć, że Marta jest piękną kobietą.

– Z tym się zgodzę – westchnął ciężko Tichonow, ponownie chwycił sztucce i zabrał się za dłubanie ryby, bowiem konsumpcją nie mógł tego nazwać. – Niestety, Marta ma do załatwienia bardzo ważne sprawy i nie może nam dzisiaj towarzyszyć.

W momencie gdy to powiedział, oczy zabłysły mu dziko na myśl o tym, że tą ważną sprawą może być dawanie dupy temu chłystkowi z ABW.

Zastanawiał się, co Marta teraz robi.

Kobieta w czerwonej wieczorowej sukni dostojnym krokiem przemierzała Targ Węglowy. Nadeszła od strony starówki, co mogło sugerować, że wraca ze spaceru po Starym Mieście, ale jej ubiór na to nie wskazywał. Wyglądała, jakby właśnie wyszła z balu, ekskluzywnego przyjęcia lub bankietu. W każdym razie przyciągała wzrok przechodniów, szczególnie mężczyzn.

Wydawała się zupełnie nie pasować do tego miejsca i czasu. Tak jakby pochodziła z innego świata. W każdym jej geście, kroku manifestowała się niezwykła zmysłowość, połączona z dumą i godnością.

Stukot butów na wysokim obcasie zwrócił uwagę robotników, pracujących przy wykopie na placu. Widząc blond piękność o perłowych ustach i piorunująco czarnych oczach, do tego kręcącą zmysłowo biodrami, zaczęli cicho gwizdać, ale żaden nie odważył się rzucić sprośnej propozycji czy wulgarnego żartu, jak to mieli w zwyczaju. Było w niej coś, co ich onieśmielało i tylko z rozmarzeniem odprowadzili ją wzrokiem.

Kobieta przeszła przez plac, nie zwracając na nich uwagi i ruszyła w stronę parkingu. Minęła rząd samochodów, zatrzymując się dopiero przy srebrnym nissanie 370z. Dwudrzwiowy, sportowy wóz, mający pod maską 332 konie mechaniczne, robił wrażenie. Na pewno pasował do tej pewnej siebie kobiety.

Przez chwilę grzebała w torebce, szukając kluczyków, a gdy je wreszcie znalazła, nacisnęła przycisk pilota, otworzyła drzwi i wsiadła do środka. Tutaj ponownie sięgnęła do torebki po telefon komórkowy. Wybrała numer i gdy po drugiej stronie odezwał się męski głos, zaczęła mówić. Później tylko słuchała, potakując głową. Potem

schowała telefon, zapuściła silnik i odjechała w stronę gdańskiej obwodnicy.

Aleksander Bonc-Chojnarski odchylił się w fotelu, drapiąc się po zarośniętym policzku i spoglądając gdzieś przed siebie, jakby zupełnie nie dostrzegał siedzącego przed nim Andrzeja. Przez dłuższą chwilę milczał, pograżony w swoich rozmyśleniach, a Kamiński go nie poganiał. Zdawał sobie sprawę z roztrzepania profesora. Nie chciał, żeby mu coś umknęło.

– Pamięta pan naszą ostatnią rozmowę? – rzekł wreszcie archeolog. – Wspominałem o wierzeniach Kananejczyków.

– Opowiadał pan o Baalu, bogu deszczu, urodzaju i płodów rolnych, którego hebrajczycy przechrzcili na Belzebuba.

– Tak, można powiedzieć, że zrobili mu czarny PR – uśmiechnął się lekko Bonc-Chojnarski, ale jego twarz nadal była blada, a zmarszczki uwypuklone. – Prawdę napisał Mark Twain, że zanim prawda włoży buty, kłamstwo obiegnie ziemię.

– Do rzeczy, profesorze. – Andrzej obawiał się, że archeolog znowu popadnie w dygresje. – Co znajduje się na tabliczkach?

Profesor westchnął ciężko, jakby zrozumiał, że nie da się wiecznie odwlekać tego, co ma do powiedzenia.

– Żeby w pełni zrozumieć zawarty na tabliczkach tekst, należy co nieco wiedzieć o ówczesnym panteonie bóstw, znać mitologię oraz zwyczaje ludu, z jakim mamy

do czynienia. Ważne jest również ustalenie, kto to napisał i jaki miał w tym cel. Dopiero wówczas można zabrać się za rozszyfrowywanie tekstu.

– Wie pan, kto to był?

– Owszem. – Profesor pokiwał głową. – Autor to jeden z najwyższych kapłanów kananejskich. Wynioskowałem to po formie zapisu, okazuje się bowiem, że część tabliczek zawiera kodeksy obowiązujące w świątyniach. Jak już panu kiedyś mówiłem, miałem do czynienia z podobnym pismem, odkrytym w Ras Szamra. W latach trzydziestych ubiegłego wieku na wybrzeżu syryjskim pod wzgórzem Ras Szamra znaleziono takie same gliniane tabliczki. Niegdyś znajdowało się tam starożytne miasto-państwo Ugarit, istniejące już w szóstym tysiącleciu przed naszą erą. Zamieszkiwali je Kananejczycy, później zwani Fenicjanami. To oni są założycielami takich legendarnych miast, jak: Megiddo, Bet Szean, Ta'anach, Bet Szemesz, Hasor. W Ugaricie wybudowali olbrzymie pałace, świątynie i w pełni korzystali z dobrodziejstw kultury. Z wysokich murów z pogardą spoglądali na przybyszów z pustyni, izraelskich pasterzy, w nosie mając biblijnych patriarchów.

– Wróćmy jednak do naszych tabliczek – Kamiński przerwał wywód. – Jeśli są one podobne do tych z Ras Szamra, to dlaczego był taki problem z ich odszyfrowaniem?

– Mój drogi chłopcze. – Aleksander Bonc-Chojnarski uśmiechnął się pobłaźliwie i Andrzej ponownie poczuł się jak uczeń. – Teksty odkryte w Ugaricie zapisano w siedmiu językach: sumeryjskim, akadyjskim, egipskim, hetyckim, huryckim, minojskim, ugaryckim, a do tego

w trzech systemach: klinowym sylabicznym, hieroglificznym i klinowym alfabetycznym. Podzielić je można na korespondencję, pisma gospodarcze, administracyjne oraz literaturę religijną i magiczno-medyczną. Ogarnięcie tego wszystkiego, znalezienie odpowiedniego kodu nie jest prostą sprawą. Na szczęście mi się udało.

Archeolog wyprostował się dumnie i teraz wydawał się jakby trochę wyższy. Widząc jednak zniecierpliwioną minę Andrzeja, kontynuował:

– Wyrzyte na tabliczkach teksty należy odczytywać w systemie semickim. Słowa nie posiadają samogłosek i należy je samemu uzupełniać. Dlatego tak ważny jest kontekst. Proszę spojrzeć na ten ciąg znaków. – Profesor podsunął pod nos Kamińskiego zdjęcie jednej z tabliczek, na której widniały symbole przypominające zarówno egipskie hieroglify, jak i chińskie krzaczki. – Odczytujemy je jako BL, co oznacza Baala, a te natomiast STRT, to bogini Asztarte.

– Asztarte?

– Tu muszę powiedzieć kilka słów o panteonie kanańskich bóstw. Większość mitów przejęli po żyjących wcześniej od nich Sumerach. Najwyższym bogiem Kanańczyków był El, stwórca świata, przywódca i strażnik porządku kosmicznego. Obojętny i ponadczasowy, mieszkał gdzieś daleko na wybrzeżu, gdzie rzeki uchodziły do morza, i nie interesował się ludzkimi sprawami.

– Co z resztą bogów?

– O Baalu już panu opowiadałem przy poprzedniej wizycie. Opiekun rolników, bóg urodzaju. Dzięki eposom wiemy, że zdetronizował swojego ojca Ela i zajął jego miejsce na szczycie panteonu bóstw.

Archeolog zdjął okulary i zaczął przecierać je chusteczką.

– Pytał pan o Asztarte. To siostra Baala, a zarazem jego małżonka. Bogini dziewictwa i płodności, łącząca w sobie niewinność z namiętnością. W jej świątyniach uprawiano seks sakralny. Kapłanki zwane kedesza oddawały swoje ciało wyznawcom. W Biblii znajdziemy zapis o aszerach, słupkach lub palach, które na cześć bogini stawiali mieszkańcy Kanaan. Identyfikowana z mezopotamską Isztar, grecką Afrodytą oraz rzymską Wenus. To ona zabiła siedmiogłowego smoka Litan, ona przywróciła do życia swego męża Baala i syna Alejna, kiedy ci zostali wciągnięci w pułapkę przez Mota. Zawsze wspierała Baala w walce z jego wrogami.

Aleksander Bonc-Chojnarski założył okulary na nos.

– Jeśli uważnie przyjrzymy się mitologii kananejskiej, znajdziemy całą plejadę ciekawych bóstw, poczynawszy od tyryjskiego Melkarta, poprzez Tanit i Anat, a skończywszy na czczonym przez medyków Eszmunie. Ale to El, Baal i Asztarte są głównymi bohaterami tekstów, które udało mi się rozszyfrować. Historia opowiedziana na tabliczkach jest jakby kontynuacją mitów znalezionych w Ras Szamra. Przedziwnie łączą się z nimi w całość, tworząc niesamowity obraz eposu religijnego.

Do stolika podszedł kelner, jednak nie ten sam co poprzednio – młody i wystraszony, ale inny – nieco starszy i pewniejszy siebie. Sprzątnął puste naczynia i po chwili przyniósł kawę. Szło mu to trochę niezdarnie i Ticho-

now pomyślał, że pewnie jest to kucharz, który wspa-
niałomyślnie zgodził się zastąpić na sali spanikowanego
młodzieńca.

– Podać coś jeszcze? Może deser?

– Nie, dziękujemy – odparł Rosjanin.

Odprowadził wzrokiem kelnera i dopiero gdy ten
zniknął na zapleczu, spojrzął zimno na Włochów.

– Teraz porozmawiajmy o interesach.

Giuseppe Rossi odchylił się w fotelu, zmrużył powie-
ki, co uwidoczniło jego długie rzęsy, i czekał. Natomiast
Alessandro Pantani upił łyk kawy, potem pokręcił głową
i skrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

– O interesach? – spytał. – My nie prowadzimy ze
sobą żadnych interesów. Szczerze powiedziawszy, nie
wiem, po co to spotkanie? Mam wrażenie, że tylko tra-
cę czas. Dobra ryba nie jest wystarczającym powodem,
żeby przyjeżdżać do Trójmiasta.

– Poczekaj, Alessandro – wtrącił Rossi. – Może Ti-
chonow chce nam zaproponować jakieś wspólne przed-
sięwzięcie?

– Z Ruskimi?! – prychnął warszawski rezydent nea-
politańskiej mafii. – To amatorzy!

Żaden mięsień na twarzy rezydenta Sołncewa nawet
nie drgnął. Nadal przyglądał się mężczyznom wzrokiem
zimnym, bezwzględnym, w którym nie było choćby cie-
nia pobłażliwości.

– Szczerze mówiąc, przyjechałem tutaj z nadzie-
ją na spędzenie upojnych chwil z Martą. – Giuseppe
Rossi uśmiechnął się lubieżnie. – Skoro jednak już tu
jesteśmy, posłuchajmy, co ma nam do zaproponowania
Tichonow.

Zapadła pełna napięcia cisza. Włosi choć udawali obojętność, z niecierpliwością czekali na to, co powie Rosjanin. Zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później drogi camorry i Sołncewa musiały się zejść. Nastąpiło to właśnie dzisiaj i od nich będzie zależał dalszy los obu organizacji w Polsce. Czy rozejdą się jako wspólnicy czy wrogowie? Czy wybuchnie kolejna mafijna wojna?

– Sprawa jest prosta – rzekł Tichonow, przybierając swobodny ton. – Po pierwsze udostępnicie nam kanały przerzutowe, przez które szmuglujecie papierosy z Ukrainy do Włoch. Po drugie dacie namiary do swoich pośredników i odbiorców. Po trzecie chcę dziesięć procent ze wszystkich waszych przedsięwzięć w Polsce.

Pantani parsknął śmiechem.

– Odpierdoliło ci!

– A co my z tego będziemy mieli? – spytał Rossi. – Co proponujesz w zamian?

– Już ci tłumaczę, mój włoski przyjacielu – odparł Rosjanin i lekko skinął głową, dając tym samym umówiony znak swoim ochroniarzom, żeby mieli się na baczności. – Mocno jestem zdziwiony, słysząc, jak bardzo brakuje ci towarzystwa Marty i jakim to jesteś koneserem kobiet.

– Czemu?

– Przecież nie interesują cię one seksualnie.

Przystojny Włoch poczerwieniał i rozdziawił szeroko usta.

– Jak śmiesz? – wydukał. – Co ty pierdolisz?

– Jesteś gejem – odparł zimno Tichonow. – Pedalem, ciotą. W moim posiadaniu znajdują się nagrania rozmów telefonicznych, jakie odbyłeś ze swoimi kochasia-

mi. Mam też zapisy wideo z twojej sypialni, gdzie dobrze widać, jak obciążasz druta i wystawiasz dupę takim samym lalusiom jak ty.

Alessandro Pantani wybuchnął niepohamowanym, rechotliwym śmiechem. Upodlenie kamrata sprawiało mu dziką satysfakcję.

– A ty z czego się śmiejesz, łysy grubasie? – Rosjanin przeniósł spojrzenie na rezydenta camorry z Warszawy. – Przypominasz sobie, jak twój zaufany księgowy przed trzema miesiącami zniknął na kilka dni? Po powrocie tłumaczył się, że matka mu zachorowała i musiał być przy niej. Kłamał. Spędził ten czas na pogaduszkach z moimi ludźmi i powiem ci, że był niezwykle rozmowny. Ba! Okazał się na tyle uprzejmy, że udostępnił nam całą dokumentację finansową, wszystkie twoje rozliczenia. Zarówno te wysyłane do Neapolu, jak i te prowadzone na własny użytek. To dziwne, że jest między nimi tak znaczna różnica.

Pantani zbladł, zaczął ciężko oddychać, a na jego czole pojawiły się kropelki potu. Tichonow przez chwilę obawiał się, że Włoch zejdzie na atak serca, co nie byłoby wskazane.

– Ale nie obawiajcie się, przyjaciele – uśmiechnął się jowialnie. – Absolutnie nie mam zamiaru tego przeciwko wam wykorzystywać. Ufam, że wasi szefowie w Neapolu nigdy się o tym nie dowiedzą.

Oczywiście była to jawna groźba. Dał im do zrozumienia, że muszą przyjąć warunki, jakie im postawił, inaczej postara się o to, żeby bossowie neapolitańskiej mafii otrzymali kompromitujące materiały na temat swoich rezydentów w Polsce. Na pewno nie spodoba im

się, że jeden ich okrada, a drugi jest homoseksualistą. To negatywnie wpłynęłoby na wizerunek camorry.

Giuseppe Rossi zerwał się nagle ze swojego krzesła i krzyknął coś po włosku do jednego ze swoich ludzi. W sali restauracyjnej natychmiast pojawiły się wymierzone w siebie spluwy ochroniarzy. Nie było krzyków, przekleństw i nerwowego celowania, jak to czasami można obserwować na filmach gangsterskich. Wszyscy byli profesjonalistami. Spoglądali na siebie groźnie i czekali na rozwój wypadków.

Włoski ochroniarz, do którego zwrócił się Rossi, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął przenośne CB radio. Rzucił kilka słów w eter i czekał na odpowiedź. Lecz ona nie nadchodziła. Spróbował ponownie. Odpowiedziała mu cisza. Skonsternowany zerknął bezradnie na szefa. Tichonow zauważył to spojrzenie.

– Jeśli liczysz na pomoc pozostawionych na zewnątrz ludzi, to się srogo zawiedziesz. Wszyscy zostali unieszkodliwieni.

Na pełnych ustach Giuseppe Rossiego pojawił się ironiczny grymas.

– Miało być tylko po pięciu ochroniarzy.

– Jak w pokerze – uśmiechnął się Rosjanin. – Ty próbowałeś oszukać mnie, a ja ciebie. Tylko że ja wygrałem.

Tichonow pstryknął palcami. Szczypior wyciągnął przypięte do paska radio i spytał:

– Dimitri, czy wszystko ok? Odbiór.

Radio zaszumiało i po chwili usłyszeli odpowiedź.

– Tak. Mamy ich wszystkich co do jednego.

Szczypior wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wszystko w porządku, szefie.

– Słyszałem – odparł Rosjanin i zwrócił się do Włocha. – Teren jest obstawiony przez moich ludzi, a tutaj mamy pat. Nawet jeśli jakimś cudem wydostaniesz się stąd, to na zewnątrz zaraz cię kropną. Proponuję więc, żebyśmy schowali ten cały arsenał i spokojnie skończyli kawę i rozmowę.

Giuseppe Rossi zmrużył oczy, zastanawiając się, czy jednak nie spróbować. Obliczał szanse na wyjście z tej afery żywym, ale wynik nie był satysfakcjonujący. Spojrzał jeszcze na przerażonego i trzęsącego się ze strachu Pantaniego, a potem wzruszył tylko ramionami i z powrotem usiadł na krześle. Skinął głową swojemu ochroniarzowi i wszyscy Włosi schowali broń. To samo, za przyzwoleniem Tichonowa, zrobili jego ludzie.

Rosjanin spokojnie sięgnął po filiżankę, delektując się aromatem kawy. Zdążyła trochę ostygnąć, ale i tak smakowała. Chciał chwilę odczekać, żeby Włosi ochłonęli, pozwolili opaść emocjom i zaczęli kalkulować. Wówczas, po przemyśleniu sprawy, na pewno będą bardziej skorzy do współpracy.

– Wracając jednak do naszego problemu – rzekł. – Jak wspomniałem, zachowam nasz mały sekret tylko dla siebie, a wy przyjmiecie moje warunki. Zaręczam wam, że nic na tym nie straciecie, a możecie jeszcze zyskać.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Pantani.

– Od dawna Europa Zachodnia jest w centrum naszej uwagi. Sołncewska Brać dysponuje już odpowiednimi środkami oraz potencjałem, żeby wejść na te rynki. A to oznacza ruch w interesie, większe obroty i oczywiście pieniądze. Będziemy przecież wykorzystywać wasze szlaki przerzutowe.

– A jeśli dowiedzą się o tym w Neapolu?

Tichonow mrugnął okiem.

– Już wasza w tym głowa, żeby nic nie wiedzieli.

Znowu nastąpiło pełne napięcia milczenie, a w ciszy słyhać było muchę latającą pod sufitem.

– Wygląda na to, że i tak nie mamy innego wyjścia – rzekł Rossi lekko zachrypniętym głosem. – Przyjmuję twoją propozycję.

– Ja też – zawtórował mu Pantani.

– Dobrze, panowie. – Tichonow odstawił filiżankę z kawą. – Pozostaje jeszcze jedna kwestia.

– Jaka? – spytał z niepokojem Rossi.

– Chcę wiedzieć, kto wam zlecił kradzież kontenera z gdyńskiego portu?



Aleksander Bonc-Chojnarski poderwał się z fotela i łożywszy ręce za plecy, zaczął przechadzać się po gabinecie. Na jego twarzy pojawił się rumieniec, był niezwykle podekscytowany.

– Jak wspomniałem, epos jest jakby kontynuacją mitów znalezionych pod wzgórzem Ras Szamra. Historia zawarta na tych oto tabliczkach – profesor podszedł do stołu i palcem postukał w leżące na blacie zdjęcia – rozpoczyna się w chwili, gdy El pokonany i upokorzony przez Baala, straciwszy władzę, szacunek bogów i co najgorsze wyznawców, ucieka na wschód. Tam użalając się nad swoim losem, klnie i złorzeczy. Wygraża pięściami swojemu synowi, a zarazem największemu z wrogów, i poprzysięga krwawą zemstę. Na wschodzie upatrzył so-

bie koczownicze plemię, z którego uczynił naród wybrany. W mieście Ur powołał człowieka, mającego doprowadzić jego lud do ziemi obiecanej. Zaraz, zaraz... jak to szło na tabliczkach?

Profesor podszedł do biurka i pospiesznie zaczął przeglądać stos notatek. Drżącymi palcami przewracał pogięte, otłuszczone strony zapisane drobnym maczkiem. Odszukanie odpowiedniego fragmentu zajęło mu dobrą minutę.

– El rzekł do Abrahama: „Wyjdź z ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukazę” – przeczytał, odłożył notatki i spojrzał na Kamińskiego. – Czegoś to panu nie przypomina?

– Oczywiście – odparł Andrzej. – To słowa ze Starego Testamentu. Z Księgi Rodzaju.

– Dokładnie! – krzyknął profesor. – Musimy zatem przyjąć, że El i Jahwe to jeden i ten sam bóg. Zresztą El dopiero Mojżeszowi przedstawia się jako Jahwe.

– Zaraz, zaraz – obruszył się Andrzej. – Chce mi pan powiedzieć, że w Biblii Bóg nazywany jest imieniem jakiegoś kananejskiego bóstwa?

Aleksander Bonc-Chojnarski uśmiechnął się pobłażliwie.

– Stary Testament to zlepek mitów z różnych religii i obyczajów. Dziesięcioro przykazań Mojżesza ukształtowało się pod wpływem prawodawstwa mezopotamskiego. Historia stworzenia świata to zapożyczenie z mitologii babilońskiej, wzmianki o potopie mamy w najstarszych sumeryjskich przypowieściach. Również cała eschatologia proroków, jak Sąd Ostateczny, nagroda i wieczne potępienie po śmierci, niebo i piekło, anioły

i diabły, nie są pochodzenia hebrajskiego. Można powiedzieć, że wszystkie koncepcje religijne są o kilkanaście stuleci starsze niż Biblia, która nam je przekazała.

Andrzej zbladł. Wychowywał się w rodzinie katolickiej, gdzie wiara w Boga była fundamentem, dogmatem niepodważalnym. Zawsze wierzył, że Pismo Święte to słowa natchnione, przekazane przez Najwyższego. Teraz zaczynało do niego docierać, że to zwykłe oszustwo. Hebrajczycy przywłaszczyli sobie religie innych narodów.

– Teraz proszę uważnie słuchać. – Profesor oparł się o biurko i pochylił nad Kamińskim. – Z eposu zawartego na tabliczkach wynika, że El zawarł przymierze z Izraelitami, po to, żeby dokonać zemsty. Pragnął zdetronizować Baala i pokarać naród, który go zdradził.

– Kananejczyków?

Aleksander Bonc-Chojnarski pokiwał głową.

– Ela nie interesował los nowego narodu wybranego, który posłużył mu jedynie jako narzędzie do walki z wrogiem. Izraelici zgodnie z wolą swojego nowego boga najechali Kanaan. Opis podboju opisany jest w eposie zawartym na tabliczkach i nie różni się wiele od tego, co możemy znaleźć w Biblii.

– W Księdze Jozuego?

– Tak – potwierdził profesor. – Jednak autorzy Biblii przedstawiają Izraelitów jako wielkich bojowników walczących o słuszną sprawę, zaś w eposie jawią się jako okrutni, bezwzględni najeźdźcy. Urządzili w Kanaan krwawą rzeź. Mordowali, gwałcili, nie mając żadnej litości dla pokonanych. Nie oszczędzano kobiet, dzieci ani starców. Kananejczycy zostali całkowicie wytępieni lub ujarzmie-

ni. Izraelici burzyli domostwa, palili świątynie, obalali posągi ich bogów.

– Czemu Kananejczycy tak łatwo ulegli?

– Działo się to w okresie upadku egipskiej potęgi i chaosu politycznego w tym regionie. Kananejscy wassale Egiptu poczuli się niezależnymi władcykami i chcąc powiększyć swoje państewka, toczyli między sobą zacieśne wojny. Kraj podzielony, skłócenie ze sobą królikowie, kryzys gospodarczy, to wszystko złożyło się na klęskę. Jozue zdobywał jedno małe państewko po drugim i tak naprawdę nigdy nie stanął przeciw zjednoczonej potędze Kanaan. Izraelici górowali nie tylko liczebnie, ale również zapalem bitewnym. Pamiętajmy, że płonął w nich ogień religijnego fanatyzmu, a poza tym...

Archeolog zawahał się, spojrział gdzieś w przestrzeń za plecami Kamińskiego.

– ...ich kampanię wspierał sam Bóg.

Włosi spojrzeli na siebie z autentycznym osłupieniem i rezydent rosyjskiej mafii w tej właśnie chwili zrozumiał, że camorra nie miała nic wspólnego z tajemniczym kontenerem. A to oznaczało, że przeciwnik nadal był nieznanym, a tym samym o wiele groźniejszy. Nie miał czasu jednak tego przeanalizować, bo nagle rozpętało się piekło.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nikt z obecnych w restauracji nie zdążył w porę zareagować. W jednej chwili Oleg Tichonow spostrzegł za oknem jakieś czarne sylwetki, a zaraz potem rozległ się trzask rozbijanych szyb. Na szczęście zadziałał jego instynkt, któ-

ry podparty wyszkoleniem wojskowym niejednokrotnie ratował już mu życie. Natychmiast osunął się na ziemię i schował pod stół. Kątem oka zauważył, że Włosi nadal siedzą na krzesłach z szeroko otwartymi oczami, przeżeni i sparaliżowani strachem.

Dwie sekundy później do pomieszczenia wrzucono jakieś przedmioty, które potoczyły się po podłodze. Rosjanin zamknął mocno powieki, zatkał uszy i polecił swoją duszę Bogu. Wiedział, co to jest. Granaty!

Łupnęło raz, drugi, trzeci. I nic więcej.

To tylko granaty hukowe – stwierdził z ulgą Tichonow. Otworzył oczy i ujrzał, jak przez rozbite okna wdzierają się mężczyźni ubrani w czarne stroje i kamizelki kuloodporne. Na twarzach mieli kominiarki i gogle, na głowach kevlarowe hełmy. W rękach trzymali gotowe do użycia pistolety maszynowe MP-5.

– Policja! Rzucić broń!

Rosjanin zaklął wściekle. Antyterrorysty. Nie miał czasu rozważać, dlaczego się tu znaleźli, bo właśnie rozpoczęła się strzelanina. Ochroniarze Tichonowa, zamiast pójść za przykładem Włochów, którzy grzecznie odrzucili pistolety, wycelowali je w policjantów. Ci natychmiast otworzyli ogień.

Rezydent rosyjskiej mafii ujrzał, jak w pierś Małego trafia seria z MP-5, na białej koszuli, którą chłopak może pierwszy raz w życiu ubrał, pojawiły się czerwone plamy krwi. Padł martwy. Widząc to, Szczypior zaczął opętańczo wrzeszczeć i ruszył w stronę antyterrorystów, cały czas strzelając z Glocka 19. Pistolet dostał dopiero dzisiaj, bardziej dla pozorów niż żeby robić z niego użytek i zupełnie nie miał wprawy. Strzelał na oślep, szybko, chaotycz-

nie, zupełnie nie celując. To cud, że udało mu się trafić jednego z policjantów w ramię, ale zaraz po tym dostał kulę prosto w czoło. Pozostali ochroniarze byli mądrzejsi, przewrócili dębowe stoły i schowali się, tworząc prowizoryczną barykadę. Stamtąd się ostrzeliwali.

Oleg Tichonow wykorzystując zamieszanie, zaczął czołgać się w stronę kuchni, licząc, że znajdzie tam tylne wyjście. Nad głową świszczały mu kule, ale on nie przejmował się tym. Niejednokrotnie bywał w takich opałach i wiedział, że panika jest najgorszym wrogiem. W połowie drogi obejrzał się. Giuseppe Rossi siedział bezwładnie na krześle ze szklistymi oczami wpatrzonymi w sufit. Na jego skroni widniała rana, a czarne, lśniące włosy lepiły się od krwi. Alessandro Pantani siedział pod stołem, trzęsąc się ze strachu jak osika, a po jego puciołowatych policzkach płynęły łzy. Rosjanin nie wątpił, że makaroniarz przeżyje, co więcej, może na tym zyskać. Udział w strzelaninie wzbudzi szacunek neapolitańskich bossów, a że drugi z rezydentów mafii nie żył, to on będzie niepodzielnie panował w Polsce. Co prawda zostanie schwytany przez antyterrorystów i trafi do więzienia, ale znając zaradność prawników camorry, szybko z niego wyjdzie.

Tichonow myślami powrócił do tu i teraz. Musiał jak najszybciej wydostać się z tego piekła. Ponownie zaczął się czołgać, mając na wyciągnięcie ręki zbawienną kuchnię. Ukryje się w niej i poszuka jakiegoś wyjścia. Nie był jednak naiwny. Wiedział, że policja na pewno obstawiła wszystkie, jednakże wierzył w swój spryt, wyszkolenie wojskowe i łut szczęścia.

Po przekroczeniu progu kuchni podniósł się i rozejrzał. Od strony głównego wejścia do hotelu zbliżali się

kolejni antyterrorysty, przymierzając się do okrążenia ostrzeliwujących się ochroniarzy. Tichonow nie czekał na dalszy rozwój sytuacji, dał nura w głąb pomieszczenia.

Kuchnia była pusta. Wszyscy pracownicy zdążyli uciec albo zostali ewakuowani. Rosjanin chwycił ze stołu nóż kuchenny, któremu daleko było do dobrze wyważonego komandoskiego ostrza, ale było to lepsze niż nic, i ruszył na zaplecze. Z sali restauracyjnej przez chwilę jeszcze dobiegały strzały z pistoletów maszynowych, ale po chwili ucichły. Było po wszystkim. Ochroniarze nie żyli lub byli właśnie skuwani kajdankami.

Tichonow wpadł na zaplecze i naknął się na dwóch antyterrorystów obstawiających wyjście. Chociaż cały czas pozostawali w gotowości bojowej, zaskoczyło ich tak nagle pojawienie się mężczyzny. Zawahali się na ułamek sekundy. To Rosjaninowi wystarczyło. Błyskawicznie doskoczył do pierwszego, wbijając ostrze w gardło. Przechwycił pistolet maszynowy i pociągnął serią do drugiego. Obaj padli martwi w tej samej sekundzie.

Rezydent Sołncewa słyszał już podniesione głosy i tupot wojskowych butów, niechybny znak, że zbliżali się pozostali antyterrorysty. Doskoczył do drzwi, kopnął je z całej siły i wypadł na podwórze. Natychmiast rzucił się na ziemię, przeokoziółkował, dzięki czemu kule wystrzeliwane z MP-5 przeleciały mu nad głową. Otworzył ogień i policjanci znajdujący się na zewnątrz natychmiast wycofali się, szukając osłony. To dało mu kilka sekund przewagi. Biegiem ruszył w stronę parku znajdującego się na tyłach kompleksu pałacowego, nie przestając się ostrzeliwać. Dopiero gdy dotarł do zarośli, pozwolił sobie na zerknięcie za plecy.

Cały teren był obstawiony przez policję. Na posesję co chwilę wjeżdżały nowe radiowozy na sygnale, antyterrorysty trzymali pod lufami jego ludzi i Włochów, którzy pozostali na zewnątrz. Z budynku wyprowadzano tych, którzy przeżyli strzelaninę w restauracji, w tym Alessandra Pantaniego. Tichonow musiał przyznać, że ta akcja policji się udała.

Nagle poczuł na twarzy ukłucie bólu i spływającą krew. Jedna z wystrzelonych w jego stronę kul musiała trafić w pień drzewa, przy którym stał, poleciały drzazgi i jedna z nich trafiła go w policzek. Dobrze, że nie pocisk pomyślał Rosjanin i puścił się biegiem przez park. Słyszał strzały dochodzące zza jego pleców, ale już się nie odwracał. Wiedział, że jest ścigany. Dopadł drewnianej altany, chowając się za nią. Wyrżał ostrożnie. Naliczył pięciu antyterrorystów podążających jego śladem. Wystrzelił serię z MP-5, jednego z nich trafiając. Pozostali ukryli się za drzewami. Wychylił się, naciskając spust raz jeszcze. Usłyszał metaliczny zgrzyt, znak, że skończyła się amunicja. Nie miał zapasowego magazynku.

Zaklął wściekle. Odrzucił niepotrzebną broń, gorączkowo zastanawiając się co robić. Za altaną park się kończył i dalej miał pole, pustą przestrzeń ciągnącą się przez co najmniej kilometr. Prędzej czy później któraś z policyjnych kul go dosięgnie. Jeśli wybierze ucieczkę, straci życie. Jeśli się podda, resztę życia spędzi w więzieniu. Kiepski wybór.

Ponownie wyrżał zza altanki. Antyterrorysty wyszli zza drzew i teraz powoli się do niego zbliżali. Pewnie już się domyślili, że zabrakło mu amunicji. Tichonow musiał szybko podjąć jakąś decyzję.

– Nie strzelajcie! – krzyknął, wychodząc z kryjówki i unosząc do góry rękę. – Poddaję się.

To, co dzisiaj Andrzej usłyszał, zburzyło wszystko, w co do tej pory wierzył. Nie mieściło mu się w głowie, że jedna z najważniejszych religii na świecie, jego religia, zbudowana została na kłamstwie. Bóg, którego znał, wyznawał i na swój sposób wielbił, okazał się być wygnanym kananejskim bóstwem, a ponadto zwykłym zawistnikiem. Teraz Kamiński miał się jeszcze dowiedzieć o jego wsparciu wyprawy wojennej Izraelitów na Kanaan.

– W Biblii stoi, że do zwycięstwa armii Jozuego rękę przyłożył sam Bóg, wspierając go cudami. Najpierw wstrzymał rzekę Jordan, żeby Izraelczycy mogli się przez nią przeprawić, a potem zburzył mury Jerycha. A gdy Jozue ścigał armię pięciu królów południowego Kanaanu, wstrzymał słońce i księżyc, by uniemożliwić ucieczkę.

Aleksander Bonc-Chojnarski podrapał się po zarosniętym policzku.

– Natomiast według eposu zawartego na tabliczkach uczynili to Aniołowie Śmierci zesłani przez Ela. Dwójka bezlitosnych, okrutnych niszczycieli, pojawiających się wówczas, gdy Bóg chciał kogoś pokarać. To oni zniszczyli Sodomę i Gomorę. Wywołali trzęsienie ziemi, podczas którego głązy odpadające od ścian wąwozów zatarasowały koryto rzeki Jordan. Mocą słowa JHWH zburzyli bramy Jerycha i rozświetlili niebo, ukazując Izraelitom uciekającą armię wroga.

– Czyli różnica między przekazem biblijnym a kanańskim jest taka, że w tym drugim pojawiają się aniołowie?

– Nie tylko. – Profesor uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Baal i Asztarte, bogowie opiekujący się Kanaanem, nie pozostali bierni. Powołali swoich kapłanów, obdarzając ich nieśmiertelnością, mocą oraz atrybutami własnej potęgi i posłali do wojny z Aniołami Śmierci. Walka toczyła się na ziemi i na niebie, trzaskały pioruny, szalały żywioły, powietrze pachniało starożytną magią. Ludzie nie wyściubiali nosa ze swoich chat, gdy ci toczyli ze sobą bitwy. Jednakże kapłani musieli uznać wyższość sług Ela i wycofać się.

Archeolog ponownie sięgnął po notatki.

– Epos opowiada o wojnie, jaka się toczyła i będzie toczyć pomiędzy Elem i Baalem, a raczej pomiędzy ich posłańcami. Aniołowie pojawiać się będą za każdym razem, gdy bóg Izraelitów stwierdzi, że ludzkość go zawiodła i należy ją ukarać. Natomiast Baal i jego małżonka Asztarte będą jej bronić. Ich kapłani zawsze działają w ukryciu, próbując zniweczyć plany gniewnego bóstwa. Niektórym katastrofom udało im się zapobiec, innym razem Aniołowie Śmierci byli górą. Zacytuję panu ostatnie zdanie z eposu...

Przewrócił kartki, odchrząknął i przeczytał:

*a posłańcy walczyć z sobą będą,
aż czas i przestrzeń dobiegną końca.*

Profesor zdjął okulary i uważnie spojrział na Andrzeja.

– Nie udało mi się rozszyfrować wszystkich zapisów, ale na podstawie tego, co mam, można wysnuć hipotezę, że to Baal jest dobrym bogiem, dbającym o ludzi. Tymczasem El, który obecnie wyznawany jest jako Jahwe, Allach, Bóg, tak naprawdę jest okrutnym tyranem, bezwzględny i bezlitosny szaleńcem. A do tego niezwykle zazdrosnym. Pierwsze jego przykazanie brzmi, że ludzie nie mogą mieć innych bogów. El za pomocą narodu wybranego odzyskał władzę nad światem, którą sprawuje po dziś dzień, ale boi się powrotu Baala.

– Profesorze. – Andrzej zmarszczył brwi. – Mówi pan o tym, jakby to wszystko było prawdą, a nie fikcją literacką, za jaką uważa pan Biblię i eposy religijne. Przecież nie wierzy pan w Boga osobowego.

Aleksander Bonc-Chojnarski westchnął ciężko.

– Czasami wydaje mi się, że rzeczywiście rządzi nami okrutny bóg, uzurpator. Proszę spojrzeć na świat, na to, co się wokół nas dzieje. Wojny, morderstwa, głód, szerzący się terroryzm i szaleństwa żywiołów są niczym plagi, klątwy rzucane przez boga za nasze przewiny. Tak jakby rządził nami przy pomocy kar.

– Jak surowy ojciec.

– Raczej jak tyran – odparł archeolog. – Dzieci nie można tak wychowywać, a co dopiero mówić o całej ludzkości.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, każdy skupiony na swoich myślach. Profesor może po raz pierwszy w ciągu swojego długiego życia dopuścił do siebie możliwość istnienia Boga, który go obserwuje, ocenia i zastanawia się nad karą dla niego. Taka wizja w ogóle mu się nie podobała.

Andrzej Kamiński natomiast rozmyślał o tym, co usłyszał, zastanawiając się, jak to wpłynie na jego wiarę. Dowiedział się, że nie istnieje jeden Bóg, a Baal jest mu równorzędny. Obalało to monoteizm. Ponadto Bóg, którego on znał, był okrutnym szaleńcem, a Baal, którego religia chrześcijańska odsądziła od czci, uznawała za wcielenie zła i przyrównywała do szatana, bronił ludzkości.

Zastanawiał się też, czy to, co powiedział mu profesor, przybliżyło go do rozwiązania śledztwa. Wszystko wskazywało na to, że przedmioty kultu należały do wyznawców Baala, a może nawet do jego kapłana. Andrzej nadal jednak nie wiedział, czy sekta stanowi zagrożenie, a jeśli tak, to jakimi dysponuje wpływami? Na pewno musieli mieć sporo pieniędzy i znajomości, żeby wyciągnąć z portu zarekwirowany kontener. Skoro mieli swoich ludzi w policji i urzędzie celnym, należało założyć, że także w aparacie administracyjnym, stanowiskach państwowych, a może również w rządzie? Należałoby przeświecić pod tym kątem wszystkich polityków.

Jednakże nie to najbardziej niepokoiło Andrzeja. Cały czas pamiętał nocne spotkanie z mordercą, tajemniczą istotą, mającą nadludzkie moce. Teraz całkiem logiczne wydawało mu się, że miał do czynienia z wysłannikiem któregoś z bogów. Kamiński pokręcił głową, próbując otrząsnąć się od absurdalnych myśli. Podniósł się z krzesła i podał archeologowi dłoń na pożegnanie.

– Dziękuję za wszystko – rzekł. – Powiadomię pana, gdy tylko odzyskamy przedmioty. Obiecuję, że będzie miał pan sporo czasu na dokonanie ekspertyzy.

– Będę zobowiązany – odpowiedział Aleksander Bonc-Chojnarski, ale w jego głosie słychać było wątpli-

wość co do tego, że kiedykolwiek zobaczy na własne oczy te kananejskie dzieła sztuki. – Życzę powodzenia.

Archeolog pochylił się nad notatkami i wydawało się, że już zapomniał o swoim gościu. Andrzej ruszył do wyjścia, lecz nagle zatrzymał się z dłonią na kłamce.

– Profesorze?

– Tak? – Bonc-Chojnarski spojrzał na Kamińskiego zdziwiony, że ten jeszcze znajduje się w gabinecie.

– Co znaczy *Akar*?

– To słowo pochodzenia hebrajskiego i w wolnym tłumaczeniu może oznaczać sprawcę niedoli.

Oleg Tichonow stał z rękoma uniesionymi w górę, ponuro spoglądając na zbliżających się antyterrorystów. Podchodzili wolno, z wycelowanymi w niego lufami MP-5, w obawie, że to podstęp. Z odległości dwudziestu metrów trudno było dostrzec, czy Rosjanin nie ma jednak jakiejś broni, a ponadto zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z byłym oficerem GRU, żołnierzem szkolonym w specnacie, człowiekiem niezwykle niebezpiecznym.

Bali się go, a on po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę bezradny. Nie miał dokąd uciec, nie miał jak walczyć. Tym razem go dopadli. Nie udało się to agentom FBI jeszcze w czasach Związku Radzieckiego, nie udało się Afgańczykom ani Czeczenom, za to powiodło się polskiej policji. Gdyby ktoś mu to powiedział kilka godzin wcześniej, wyśmiałby go. Teraz nie było mu do śmiechu.

– Nie jestem uzbrojony! – zawołał, obawiając się, że któryś antyterrorysta mniej odporny na stres nie wytrzyma i pośle mu serię z MP-5. Na pewno byli żądni zemsty po tym, jak załatwił trzech ich kolegów.

Policjanci ani na chwilę nie opuścili broni, nadal podchodząc do niego ostrożnie. Gdy od Tichonowa dzieliło ich zaledwie dziesięć metrów, kazali mu położyć się plackiem na ziemi. Rosjanin już miał spełnić ich prośbę, gdy wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Nagle usłyszał ryk silnika nadjeżdżającego samochodu. Po chwili tuż przed jego nosem zaparkował mercedes s600 Pullman Guard, oddzielając go od antyterrorystów. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i Tichonow natychmiast wskoczył do środka.

– Czemu tak długo? – rzucił do siedzącego za kierownicą Dimitriego. Barczysty mężczyzna spojrział na niego z wyrzutem, a potem puścił sprzęgło i samochód ruszył do przodu niczym rakieta.

Dopiero teraz policjanci zaczęli strzelać, ale kule odbijały się od wzmocnionych szyb i karoserii wykonanej z hartowanej blachy balistycznej. Po raz pierwszy dzisiaj Oleg Tichonow się uśmiechnął, gratulując sobie tak udanego zakupu. Limuzyna znakomicie spisywała się w warunkach bojowych. Spojrzął przez wsteczne lustro. Antyterrorysty bezradnie opuścili broń, wiedząc, że nie przebiją karoserii samochodu opancerzonego.

Tymczasem Dimitri docisnął gaz do dechy i mercedes pognał wprost w stronę bramy wyjazdowej. Przeciął wypielegnowany trawnik, skosił róże zasadzone przy alejce spacerowej i wyjechał na parking. Dopiero teraz

policjanci stojący przed frontem budynku spostrzegli, co się dzieje, ale było już za późno. Mogli tylko rozpiezchnąć się na boki, unikając potrącenia. Niektórzy próbowali strzelać, ale kule odbijały się tylko od szyb.

Radiowóz stojący najbliżej bramy próbował zajeżdżać im drogę, ale Dimitri zdołał w ostatniej chwili uniknąć zderzenia. Czarna limuzyna z dwójką uciekinierów wypadła na asfalt z piskiem opon. Nie skręcili w stronę trójmiejskiej obwodnicy, dobrze wiedząc, że będzie tam na nich czekała obława, ale pojechali w drugą stronę, na Żukowo. Klucząc leśnymi drogami, mieli nadzieję zgubić pościg.

– Mamy na ogonie trzy radiowozy – oznajmił Tichonow.

Dimitri tylko skinął głową i dodał gazu. Niebezpiecznie ścinał zakręty, balansując na granicy ryzyka, ale na szczęście ruch w sobotnie popołudnie nie był zbyt duży. O tej porze ludzie byli już na plażach i nad jeziorami, korzystając z pięknej pogody. Kilka razy jednak Dimitri dokonywał cudów, gdy z naprzeciwka wyłonił się jakiś samochód. Dwukrotnie uniknął zderzenia dosłownie o włos. Taka jazda jednak się opłacała, bowiem syreny policyjne zdawały się cichnąć, a we wstecznym lusterku zniknęły rozmazane białe-niebieskie plamy, będące ścigającymi ich radiowozami.

Ominęli Żukowo, wybierając boczne drogi, słusznie obawiając się jechać przez centrum miasta, gdzie prawdopodobnie czekały na nich blokady, i skierowali się na Dzierżążno. Tam w gęstych kartuskich lasach łatwiej było się ukryć. Przez niemal pół godziny kluczyli mało uczęszczanymi piaszczystymi drogami, po obu stronach

mając jedynie knieje. Co jakiś czas słyszeli przelatujący nad ich głowami policyjny śmigłowiec, ale z powietrza nie sposób było dostrzec czarnej limuzyny poruszającej się pod przykryciem koron drzew.

Mężczyźni jechali w milczeniu, uważnie omiatając spojrzeniem drogę, jakby spodziewali się zaraz ujrzeć rozłożone kolczatki i policyjne radiowozy. W głowie każdego z nich kłębiły się ponure myśli i zastanawiali się, czy zdołają wydostać się z obławy. Podczas wojny w Czeczeni niejednokrotnie wymykali się z gorszych opresji, ale wówczas byli kilkadziesiąt lat młodszy i lepiej uzbrojeni. Dimitri miał co prawda pod marynarką kaburę, a w niej pistolet, ale to było wszystko, czym dysponowali przeciwko oddziałowi antyterrorystów, wyposażonych w pistolety maszynowe. Sytuacja była niewesoła.

Oleg Tichonow był ciekawy, skąd policja wiedziała o spotkaniu w Leźnie? Głównym podejrzanym była Marta. Prawdopodobnie pracowała dla tajnych służb, policji lub konkurencji. Może pracowała dla camorry, a to była misternie zaplanowana akcja, w którą włączyli policję.

– Dimitri?

– Tak, szefie?

– Co tam się stało?

Mężczyzna westchnął ciężko.

– Najpierw obezwładniłszy makaroniarzy, którzy ukryli się na posesji. Debile myśleli, że tylko oni wpadli na ten pomysł. – Dimitri uśmiechnął się ironicznie. – I szczerze mówiąc, nie spodziewałem się żadnych niespodzianek. Zostawiłem dwóch ludzi przy bramie, a resz-

ta zajęta była wiązaniem Włochów. Wtedy nas dopadli. Pojawili się znikąd, podeszli cicho niczym sama śmierć. Otoczyli nas i gdy się zorientowałem, było już za późno. Mogliśmy tylko złożyć broń.

Tichonow pokiwał głową. Powinien być zły na swojego ochroniarza, ale co się stało, to się nie odstanie. Zastanawiał się, kto zorganizował taką akcję? Nie dostał żadnego ostrzeżenia od swoich informatorów w policji.

– A jak tobie udało się uciec?

– W momencie gdy antyterroryści uderzyli na restaurację, powstało zamieszanie. Wyrwałem się i pobiegłem do samochodu. Zanim pilnujący nas policjanci zorientowali się, o co chodzi, byłem już w środku. Chciałem uciekać, ale wtedy zobaczyłem ciebie. Długo się nie zastanawiałem...

– Dobrze zrobiłeś, Dimitri.

– Co teraz będzie, szefie?

Rosjanin wzruszył ramionami.

– Na razie przyczaimy się gdzieś – odparł. – Zobaczymy, co psy na nas mają, a potem zaczniemy działać.

Dimitri w odpowiedzi uśmiechnął się kącikami ust. Tichonow był jednym z tych, którzy jak spadną z konia, zaraz się podnoszą, żeby znów wskoczyć na siodło. To mu się podobało.

Leśna droga nagle się skończyła i przed sobą ujrzeli rozległą polanę. Ich oczom ukazało się jezioro, wokół którego ludzie opalali się na kocach, ręcznikach, leżakach. Dzieci radośnie pluskały się w wodzie – sobotnia sielanka. Nieco dalej stało kilkanaście samochodów.

– Stój! – rozkazał Tichonow. – Cofnij się i zaparkuj w lesie.

Dimitri bez słowa sprzeciwu wykonał polecenie.

– Co robimy, szefie? – spojrzał na zamyślonego Tichonowa.

Na twarzy rezydenta sołncewskiej mafii można było dostrzec głębokie zmarszczki. Ten dzień dał mu się we znaki, a przecież jeszcze się nie skończył.

– Pożyczmy sobie samochód – odparł z lekkim uśmiechem. – Właściciele przez co najmniej godzinę nie zorientują się, że zginął. A my w tym czasie niepostrzeżenie wymkniemy się z obławy.

Dimitri spojrzał na niego osłupiały.

– Chce szef porzucić taką brykę? – Wykonał szeroki gest ręką, ukazujący uwielbienie dla samochodu, w którym siedzieli. Mercedes s600 Pullman Guard był nie lada gratką i do tego kosztował fortunę.

– To tylko rzecz. – Rosjanin wzruszył ramionami. – A poza tym zamiary na ten wóz ma już każdy policjant w Polsce.

Wysiedli, zatraskując za sobą drzwi. Dimitri po raz ostatni, niemal pieszczotliwie dotknął maski limuzyny. Miał świadomość, że dzisiaj uratowała im życie.

Oleg Tichonow nawet się nie obejrzał. Żwawym krokiem ruszył w stronę polany.

Tomasz Rafalski, klnąc na czym świat stoi, ściągnął kamizelkę kuloodporną i z wściekłością cisnął ją o ziemię. To było niepodobne do spokojnego i opanowanego komisarza, który uznawany był przez kolegów za flegmatyka. Policjanci wykonujący czynności zabezpieczające

na posesji pałacu w Leźnie, zerkali na niego zaskoczeni takim wybuchem gniewu.

Właśnie dowiedział się przez radio, że mercedes, którym poruszał się uciekający Tichonow, został znaleziony w lesie. Po Rosjaninie i jego kierowcy nie było śladu. Prawdopodobnie ukradli któryś z samochodów zaparkowanych nad jeziorem w Dzierżążnie i teraz mogą być gdziekolwiek.

Rafalski dowiedział się o spotkaniu bossów Sołncewa i camorry od Kamińskiego. Na zorganizowanie akcji miał zaledwie godzinę, ale udało mu się załatwić oddział AT, a także sprzęt do podsłuchu. Jeden z policjantów przebrał się za kelnera, zastąpił młodego chłopaka, który tam pracował, i przy podawaniu kawy podłożył pod stół pluskwę. Dzięki temu cała rozmowa została nagrana, a jej treść mogła posłać gangsterów do więzienia na długie lata. Wreszcie policja miała dowody na kierowanie przez Tichonowa przestępczością zorganizowaną. Co prawda same nagrania w sądzie by nie wystarczyły, ale komisarz był pewny, że udałoby się zmusić do zeznań któregoś z Włochów. Wystarczyło tylko ich aresztować.

Nie przewidział jednak, że antyterroryści trafią na tak zaciekły opór. Wszystko wymknęło się spod kontroli i rozpoczęła się regularna strzelanina. Na domiar złego w jej trakcie wymknął się Tichonow, zabijając podczas ucieczki trzech ludzi. Rafalski zdawał sobie sprawę, że to on zostanie obciążony odpowiedzialnością. To był jego ostatni dzień w policji.

Niczego jednak nie żałował i gdyby miał wybór, postąpiłby jeszcze raz tak samo. Jego celem było zniszczenie Tichonowa i to mu się udało. Człowiek, który zabił

mu brata był skończony. Jeśli dostanie się w ręce policji, to pójdzie za kratki, bo o ile z oskarżeń o kierowanie grupą przestępczą adwokaci mogą go jeszcze wybronić, o tyle z zabójstwa funkcjonariuszy już nie. A jeśli nie trafi przed oblicze sprawiedliwości, odpowie przed swoimi szefami w Moskwie, co oznaczało dla niego kulę w łeb.

A sołncewska mafia bez Tichonowa praktycznie w Polsce nie istniała. To on trzymał wszystko w garści, kontrolował kanały przerzutowe, organizował przemysł i pilnował interesów. Bez niego Sołncewo długo będzie musiało na nowo budować swoje struktury. Zajmie im to dobrych kilka lat.

Tomasz Rafalski zwany Drzewcem uśmiechnął się. Nagle cała złość go opuściła i poczuł wypełniający go błogi spokój. Mięśnie odprężyły się, zmarszczki na twarzy wygładziły, w oczach pojawiło się zadowolenie. Wypełniło się to, co miało się wypełnić. Pierwszy raz od wielu, wielu lat Tomasz Rafalski mógł z czystym sumieniem iść do domu.

– Panie komisarzu! – krzyknął jeden z funkcjonariuszy, wychylając się z radiowozu. – Mam komendanta na linii, chce z panem rozmawiać...

– Powiedz mu, żeby się pierdolił.

– Co?!

– W poniedziałek znajdzie na biurku moją rezygnację.

Rafalski minął osłupiałego policjanta i ruszył w stronę bramy posesji. Nie oglądał się. Za sobą zostawił techników zabezpieczających teren, sanitariuszy opatrujących rannych w strzelaninie. Wracał do swojej żony

i małej Jadwisi. Postanowił zabrać córkę na karuzelę. Tak dawno tego nie robił...

Przez chwilę pomyślał jeszcze o Andrzeju Kamińskim, którego wykorzystał do własnych celów. Poszczył oficera ABW na Tichonowa i to mu się opłaciło. Dzisiaj ich współpraca dobiegła końca i nie sądził, żeby kiedykolwiek się jeszcze spotkali. Komisarz zastanawiał się, czy Kamiński odnajdzie właściciela skradzionego z portu kontenera i rozwiąże sprawę tajemniczej sekty? Jednakże z każdym kolejnym krokiem myśli o nim coraz bardziej się rozmywały i wydawało się, że był on tylko mrzonką, niewyraźnym wspomnieniem, a może kimś, kto tak naprawdę nigdy nie istniał.

Prosto z Muzeum Archeologicznego Kamiński udał się do swojego hotelu, z nadzieją, że Marta będzie tam na niego czekała. Niestety, nie było jej. Nie było też dla niego żadnej wiadomości na recepcji. Zrezygnowany postanowił się przejść. Najpierw długo spacerował wzdłuż Motławy, aż doszedł do miejsca, gdzie niegdyś znajdował się krzyżacki zamek w Gdańsku, a teraz pozostał po nim jedynie niewielki fragment muru. Później ruszył wąskimi uliczkami Starego Miasta, zatoczył szeroki łuk i wyszedł na gdańską starówkę.

Staął przy fontannie Neptuna i obserwował gołębie chodzące po postumencie. Bóg morza pozostawał niewzruszony, w milczeniu spoglądając gdzieś w dal. Andrzej zastanawiał się, o czym mógłby myśleć pośag, gdyby posiadał duszę i świadomość? Nie różniłby

się wówczas od zwykłego człowieka i pewnie targalyby nim te same namiętności. A tak szczęśliwie nic nie czuł. Dzisiaj Andrzej Kamiński gotów był się z nim zamienić.

Ostatnie wydarzenia dostarczyły mu tak wiele emocji, że przestał sobie z nimi radzić. Po spotkaniu z przerażającą istotą na dachu kamienicy cały czas czuł ucisk strachu w żołądku i kasandryczną pewność, że niedługo wydarzy się coś, co na zawsze odmieni jego życie. Miały wrażenie, że kroczy ścieżką, z której nie ma już odwrotu, i zastanawiał się, co znajdzie na jej końcu?

Przyjeżdżając do Gdańska, myślał, że ma do czynienia z jakimś postrzelonym guru religijnym, ale teraz nie miał co do tego przekonania. Po tym, co usłyszał od profesora Bona-Chojnarskiego, zrozumiał, że wdepnął w środek konfliktu pomiędzy kapłanami starożytnych kananejskich bóstw a Aniołami Śmierci wysłanymi przez Jahwe. Czyżby na dachu kamienicy spotkał jedną z tych istot? Ta absurdalna myśl nie dawała mu spokoju.

No i była jeszcze Marta. Pojawiła się w nocy niczym balsam na jego przerażone serce, ukoiliła, nakarmiła namiętnością i miłością. Andrzej jeszcze nigdy nie czuł się tak dobrze z żadną kobietą i nie chodziło tylko o rewelacyjny seks. W łóżku Marta spełniała każdą jego zachciankę, każde pragnienie, zanim jeszcze zdążył o nim pomyśleć, ale nie to czyniło ją wyjątkową. Pragnął jej obecności, ciepła, dotyku. Chciał na nią spoglądać, chłonąć słowa i wsłuchiwać się w jej oddech.

Nieobecność Marty sprawiała Andrzejowi niemal fizyczny ból, czuł potworny żal graniczący z rozpaczą i nie rozumiał, jak mógł do tej pory bez niej żyć? To były emocje nastolatka, a Kamiński był przecież dorosłym męż-

czyzną, który niejedno w życiu już przeżył. Może się zakochał? Uśmiechnął się do swoich myśli i po raz ostatni z zazdrością spojrzął na rzeźbę Neptuna. Nieczuły posąg w milczeniu kontemplował gdańską starówkę.

Andrzej spojrzął na zegarek. Dochodziła czternasta, a on jeszcze dzisiaj nic nie jadł. Postanowił wrócić do hotelu na obiad, a potem poczekać w swoim pokoju, z nadzieją, że Marta do niego przyjdzie.



ROZDZIAŁ 8

NIEDZIELA, 18 LIPCA 2010 R.

Marta nie przyszła. Ani wczoraj, ani dzisiaj. Andrzej obudził się z bolesną myślą, że jest w łóżku sam. Jakże pragnął wyciągnąć dłoń, pogłodzić jej delikatną skórę, wpleść palce we włosy, przyciągnąć do siebie i poczuć ciepło kobiecego ciała. Westchnął ciężko, przeciągnął się i spojrział przez okno. Po wysokości słońca ocenił, że musi dochodzić ósma, najwyższy czas zejść na śniadanie. Wówczas zastanowi się co robić dalej.

Nagle uświadomił sobie, że tej nocy nie dręczyły go żadne koszmary. Nie czuł gorącego pustynnego wiatru na twarzy, piasku wdzierającego się w nozdrza, nie słyszał chrapliwej mowy tubylców i co najważniejsze: oskarżycielskiego: *Akar, Akar, Akar*.

Po raz pierwszy usłyszał te słowa, gdy śnił o starożytnym mieście, w komorze grobowej ukrytej pod mieszkaniem. Wypowiadały je czaszki, z nienawiścią, która przetrwała tysiąclecia. Po raz drugi usłyszał je z ust gospodarza, który przyjął go pod swój dach w zupełnie

innym śnie, w innym mieście. Mieście, które później, wspólnie ze swoim towarzyszem podróży, obrócił w gruzy. Człowiek ów wypowiadał słowo *Akar* ze strachem, ale równocześnie z nabożną czcią.

Kamiński łudził się, że sny pojawiły się w związku z prowadzonym przez niego śledztwem i jak to często z marzeniami sennymi bywa, były tym, co zajmuje umysł człowieka. Przecież wiele czytał książek, oglądał filmów o starożytnych krainach Bliskiego Wschodu, więc pewnie gdzieś musiał spotkać się ze słowem *Akar* i teraz, gdy zajmował się tajemniczymi tabliczkami, wiedza ta została odgrzebana z odmętów pamięci, wskoczyła do podświadomości, wypełniając sny Andrzeja.

Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że może to jest przesłanie. Pragnął uciec od tego, zostawić za sobą sny oraz wspomnienie strasznej istoty, którą spotkał. Miał przecucie, że jeśli dalej będzie drążył temat, prowadził śledztwo, to postrada zmysły.

Zwłókł się wreszcie z łóżka i przyszykował do wyjścia. Przed zejściem na śniadanie włączył jeszcze laptopa, żeby sprawdzić, czy nie ma dla niego jakiejś wiadomości. Codziennie drogą elektroniczną wysyłał pełne raporty do centrali w Warszawie, ale nadal nie otrzymał żadnej zwrotnej informacji i wskazówek co do dalszego postępowania. Nie miał nawet pewności, czy jego e-maile dotarły. Kamiński miał wrażenie, że ABW zupełnie go ignoruje, a przecież prowadził ważne śledztwo.

Począł cierpliwie, aż załaduje się Windows, a następnie otworzył Outlooka. Nic. Skrzynka była pusta. Frustracja Andrzeja sięgnęła zenitu. Wiedział, że jest

weekend, a do tego okres urlopowy i większość pracowników w centrali ma wolne, ale to, co im przesłał, nie było rutynowym raportem, znajdowały się tam rewelacje, którymi ktoś powinien się zająć. Kamiński obiecał sobie, że po powrocie do Warszawy poprosi o spotkanie z bezpośrednim przełożonym i wszystko mu wygarnie. Pewnie zaprzepaści szansę na szybki awans. Kto wie? Może nawet straci pracę w departamencie? Ale taki sposób prowadzenia oficera operacyjnego był niedopuszczalny.

Przed zamknięciem laptopa otworzył jeszcze wiadomości na Onecie. Główna informacja dotyczyła krwawej akcji policji w pałacyku w Leźnie. Z krótkiego tekstu wynikało, że doszło do spotkania szefów neapolitańskiej i rosyjskiej mafii w sprawie podziału strefy wpływów. Policja wkroczyła do hotelu z zamiarem aresztowania przestępców i wówczas wywiązała się strzelanina, podczas której ofiary śmiertelne były po obu stronach. W końcu udało się bandytów obezwładnić, ale Oleg Tichonow zdołał zbiec. Obecnie trwała obława i poszukiwania w całej Polsce.

Andrzej natychmiast chwycił za telefon i wybrał numer Rafalskiego. Chciał się dowiedzieć z bezpośredniego źródła, co tam się stało. Niestety, komisarz aparat miał wyłączony, więc Kamiński nagrał mu się na automatyczną sekretarkę.

Wyłączył laptopa, włożył marynarkę i wyszedł z pokoju. Idąc korytarzem, zastanawiał się, gdzie może się ukrywać Tichonow? Andrzej skrzywił usta w drwiącym uśmiechu. Na jego miejscu byłby już po drugiej stronie globu, tam gdzie nikt nie mógł go znaleźć.

Oleg Tichonow ukrywał się na obrzeżach Gdańska, w niewielkim dwupokojowym mieszkaniu, stanowiącym jedyną bezpieczną melinę, na osiedlu położonym niedaleko wylotu na autostradę. Nie chciał opuszczać Trójmiasta z kilku powodów. Policja podejrzewała, że będzie chciał jak najszybciej opuścić Polskę i obstawiła wszystkie lotniska oraz przejścia graniczne, tak że nawet myśz by się nie precysnęła. Nie było też sensu uciekać do innego miasta. Rosjanin wychodził z założenia, że pod latarnią najciemniej, i został w Gdańsku.

Kolejnym powodem, dla którego został, było to, że chciał trzymać rękę na pulsie i do końca kontrolować interesy Sołncewskiej Braci. Jeśli wróci do Moskwy jako uciekinier, ze spalonymi kanałami dystrybucyjnymi oraz kontaktami, następnego dnia jego ciało będzie można wyłowić z rzeki. Przez całą niemal noc wydzwaniał do swoich dostawców i kontrahentów, ratując to co, jeszcze było do uratowania.

No i ostatnia rzecz, jaka go tu trzymała – Marta. Nie wątpił, że to ona poinformowała policję, lub też Kamińskiego, o spotkaniu w Leźnie. Jednakże nie pałał żądzą zemsty, co więcej, gotów był jej przebaczyć. Tak bardzo jej pragnął, pożył, ubóstwiał. Nawet po tym, co mu zrobiła, gotów był uciec z nią daleko, tam, gdzie nie dosięgnie ich prawo ani sołncewska mafia. Chciał się z nią spotkać, porozmawiać, ale jej telefon nie odpowiadał.

Tichonow wiedział, że zachowuje się irracjonalnie, co było do niego niepodobne. Początkowo tłumił w sobie

emocje, złościł się na siebie, lecz w końcu zaakceptował fakt, że najbardziej na świecie pragnie być z Martą.

Przez pół nocy próbował się do niej dodzwonić, a gdy stwierdził, że to próżny trud, zaczął wszystko analizować. W tym zawsze był dobry. Zrozumiał, że była z nim z jakiegoś powodu. Gdy spoglądał na to teraz, z dystansem, stwierdzał, że cały czas, gdy byli razem, zachowywała się tak, jakby na coś czekała. A kiedy zjawił się Andrzej Kamiński, wszystko wywróciło się do góry nogami. Tichonow nie miał wątpliwości, że to właśnie on był jej celem. Tylko o co w tym wszystkim chodziło?

Wreszcie nad ranem, gdy już pierwsze promienie słońca rozjaśniały mrok, a on kończył butelkę whisky, olśniło go. Wszystko kręciło się wokół kontenera przywiezionego z Latakii i tajemniczych tabliczek. Postanowił coś sprawdzić. Na niezależnym, zagranicznym serwerze miał zgrane wszystkie swoje dokumenty i dane z komputera, na którym pracował. Nie wątpił, że ten znajdujący się w klubie „Nikita”, a także wszystkie inne w oficjalnych miejscach jego zamieszkania, zostały zarekwirowane przez policję.

Włączył laptopa, podłączył się do Internetu, odszukał serwer i podał niezbędne hasła. Otworzył plik Worda z tłumaczeniem, które wykonał Dariusz Kowalewski, a którego z braku czasu Tichonow nie miał czasu wcześniej nie przeczytał. Teraz coś mu mówiło, że powinien to zrobić. Usiadł przy stole i zagłębił się w tekst. Po dwóch godzinach błąd, ledwie trzymający się na nogach, poszedł do najbliższego kościoła.

Właśnie skończyła się poranna msza i Dom Boży opustoszał. Pozostały dwie babulinki, modlące się

w bocznej kaplicy do figury Matki Boskiej. Tichonow przeszedł całą nawę, uklęknął przed tabernakulum, a następnie usiadł w pierwszej ławce. Nie modlił się. Już dawno zapomniał, jak to się robi i tylko smutno spoglądał na jeden z obrazów drogi krzyżowej, na którym Jezus Chrystus ugiął się pod ciężarem krzyża.

Oleg Tichonow wiódł życie zepsute i złe. Od kiedy pamiętał, zawsze miał do czynienia ze zbrodnią. Urodził się i dorastał w jednej z najgorszych dzielnic Moskwy, wychowany na ulicy nie znał innego świata niż świat przemocy. To było okrutne, pozbawione barw życie. Odnalazł się w wojsku, do którego początkowo nie chciał iść, ale potem postanowił w nim zostać dłużej. Dzięki swojej inteligencji, bystrości umysłu dostał się na studia. W Akademii Armii Radzieckiej przekonał się, że swój spryt może połączyć z tym wszystkim, czego nauczył się na ulicy. Teraz mógł robić to, na co miał ochotę, bez obaw, że poniesie karę.

Później był Afganistan, Czeczenia, operacje we wszystkich zakątkach świata. Do tego wszystkiego, co już umiał, doszło doświadczenie i Oleg Tichonow stał się jednym z najmniejbezpiecznych ludzi w ZSRR. Został szybko zauważony i zwerbowało go GRU. Posiadał talent do rozwiązywania problemów z pozoru nierozwiązywalnych, co uczyniło z niego świetnego agenta wywiadu. Praca za granicą była atrakcyjna i opłacalna. Nauczył się manipulować ludźmi, poznawał ich lęki i tajemnice, a potem wykorzystywał do własnych celów.

Nic więc dziwnego, że po rozpadzie Związku Radzieckiego związał się ze światem przestępczym. Wykorzystując swój intelekt, doświadczenie i kontakty, piął się

w górę po drabinie struktury mafijnej, aż stał się rezydentem rosyjskiej mafii w Polsce.

W życiu robił różne złe rzeczy: zabijał, okaleczał, straszał i rzadko kiedy żałował swoich czynów. Teraz też nie miał zamiaru wyznawać swoich grzechów, pokutować i zamartwiać się, że zostały przed nim zatrzaśnięte bramy Królestwa Niebieskiego. Zresztą jeśli Bóg rzeczywiście istniał, to Tichonow wcale nie miał ochoty na jego towarzystwo.

Przeniósł spojrzenie na wizerunek Jezusa Chrystusa, po którego twarzy spływały strużki krwi. Zastanawiał się, czy cierpienie i odkupienie miały jakikolwiek sens? Bo jeśli człowiek jest tylko marionetką w rękach Boga, narzędziem do realizowania własnych celów, to czy w ogóle istnieje zbawienie? Galilejczyk z obrazu nie odpowiedział. W milczeniu wpatrywał się przed siebie, być może na górę Golgotę, gdzie zaraz miał zostać ukrzyżowany.

– Mogę ci jakoś pomóc, synu?

Oleg Tichonow przeniósł wzrok na puciołowatego, zartroskanego księdza, który przy nim przystanął. Dopiero teraz Rosjanin zrozumiał, jak źle musiał wyglądać. Przepocona koszula, której nie zmieniał od wczorajszego poranka, podkrążone oczy, zamglony wzrok. Duchowny zapewne przestraszył się, że ma do czynienia z jakimś desperatem.

– W niczym mi ksiądz nie pomoże. – Rosjanin próbował się uśmiechnąć, ale wykrzywił tylko usta w grymasie.

– Może chcesz się wyspowiadać?

– Nie. – Tichonow pokręcił głową. – To już nie ma sensu.

– Mylisz się. – Kapłan przysiadł na ławce. – Na skruczę zawsze jest czas.

– Źle mnie ksiądz zrozumiał. Nie martwię się o zło, które ja wyrządziłem, ale o zło wyrządzone przez tego, który ma mi przebaczyć.

– Błuznisz! – duchowny obruszył się. – Bóg jest miłosierdziem i miłością. Wszystko, co On robi, ma swój cel. Kocha wszystkich ludzi...

Tichonow parsknął śmiechem.

– A skąd ksiądz może wiedzieć, co i kogo kocha Bóg? Może uwielbia wojny, przelewaną krew, zbrodnię i nienawiść? Może jest tyranem strzegącym swojego tronu, dbającym tylko o swoją własną pozycję?

– O czym ty, człowieku, mówisz? – Kapłan był wyraźnie zdenerwowany. Poczzerwieniał na twarzy, policzki zaczęły mu się trząść, a oczy stawały się coraz większe.

– Słyszał ksiądz starożytny mit o Gilgameszu? Pewnego razu ten sumeryjski bohater usłyszał o roślinie życia dającej nieśmiertelność, która rosła na rajskiej wyspie. Postanowił ją zdobyć, żeby podarować później całej ludzkości. Dzięki pomocy Utnapisztima, ulubieńca bogów, odnalazł roślinę i zadowolony z siebie przeprowadził się z powrotem, na drugą stronę rzeki. Nagle jeden z bogów, nie chcąc dopuścić, żeby ludzie stali mu się równi, przybrał postać węża i wyrwał mu z rąk roślinę życia. Wie ksiądz, kto był tym bogiem?

Duchowny bezradnie pokręcił głową.

– Hebrajczycy nazywają go Jahwe.

– To jakaś bzdura...

– To ten sam Bóg, którego my wyznajemy. Okazuje się, że był tylko pomniejszym bóstwem w całym pan-

teonie, a raczej okrutnym, złośliwym i zazdrosnym demonem. Potem zyskał wyznawców w koczowniczym, wojowniczym ludzie hebrajskim i zdobył upragnioną władzę. Czy godzi nam się wyznawać zawistnego, pośledniego bożka? Co z naszymi założeniami o jego nieomyślności, bezgranicznej miłości i wszechpotędze?

Tichonow uśmiechnął się blade.

– Nie dostrzega ksiądz tak oczywistej analogii? Rajska wyspa to biblijny Raj, roślina życia to owoc z drzewa poznania dobra i zła. A Jahwe strzeże zazdrośnie swojego skarbu...

– To nie jest nasz Bóg!

– Ależ oczywiście, że nasz – odparł Rosjanin. – Od czasów Abrahama hebrajczycy przez wiele wieków przedstawiali Jahwe pod postacią węża. Dopiero potem mity się wymieszały, tylko zwykli ludzie o tym nie wiedzą, a Kościół niechętnie o tym mówi.

– Kościół nie uznaje tego mitu! – krzyknął oburzony duchowny, a babulinki modlące się pod figurą Matki Boskiej i klepiące bezwiednie pacierz odwróciły głowy, spoglądając na nich z dezaprobatą. – To błędne, fałszywe tłumaczenie. Wężem jest Szatan!

– Jahwe jest Szatanem! Obalił miłującego pokój Baalą i sprowadził na ziemię terror.

Oleg Tichonow podniósł się z ławki i ruszył ku wyjściu. Ksiądz chciał go jeszcze chwycić, zatrzymać, coś powiedzieć, ale zrezygnował spojrzawszy mu w oczy. To były oczy człowieka, który odkrył zbyt wiele. Przyglądał się temu łysawemu, smutnemu mężczyźnie, który tak nagle zjawił się w jego kościele, a teraz odchodził pochylony i złamany. Duchowny domyślał się, co ten człowiek

zamierza. Przez chwilę zaświtała mu myśl, że powinien za nim pójść, powstrzymać go, ale zaraz poczuł złość za wszystkie wypowiedziane przez tamtego herezje. Ten, kto obraża Boga, niechaj sam sobie w życiu radzi – pomyślał, a potem podniósł się z ławki i zniknął w zakrystii. Pochłonięty liczeniem pieniędzy z dzisiejszej kwesty szybko zapomniał o człowieku, który potrzebował duchowego wsparcia.

Srebrny Nissan 370z mknął krajową jedynką, wyprzedzając po drodze wszystkie samochody. Strzałka licznika rzadko kiedy schodziła poniżej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wyglądało na to, że kobieta siedząca za kierownicą uwielbiała szybką jazdę.

Ubrana była w czerwoną suknię o niemal identycznej barwie, ale zupełnie innym kroju, niż w dniu poprzednim. W tej dekolt i rozcięcie na udzie były mniejsze, a klosz szerszy, jakby tym razem nie chciała tak bardzo podkreślać swojej seksualności. Szyba od strony kierowcy była opuszczona i wiatr rozwiewał włosy kobiety. Jasne kosmyki figlarnie tańczyły na jej policzku. Na perłowych ustach błąkał się lekki uśmiech, ale czarne oczy były poważne, skupione na drodze.

Andrzej, siedzący na fotelu pasażera, przyglądał się Marcie, szczęśliwy, że znowu z nią jest. Delektował się jej bliskością, urodą, zapachem perfum. Nic innego nie miało znaczenia.

Nie wiedział, dokąd jadą. Podczas śniadania zadzwonił telefon. Numer był zastrzeżony, ale Kamiński mimo

to odebrał. Zdziwił się, słysząc charakterystyczny, nieco zachrypnięty głos Marty. Powiedziała tylko, żeby za kwadrans był na parkingu przed hotelem i zaraz się rozłączyła. Andrzej pospiesznie dokończył śniadanie, dopił kawę i wyszedł przed budynek. Tak bardzo spieszyło mu się do spotkania z nią.

Spóźniła się dobre dziesięć minut i nawet nie miała zamiaru się tłumaczyć. Powitała go z promiennym uśmiechem, a on w tej jednej chwili pozbył się wszystkich pretensji. Nie miał już żalu, że poprzedniego dnia zniknęła i potem się nie odezwała. Nie dociekał, gdzie była ani z kim. Może nie miało to dla niego znaczenia, a może nie chciał wiedzieć? Próbował zdusić w sobie zazdrość.

Opuścili Gdańsk. Na pytania Andrzeja kobieta odpowiadała, że wszystkiego się dowie w swoim czasie. Mógł się tylko domyślać, że jadą na spotkanie z tym, dla kogo pracowała. Z jednej strony miał nadzieję, że uda mu się wreszcie rozwiązać zagadkę i poskładać wszystkie elementy układanki, ale jednocześnie bał się tego, czego może się dowiedzieć. Rozsądniej było porzucić śledztwo, kobietę, z którą podróżował, i uciec jak najdalej. Nagle uświadomił sobie, że nie zabrał służbowego pistoletu. W obliczu zagrożenia będzie zupełnie bezbronny. Miał tylko nadzieję, że Marta nie wiezie go w pułapkę.

– Nadal będziesz trzymała w tajemnicy, dokąd jędziemy? – zapytał, gdy zjechali z trasy A1 na drogę w kierunku Starogardu Gdańskiego.

Marta spojrzała na niego i mrugnęła okiem, co miało oznaczać, że wszystko na ten temat powiedziała wcześniej i nie ma nic więcej do dodania.

Andrzej wzruszył ramionami, włączył radio i rozparł się w fotelu. Samochód wypełnił się dźwiękami muzyki reggae, przyjemnej, łatwo wpadającej w ucho. Wokalista śpiewał o słońcu, lecie i pięknej kobiecie, którą spotkał na plaży. Piosenka w sam raz na lipcowe przedpołudnie. Dochodziła jedenasta i słońce stało już wysoko na niebie. Czarna jezdnia zdawała się być sennym mirażem, a rozgrzany na niej asfalt miejscami się topił. Kamiński dał się ukołysać muzyce, jednostajnemu warkotowi silnika i pewnie by zasnął, gdyby z marazmu nie wyrwał go serwis informacyjny.

– Wiadomości z ostatniej chwili – rozległ się dźwięczny głos spikerki. – W jednym z mieszkań w Gdańsku Owczarni znaleziono zwłoki mężczyzny poszukiwanego w związku z wczorajszą akcją policji w Leźnie. Oleg Tichonow, podejrzany o kierowanie rosyjską mafią w Polsce, popełnił samobójstwo, strzelając sobie z pistoletu w głowę. Prawdopodobnie mężczyzna nie wytrzymał stresu, bowiem poszukiwany był w całym kraju. Informacje ze świata...

Andrzej wyłączył radio i spojrzał na Martę, która wydawała się być zupełnie nieporuszona wiadomością o śmierci Rosjanina. Uniosła tylko lekko brew, co mogło być zaledwie oznaką zdziwienia.

– Tichonow nie żyje – powiedział Kamiński.

– Słyszałam. – Marta spojrzała na niego, a w jej czarnych oczach próżno było szukać jakichkolwiek emocji.

– Miałaś z tym coś wspólnego?

Kobieta roześmiała się, ukazując rząd białych zębów.

– Podejrzewasz mnie, że zamordowałam Tichonowa?

– Nie ty osobiście – odparł, próbując przybrać groźną minę. – Mogłaś komuś zlecić. Albo...

– Albo?

– Zrobił to ten, dla kogo pracujesz?

Marta nagle spowaźniała.

– Gdyby tak było, to z Tichonowa niewiele by zostało.

Andrzej nerwowo przełknął ślinę. Coś w głosie kobiety mówiło mu, że to prawda. Od razu przypomniał sobie spotkanie z tajemniczą istotą.

– Czy twój szef ma zwyczaj biegać po dachach i mordować policjantów? – zapytał z przekąsem.

Marta spiorunowała go tylko wzrokiem, a potem skupiła się na prowadzeniu samochodu. Minęli Starogard Gdański, ale nie wyglądało na to, że byli blisko celu. Kamiński zaczął się niepokoić. Nikt nie wiedział, co teraz robi i z kim przebywa. Jeśli to rzeczywiście była pułapka, to nie mógł liczyć na niczyją pomoc. Zresztą przez całe śledztwo nie miał wsparcia z centrali i już na to nie liczył.

– Otrzymałeś jakąś odpowiedź z Warszawy? – spytała Marta, zdając się czytać w jego myślach. Kiedy poprzedniego poranka leżeli w łóżku, zmęczeni seksem, powiedział jej o swoich niepokojach i zupełnym braku reakcji ze strony przełożonych.

– Nie – odparł spoglądając na kobietę.

Nie odrywała wzroku od jezdni i mógł podziwiać jej profil. Po raz kolejny zachwycił się drapieżnymi rysami, ciemną karnacją, łabędzią szyją i pełnymi ustami. Nagle olśniło go! Uświadomił sobie, gdzie już wcześniej widział tę twarz. Nie dawało mu to spokoju przez cały okres ich znajomości, a teraz wreszcie wiedział.

Wrócił myślami do pierwszej wizyty u profesora Bonca-Chojnarskiego, gdy czekając w holu, przyglądał się wystawie monet z okresu Cesarstwa Rzymskiego. Jeden z denarów ukazywał identyczne oblicze. Co prawda kobieta na monecie miała inaczej ułożone włosy, ale rysy były te same. To była żona Septymiusza Sewera. Julia Domna.

Czy to naprawdę mogła być ona? To by oznaczało, że chodziła po ziemi od blisko dwóch tysięcy lat. A może i dłużej? Musiała być zatem istotą nieśmiertelną, kimś podobnym do tego, kogo Andrzej spotkał na dachu kamienicy. Zaraz jednak odrzucił tę absurdalną myśl. Marta była kobietą z krwi i kości, dotykał ją, pieścił, kochał. Jednak jakieś przeczucie mówiło mu, że Julia Domna i Marta to jedna i ta sama osoba.

– Czy to nie dziwne? – zagadnęła.

– Dziwne?

– To, że ABW od kilku dni w ogóle nie interesuje się swoim człowiekiem?

– Widocznie mają swoje powody.

Marta uśmiechnęła się pod nosem.

– Zadzwoń.

– Co?

– Wyciągnij telefon i zadzwoń do swojego przełożonego.

Andrzej roześmiał się.

– To idiotyczne.

– Wcale nie. – Marta obdarzyła go twardym, beznamyślnym spojrzeniem. – Zrób to.

Kamiński niechętnie sięgnął po telefon, wybrał numer swojego szefa i wcisnął przycisk. Zmarszczył brwi.

Coś było nie tak. Spróbował połączyć się raz jeszcze. Usłyszał informację, że abonent nie istnieje. Ale to było niemożliwe. Tydzień temu przecież sam dzwonił do przełożonego. Kamiński zaczął gorączkowo zastanawiać się, o co w tym wszystkim chodzi?

– Niech zgadnę – rzekła kobieta. – Nie ma takiego numeru?

Andrzej nie odpowiedział.

– Na pewno zastanawiałeś się, dlaczego wtedy na dachu morderca oszczędził właśnie ciebie?

– Nie chcę o tym teraz rozmawiać – warknął Kamiński.

– A o tym, z jaką łatwością udało ci się pokonać Maksa?

Poblady spojrzał na kobietę.

– Kim jesteś?

Marta uśmiechnęła się drwiąco.

– Lepiej zadaj to pytanie sobie.

Komenda Miejska w Gdyni świeciła pustkami. Pełniący dyżur policjanci nie mieli za dużo do roboty w niedzielne przedpołudnie i wszystko wskazywało, że ten weekend upłynie spokojnie.

Tomasz Rafalski stał przed swoim biurkiem z pustym kartonem w ręku. Tyle lat tutaj spędził, parząc sobie codziennie kawę, pracując przy komputerze, pisząc raporty. Teraz miało się to wszystko skończyć. Trochę było mu żal, ale rozpoczynał nowe życie, wolny od przeszłości, od zobowiązania, jakie nad nim ciążyło. Posta-

wił karton na blacie i zaczął pakować do niego rzeczy osobiste.

Przyjechał to zrobić dzisiaj, wiedząc, że nie zastanie większości swoich kolegów, którzy zaczęliby zadawać pytania, epatować szczerymi lub udawanymi emocjami i mówić, mówić, mówić... A tego Rafalski chciał uniknąć.

Spakowanie wszystkiego zajęło mu zaledwie kwadrans. Usiadł przy biurku, zdając sobie sprawę, że robi to po raz ostatni. Krzesło obrotowe, o które niegdyś tak walczył, teraz dostanie ktoś inny. Miał nadzieję, że temu, kto przyjdzie na jego miejsce, będzie dobrze służyło.

Rafalski włączył komputer, zalogował się i uruchomił Worda. Kolejny kwadrans zajęło mu napisanie wypowiedzenia i jego wydrukowanie. Chciał, żeby w poniedziałek komendant znalazł je na swoim biurku. Już chciał wyłączyć komputer, gdy przypomniał sobie o sprawdzeniu skrzynki e-mailowej. Otrzymał cztery nowe wiadomości. Dwie dotyczyły zaległych, dawno już zamkniętych spraw, jedna morderstwa podczas libacji alkoholowej, którym zajmować się będzie już jego zastępca, ale ostatnia korespondencja mocno go zainteresowała. E-mail pochodził z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

W czwartek, gdy zaczął podejrzewać, że Andrzej Kamiński może mieć coś wspólnego z morderstwami, wysłał do centrali ABW pytanie, kim jest oficer, którego przysłali do Trójmiasta. Nie liczył na odpowiedź, bowiem z doświadczenia wiedział, że agencje rządowe rzadko cokolwiek zdradzają zwykłym policjantom. Tym razem odpisali. Tomasz Rafalski otworzył e-maila.

Przebiegł wzrokiem tekst wiadomości i odchylił się na oparcie fotela. Gdyby teraz któryś z policjantów

wszedł do pokoju i go zobaczył, na pewno zaraz pobiegłby po lekarza. Mężczyzna twarz miał pobladłą, oczy szeroko rozwarte, usta lekko rozchylone. Rafalski był w szoku.

Dopiero po minucie zamrugał powiekami i raz jeszcze przeczytał wiadomość:

Uprzejmie informuję, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie prowadzi w tej chwili żadnego dochodzenia dotyczącego sekty religijnej ani żadnego śledztwa w sprawie przemytu dzieł sztuki. Informuję również, że oficer o podanym przez pana imieniu i nazwisku nie pracuje u nas i nigdy nie pracował, a Departament Zwalczania Sekt Religijnych, z którego jakoby miał być oddelegowany ów oficer, nie istnieje w strukturach ABW.

Kim zatem był Andrzej Kamiński, człowiek, z którym Rafalski przez kilka dni współpracował? Zdawał sobie sprawę, że agencja mogła go wprowadzić w błąd. Może chcieli coś zatuszować albo nie podobało im się, że zwykły komisarzyna wtyka nos w ich operacje. Niemniej jednak coś tu śmierdziało, czuł to swoim policyjnym nosem. Tylko co?

Tomasz Rafalski zmarszczył czoło, usiłując znaleźć logiczne wytłumaczenie. Zaraz jednak potrząsnął głową i uśmiechnął się pod nosem. Tak naprawdę nie powinno go to już obchodzić, od jutra przestanie być policjantem.

Wyłączył komputer, zabrał karton ze swoimi rzeczami i opuścił pokój. Poszedł do gabinetu komendanta i położył na biurku wypowiedzenie. Teraz dopiero poczuł się prawdziwie wolny. Na schodach zapomniał już o Andrzeju Kamińskim, całej sprawie przemytu dzieł

sztuki, Tichonowie, rosyjskiej mafii i seryjnym mordercy. Teraz wreszcie poświęci czas swojej rodzinie.

Andrzej gorączkowo zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Marty. Każdą jej wątpliwość można było łatwo rozwiązać, przytoczyć jakieś logiczne argumenty. Agencja mogła mieć inne, ważniejsze rzeczy na głowie niż prowadzenie oficera, który tak naprawdę działał samodzielnie. Nie mógł się dodzwonić do szefa, bo może akurat centrala zmieniała numery telefonów. Natomiast jeśli chodzi o pokonanie Maksa, to przecież Andrzej też nie był w ciemną bitą, przeszedł szkolenie, ćwiczył sztuki walki, a w tym wypadku dodatkowo zadziałała adrenalina, pod której wpływem ludzie są zdolni do niesamowitych rzeczy. Jednakże podświadomie czuł, że to Marta ma rację. Coś było nie tak z jego życiem.

Może wcale nie jest agentem rządowym, a uciekinierem z zakładu psychiatrycznego z urojeniami? Może to wszystko, co go otacza, to ułuda, chora wyobraźnia schizofrenika, a on w tej chwili tak naprawdę leży przypięty pasami do szpitalnego łóżka? Czuł się tak, jakby jego jaźń miała się za chwilę rozpaść na tysiące kawałków, pogrążyć w jakimś mrocznym kolapsie zapomnienia. Tracił grunt pod nogami, nie był pewny własnego jestestwa, własnej osobowości. Wszystko wokół niego zdawało się być odrealnione. Wnętrze samochodu odpływało w niebyt, światło słoneczne pogrążało w dziwnej, lepkiej mgłę, a wszystkie dźwięki przybrały na sile i teraz zniekształcone dochodziły jego uszu.

– Zaraz będziemy na miejscu. – Głos Marty płynął, zdawało się, z drugiego końca galaktyki, ale właśnie on przywołał go do rzeczywistości. Znowu poczuł się pewnie w swoim ciele i w świecie, który przed chwilą chciał mu się wymknąć.

Zamrugał kilka razy powiekami i spojrzął przez przednią szybę. Minęli drogowskaz informujący, że za pięć kilometrów dojadą do Chojnic. Kamiński znał to miasteczko, piękne i klimatyczne, z niewielkim rynkiem oraz pozostałościami po średniowiecznych murach obronnych.

Jednakże do Chojnic nie dojechali. Marta skręciła w prawo, zjeżdżając z asfaltowej szosy, i srebrny nissan znalazł się na piaszczystej drodze. Kobieta prowadziła ostrożnie, z wprawą omijając co większe dziury. W odległości widać było urokliwe jezioro i szereg stojących nad nim domków letniskowych. Andrzej w pierwszej chwili pomyślał, że właśnie tam się kierują, ale na najbliższym skrzyżowaniu pojechali w drugą stronę. Teraz po obu stronach widział jedynie ścianę lasu.

Jechali w milczeniu, klucząc w leśnych ostępach. Marta jednak musiała znać drogę na pamięć, bo dokładnie nie wiedziała, gdzie i kiedy skręcić. Po kwadransie las się trochę przerzedził, a oni dotarli do posiadłości otoczonej wysokim żywopłotem. Droga się skończyła i stanęli przed bramą wjazdową. Marta nacisnęła klakson. Nie musieli długo czekać. Brama automatycznie się rozsunęła i wjechali do środka.

Andrzej ujrzał niezwykle widok. Olbrzymi teren niemal w środku lasu przypominał park. Co kilka metrów stały ławeczki i altanki. Wśród ogrodowych kwietników

biegł strumyk, nad którym gdzieniegdzie wznosiły się drewniane mostki. Strumyk wpadał do stawu o krystalicznie czystej wodzie. Największe jednak wrażenie robił dom, a raczej dwupiętrowy pałacyk z kolumnami i dachem wielospadowym.

Marta zatrzymała samochód na niewielkim parkingu i dalszą drogę wśród kwiatnych alejek przebyli pieszo. Kamiński nie zauważył żadnych psów ani dozorczy. Wydawało się, że posesja pogrążona jest w absolutnym spokoju i ciszy, jakby oderwana od rzeczywistości, należąca do innego świata. Świata przeszłości.

Nagle zupełnie niespodziewanie na niebie pojawiły się czarne chmury. Zerwał się porywisty wiatr i lunęło. Andrzej skrzywił się. Nienawidził deszczu. Na domiar złego niebo rozdarła błyskawica i po chwili nad okolicą przetoczył się potężny grzmot.

Ostatni odcinek drogi przebiegli. Stanęli pod zadaniem przed pięknie zdobionymi drzwiami. Rzeźbiona gorgona z rozpostartymi skrzydłami spoglądała na nich demonicznym, pustym wzrokiem. Towarzyszące jej pomniejsze stwory zdawały się złośliwie uśmiechać i szczerzyć kły.

Marta zastukała kołatką w kształcie lwa, a w chwilę później w otwartych drzwiach stanął wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Jego śniadą twarz o semickich rysach okalała krótko przystrzyżona bródka. Ubrany był w czerwoną powłóczystą szatę, przepasaną fioletowym efodem, a na stopach miał sandały. Przypominał kapłana ze starożytnego Wschodu, którego obrazek Andrzej niegdyś widział w książce. Jednakże Kamiński czuł, że już kiedyś tego człowieka spotkał.

Mężczyzna spojrział na niego oczami, w których dostrzec można było czarną otchłań minionych wieków, starożytną mądrość i dawno zapomnianą magię.

– Czekałem na ciebie.

Siedzieli przy długim, masywnym stole, gospodarz pośrodku, Andrzej i Marta po bokach. Mężczyzna rozlał wino do ozdobnych kielichów, które wydawały się pamiętały czasy egipskich faraonów. Uśmiechnął się i gestem zachęcił do skosztowania.

Kamiński obawiał się pić, podejrzewając, że wino może być zatrute. Z drugiej strony, gdyby chciano go zabić, były na to lepsze sposoby. Z jakiegoś powodu znalazł się tutaj żywy. Gospodarz, widząc jego wahanie, uśmiechnął się i upił ze swojego pucharu spory łyk. Delektując się smakiem, przymknął na chwilę powieki.

– Wyborne – szepnął. – Pochodzi z winnic burgundzkich i pamięta jeszcze czasy wypraw krzyżowych.

Andrzej zdumiony uniósł brew. Słyszał, że gdzieś w podziemiach strasburskiego szpitala przechowywane jest wino z roku 1472 i nie chciało mu się wierzyć, że właśnie częstowany jest trunkiem o wiele starszym. Sięgnął po kielich. Rzeczywiście było wyśmienite.

Dopiero teraz Kamiński rozejrzał się po salonie. Spozstrzegł ozdobny kominek, przed którym leżały skóry tygrysów i lwów. W głębi widniały spiralne schody prowadzące na wyższe piętro, prawdopodobnie do sypialni. Pomieszczenie bardziej przypominało salę muzealną niż mieszkanie wypełnione zabytkowymi artefaktami, z róż-

nych kultur, epok i z najdalszych zakątków świata. W kątach stały rzeźby ludzi, zwierząt, starożytnych bóstw, zdające się mieć tysiące lat. W biblioteczkę ujrzał gliniane tabliczki zapisane starożytnym językiem, zwoje papirusów i grube tomiszczka średniowiecznych ksiąg. Na ścianach wisiały amulety, naszyjniki, które mogły pochodzić z Babilonu. Na regale Andrzej spostrzegł hełm rzymskiego legionisty, obok miecz typu gladius i kawałki tarczy greckiego hoplity. Na półkach stały starożytne naczynia, wazy, amfory, flaszeczki na pachnidła, pojemniki na biżuterię, figurki z brązu i kości słoniowej. Na pewno wśród tego mrowia znalazłyby się rzeczy z kontenera skradzionego z gdyńskiego portu. Kamiński zastanawiał się, czy to repliki, czy prawdziwe przedmioty pochodzące z dalekiej przeszłości? Jeśli rzeźby i przedmioty tu zgromadzone nie były falsyfikatami, musiały kosztować fortunę.

Przepisy międzynarodowe ściśle regulowały obrót dziełami sztuki i współcześnie nie tak łatwo było kolekcjonerom zdobyć antyki. Czasy, kiedy swobodnie przywożono je ze stanowisk archeologicznych, dawno minęły. Dostępne na rynku eksponaty to te, które przywieźli w XIX wieku zapaleni archeolodzy, angielscy podróżnicy lub żołnierze armii napoleońskiej.

Przez głowę Andrzeja przeszła myśl, że gospodarz wcale ich nie kupował, a kolekcjonował przez całe swoje życie. Przypomniała mu się opowieść Ryszarda Formeli o kananejskim kapłanie boga Baala, który był nieśmiertelny. Wędrując po świecie, zabierał ze sobą cały swój dobytek. Czy to możliwe, żeby w tym pomieszczeniu znajdowały się pamiątki z jego długowiecznego ży-

cia? Jeszcze kilka dni temu Kamiński odrzuciłby tę nie-dorzeczną myśl, teraz jednak zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć, co jeszcze mówił trzeci oficer ze statku „Tychy”. Twierdził, że kapłan jest strażnikiem, ale nie wiedział, czego strzegł.

– Widzę, że fascynuje cię moja kolekcja? – rzekł mężczyzna chrapliwym głosem, zdającym się dochodzić z otchłani wieków.

Kamiński spojrzał na niego, wytrzymując spojrzenie czarnych, przenikliwych oczu.

– Zastanawiam się, czy jest pan świrniętym kolekcjonerem, czy niebezpiecznym sekciarzem?

Mężczyzna roześmiał się.

– Mylisz się, ani jednym, ani drugim – odparł. – Nie pragnę nauczać, nawracać ani narzucać komukolwiek własnej religii. Ludzie potrafią sami myśleć i wybierać to, co dla nich najlepsze. Każdy człowiek wytycza swoją ścieżkę i w trakcie tej wędrówki kieruje się własną koncepcją życia, własnymi wartościami. Wymyślając nakazy i zakazy, możemy jedynie wymuszać pewne formy zachowań, ale duszy ludzkiej i serca nie odmienimy.

Zamilkł, wpatrując się w kominek. Teraz słychać było tylko skwierczący ogień na kłodach drewna, trzask iskier i dudnienie deszczu za oknem. Zdawało się, że ulewa z każdą chwilą narasta. Błysnęło i po chwili nad okolicą przetoczył się potężny grzmot.

Andrzej Kamiński się wzdrygnął. Dlaczego tak nie-nawidził deszczu? Zastanawiał się, czy zawsze tak było?

– A pański strój? – spytał, spoglądając wymownie na archaiczny ubiór gospodarza.

– To szata arcykapłana. Czerwień u starożytnych ludów semickich oznaczała ziemię. Jestem jej opiekunem. Czuję jej cierpienie, ból, zadawane rany...

– Ekolog? Greenpeace? Kult Magna Mater? – szydził Andrzej.

– Nie – odparł mężczyzna. – Próbujesz zgadywać, ale na tym poziomie świadomości niczego się nie dowiesz. Miotasz się tylko w swoim ograniczonym jestestwie, w narzuconej formie, i próbujesz zrozumieć.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Niedługo wszystkiego się dowiesz – uśmiechnął się gospodarz, sięgając po kielich z winem. – Wszystko w swoim czasie.

Andrzej założył ręce na piersi i oparł się wygodnie. Spojrzał na Martę. Kobieta siedziała swoim zwyczajem z nogą założoną na nogę, ale sprawiała wrażenie nieobecnej. Oczy miała zmrużone, głowę zwróconą w stronę okna, nasłuchując czegoś w kroplach deszczu. Najwyraźniej na coś czekała.

– Może ty mi łaskawie wyjaśnisz, o co tu chodzi? – spytał zniecierpliwiony. – Po co mnie tutaj przywiozłaś? Czego ode mnie chcecie?!

Marta uśmiechnęła się tylko samymi kącikami ust i nadal milczała. Kamiński przeniósł wzrok na mężczyznę. Ponownie doznał wrażenia, że gdzieś już go widział. Podświadomość nasunęła mu obrazy smaganej wiatrem pustyni, ziaren piasku chłuszczących kamienne mury starożytnych miast, okazałych pałaców, cudownych ogrodów, wznoszących się ku niebu świątyń i potężnych zigguratów.

– Kim jesteś? – wyszeptał Andrzej.

Gospodarz wstał i wolnym, majestatycznym krokiem podszedł do okna. Długą chwilę wpatrywał się w siąpiący nieustannie deszcz. Zdawało się jednak, że jego wzrok sięga dalej, w odległą przeszłość. Dopiero teraz można było spostrzec, jak zmęczoną ma twarz, zapadłe policzki, głębokie bruzdy i smutne czoło.

– Jestem jednym z Pierwszych – rozpoczął wolno, cedząc każde wypowiedziane słowo. – Należę do tych, którzy jako pierwsi pojawili się na ziemi. Moje prawdziwe imię zaginęło w mrokach dziejów. To mnie w starożytnym Sumerze nazywali Utnapisztim.

Andrzej Kamiński zaśmiał się, myśląc, że to żart, zaraz jednak spoważniał, widząc ganiące spojrzenie Marty. Zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie wszystko, co wie o tym legendarnym bohaterze.

Utnapisztim był jednym z niewielu ludzi ocalałych z potopu sprowadzonego przez bogów. Ostrzeżony przez jedno z przychylnych mu bóstw wybudował łódź, na której pomieścił swoją żonę, krewnych, sługi, dobytek oraz zwierzęta i rośliny z każdego gatunku. Po siedmiu dniach zmagania z szalejącym sztormem statek osiadł na górze Nisir. Po upływie następnych siedmiu dni Utnapisztim wypuszczał kolejno gołębia, jaskółkę i kruka, by sprawdzić, jak daleko jest suchy ląd. Zarówno gołąb, jak i jaskółka wróciły po pewnym czasie, jednak wysłany ze statku kruk nie wracał. Oznaczało to, że wody opadły i ptak znalazł miejsce, gdzie mógł osiąść. Przybiwszy do brzegu, Utnapisztim wypuścił wszystkie zwierzęta, zasiał rośliny. Bogowie przerażeni kataklizmem, jaki wywołali, i skutkami, jakie mógł przynieść dla wszystkiego, co na ziemi żyło, pożałowali swojej decyzji. W nagrodę

za ocalenie tak wielu istnień Utnapisztim i jego żona zostali obdarzeni nieśmiertelnością.

Oczywiście to była tylko legenda, ale mężczyzna najwyraźniej uważał się za bohatera z eposów sumeryjskich. Andrzej był teraz w stu procentach przekonany, że ma do czynienia z szaleńcem. Zastanawiał się tylko, jaka jest w tym wszystkim rola Marty? Czy została przez niego zmanipulowana, czy zwariowała? Może ona również uważała siebie za jakąś postać ze starożytnych mitów, może nawet za boginię?

– Chodziłem po świecie, kiedy ludzie byli jeszcze nieokrzesanymi dzikusami – mówił dalej mężczyzna. – Wędrowałem wraz z moimi współplemieńcami, tocząc żywot koczownika, myśliwego, zbieracza. Opiekowałem się nimi. Potem ludzie nauczyli się orać i siał, oswoili dzikie zwierzęta. Pamiętam dzień, w którym postawili kamień na kamieniu, budując pierwsze miasta. Widziałem, jak powstaje Jerycho. Ludzie wznosili okrągłe domy z cegieł suszonych na słońcu, o ścianach pokrytych twardym stiukiem i gładko szlifowanych. W piwnicach zaś znajdowały się grobowce, w których chowali swoich zmarłych.

Po plecach Andrzeja przebiegł zimny dreszcz. Przypomniał sobie sen, w którym wędrował po Ugaricie i wszedł do jednej z takich komór grobowych. Przecież nie ma nic wspólnego ze starożytnymi miastami, nigdy nawet nie był na Bliskim Wschodzie. Jednakże podświadomie czuł, że w jakiś sposób jest powiązany z tymi miejscami, jakby do nich należał.

– Jerycho rozkwitało, stawało się coraz potężniejsze i większe. Stawiano strzeliste świątynie i wysokie, sięgające nieba zigguraty. Na ich szczycie składałem ofiary

bogom i dzięki temu ziemie wokół miasta dawały niebywałe plony. Byłem dla mieszkańców Jerycha przewodnikiem i przyjacielem.

Kiedy to mówił, oczy mężczyzny złagodniały, na ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Odeszli Sumerowie, nadeszli Semici. Kananejczycy byli dobrymi rolnikami i gospodarzami tej ziemi. W okolicy Jerycha powstały liczne miasta, które szczyły się wspaniałymi murami, wieżami, gmachami i świątyniami. Wzniesiono potężne twierdze: Bet Szean, Ta’anach, Gezer, Bet Szemesz, Hasor. Utrzymywali pokojowe stosunki z sąsiadami, dzięki czemu rozwinął się handel i rzemiosło. Ludzie żyli zgodnie z cyklami natury, rytmicznym rodzeniem i zamieraniem przyrody. Wszędzie było widać starannie pielęgnowane sady drzew daktylowych, oliwek, fig i granatów. Na nasłonecznionych stokach powstawały winnice, a w dolinach rosły wszelkiego rodzaju warzywa. Rozkwitła sztuka. Ceniono sobie kunsztowne płaskorzeźby z kości słoniowej, portrety świeckie, naczynia z fajansu z ornamentami figuralnymi, szkatułki, flakoniki, ceramikę. Zwykle kobiety chodziły ubrane niczym księżniczki, przybrane w złotą i srebrną biżuterię. Mężczyźni nosili się jak królowie, i jak królowie byli dumni, szlachetni, waleczni.

Gospodarz zmrużył oczy, spoglądając na krople spływające po szybie.

– Tak wyglądał Kanaan, ziemia, którą umiłował sobie Baal, bóg urodzaju, upraw i deszczu. Służyłem mu jako arcykapłan, służyłem tym wszystkim ludziom, mając ich w swojej opiece. Stawiano świątynie na cześć Baala, kamienne słupy dla jego małżonki Asztarte, posą-

gi z brązu na głównych placach oraz ołtarze pod gołym niebem, na których cały czas dymiły ofiary i wonne kadzidła. Co roku z nastaniem wiosny rolnicy organizowali wspaniałe festyny i radosne procesje na cześć swoich bóstw. Śpiewali wówczas i tańczyli przy dźwiękach piszczałek oraz tamburynów. Misteria odprawiane w świątyniach Baala i Aszarte zapewniały rok w rok obfite plony. Dobrze żyło się w Kanaan.

Mężczyzna zamilkł, a jego twarz nagle stężała.

– Do czasu – wycedził przez zęby, a jego oczy błysnęły gniewem. – Wypędzony przez Baala bóg El upatrzył sobie koczowniczy lud ze wschodu. Zawarł z nimi przymierze, na mocy którego oni dostaną nowe, żyzne ziemie, natomiast on odzyska władzę i posług wśród bogów. El nazwał siebie Jahwe, natomiast swój lud Izraelitami. Z miasta Ur powołał Abrahama, który poprowadził ich do ziemi obiecanej. Rozpoczął się krwawy najazd na Kanaan.

Kamiński znał już tę historię z tabliczek odszyfrowanych przez profesora Bonca-Chojnarskiego. Jednak zaintrygowany słuchał dalej.

– Izraelici kroczyli od zwycięstwa do zwycięstwa, rozbijając kananejskie armie i zdobywając warowne miasta. Dokonywali rzeczy okrutnych. Niszczyli i łupili wszystko, co wpadło im w ręce. Gdy nie mogli sobie poradzić, ich bóg przychodził im z pomocą. Jahwe wysyłał na ziemię swoje sługi, bezwzględnych wykonawców jego woli przez ludzi nazwanych Aniołami Pana. Tak naprawdę są to istoty pozbawione duszy, bezwzględne i okrutne jak ich pan. Nic dziwnego, bowiem zrodzeni zostali z jego jaźni. Używając swoich mocy, przechylali

w bitwach szalę zwycięstwa na rzecz Izraelitów, burzyli twierdze oraz zrównywali z ziemią całe miasta.

Kamiński zauważył, jak mężczyzna ciężko przełyka ślinę, jak drżą mu lekko usta, tak jakby wydarzenia sprzed kilku tysięcy lat nadal były w nim żywe.

– Byłem przy tym, gdy upadło Jerycho. Aniołowie zstąpili na ziemię, wydali z siebie potężny ryk, a wówczas ziemia zatrzęsała się i runęły mury miasta. Nic wówczas nie mogłem poradzić... – Gospodarz zamilkł, a w jego oczach pojawił się głęboki smutek. – Na mocy klątwy cherem Jahwe przeznaczył wszystkie żywe istoty na zabicie ostrzem miecza, domostwa na spalenie, a zrabowane kosztowności na rzecz skarbcza Pańskiego. Wojownicy tego plugawego plemienia wdarli się do miasta i zaczęli straszliwe dzieło niszczenia. Wymordowali wszystkich, nie oszczędzając kobiet, dzieci, a nawet zwierząt. Do dzisiaj słyszę płacz i przekleństwa obrońców, krzyk zabijanych niemowląt, jęki gwałconych kobiet. W końcu puścili z dymem domy i świątynie, obracając miasto w kupę popiołów. Zrabowane złoto i srebro przeznaczyli na budowę świątyni dla swego okrutnego boga. Dwaj aniołowie ruszyli jeszcze dalej, samotnie siejąc strach. Ogarnęło ich szaleństwo. Jahwe, zadowolony z odzyskanej potęgi i władzy, pozwolił swoim pachołkom na szerzenie dzieła niszczenia.

– Izraelici podbili całą kananejską ziemię – po raz pierwszy głos zabrała Marta, cedząc wściekle słowa. Zdało się, że zaraz z jej żrenic strzelą pioruny. – W swoim pochodzie zdobyli miasta: Haj, Betel, Bet Hotun, Hebron, Debir i wiele innych. W każdym z nich dochodziło do takich samych rzezi. Obalano świątynie nie tylko Baala,

ale również Asztarte. A cóż im ona uczyniła? Była boginią płodności, dla której wzniecano ogniska, pieczono placki z wytłoczonym jej wizerunkiem.

– Ty też jesteś jedną z Pierwszych? – Andrzej skrzywił usta, próbując nadać pytaniu ironiczny wydźwięk, ale zabrzmiało to mizernie. Powoli zaczęło do niego docierać, że ma do czynienia albo z zupełnymi szaleńcami, albo świat nie jest takim, jaki mu się wydawał.

Kobieta skinęła głową. Na jej ustach nie pojawił się uśmiech, który mógłby rozwiać obawy.

– Jestem żoną Utnapisztima – odparła. – I zarazem najwyższą kapłanką Asztarte.

– Uprawiałaś sakralną prostytutkę? – Andrzej zdziwił się swoim pytaniem. To, co tu usłyszał, uważał za niedorzeczność, ale jednocześnie poczuł ukłucie zazdrości. Wiedział, że kapłanki Asztarte oddawały się wiernym wyznawcom za dary na rzecz świątyni.

Marta prychnęła gniewnie.

– Praktyki seksualne są manifestacją uczuć, a zmysłowość czymś naturalnym w ludzkim życiu. W miłości nie ma nic zdrożnego. To dawanie siebie i branie, cieszenie się rozkoszą, emocjami, bliskością. Wyznawcy Jahwe uznali te praktyki za wyuzdane, złe i ohydne. A że Jahwe ponownie zdobył władzę nad światem i do teraz ją sprawuje, stosunek do miłości cielesnej obecnie jest taki, jaki jest. Ludzie kierują się wstydem, hipokryzją, wykoślawionymi żądzami, które nie mogą normalnie rozkwitać...

– Wróćmy do tematu – przerwał jej rozżłoszczony Andrzej. – Przyjmijmy, że mówicie prawdę i jesteście nieśmiertelni. Jaka jest teraz wasza rola? Czemu tutaj jesteście?

– Tysiące lat temu stawiliśmy czoło Aniołom Pana i przegraliśmy – rzekł smutno człowiek podający się za Utnapisztima. – Imiona Baala i Asztarte zaginęły w mrokach dziejów lub zostały oczernione. Ale my pozostaliśmy na straży, żeby pewnego dnia przywrócić ich świętość, ale także żeby bronić ludzkość przed wolą Jahwe. Co jakiś czas w przypływie gniewu rozkazuje swoim aniołom dokonać dzieła zniszczenia. W przeciągu tysięcy lat nieraz stawialiśmy przeciw nim. Czasami udawało nam się ich pokonać, zapobiegając tym samym kataklizmom, wojnom i zarazom dziesiątkującym ludzkość. Wiele razy jednak przegraliśmy. W starożytności sprzymierzyli się z Rzymem, doprowadzając do upadku Kartaginy, spowodowali wybuch Wezuwiusza, w średniowieczu wywołali czarną śmierć, a w ubiegłym wieku wojnę światową. Jednakże i my mieliśmy swoje sukcesy. Wspomagaliśmy Aleksandra Wielkiego w walce z Persami, którzy dzięki pomocy aniołów o mały włos nie dokonali rzezi w Europie. Powstrzymaliśmy uzurpatora Nigra, chcącego obalić Sewera i uczynić w Rzymie piekło. Teraz Aniołowie Śmierci zjawili się ponownie, żeby mocą daną przez Jahwe dokonać niewyobrażalnych zniszczeń. To w tym miejscu nastąpi kolejne starcie, które zadecyduje o losach milionów ludzkich istnień. Ale ty przecież o tym dobrze wiesz...

Mężczyzna uniósł głowę, jego nozdrza poruszyły się gwałtownie jak, zwierzęcia, które wyczuło niebezpieczeństwo. Odwrócił się w stronę Andrzeja i spojrział na niego nieprzeniknionym wzrokiem.

– Przybył twój towarzysz – rzekł zmienionym, nie-ludzkim głosem.

Drzwi wejściowe z głośnym hukiem wyleciały z framugi. Silny powiew wiatru wtargnął do salonu, wywracając posągi i meble. Roztrzaskał szyby w szklanych gablotach, porywając z półek książki oraz zwoje. Kamiński mocniej chwycił się krzesła i spojrział w stronę wejścia.

W zdruzgotanych drzwiach stała postać spowita w czerń. Błyskawica rozświetliła mokrą od deszczu i chorobliwie bladą twarz przybysza. Malował się na niej grymas nienawiści, wściekłości, szaleństwa. W postawie przybysza było coś zwierzęcego i pomimo ludzkich kształtów, trudno było w nim doszukać się człowieczeństwa. Istota warknęła, unosząc trupie usta i ukazując przy tym kły. To był on! Morderca, którego Andrzej spotkał na dachu kamienicy. Kamiński poczuł, jak ogarnia go paraliżujący strach, ale również jakieś trudne do określenia uczucie ulgi i radości.

Grzmoty przybrały na sile.

Andrzej spojrział w czarne, pozbawione białek oczy przybysza i nagle zakręciło mu się w głowie. Poczuł, jak zapada się w sobie, coś działo się z jego świadomością, otwierały się jakieś obszary wcześniej niedostępne. Nagle zaczął więcej rozumieć i dostrzegać. Potrafił już wyjaśnić sny, które dręczyły go od przyjazdu do Trójmiasta. Ich treść była tak oczywista, że dziwił się, że wcześniej tego nie skojarzył.

W jednym z nich wraz z dwoma swoimi towarzyszami przybył do obozu koczowników, gdzie starszy mężczyzna podjął ich ucztą. W pewnej chwili wywiązała się rozmowa, z której śmiała się żona gospodarza. Dopiero

teraz Andrzej skojarzył, że scena jak żywo przypominała tę biblijną, gdy Jahwe z dwoma aniołami odwiedził obóz Abrahama i przepowiedział, że żona patriarchy Sara jest brzemienna. Stara kobieta mu nie uwierzyła i wybuchła śmiechem.

W następnym śnie Andrzej i jego towarzysz trafili do miasta, gdzie pewien uczynny człowiek zaprosił ich na nocleg. Kolejna scena biblijna. Miastem tym była Sodomą, a gospodarzem Lot. W nocy przyszli okoliczni mieszkańcy, domagający się wydania gości. Lot nie chciał tego uczynić, zaofiarował się nawet, że odda na pohańbienie swoje córki, byle tylko nie uchybić zasadzie gościnności. Jednak to nie poskutkowało i Andrzej oraz jego towarzysz musieli użyć dziwnej mocy, żeby osłabić napastników i ich przegnać. Lot, w podziękowaniu za gościnność, usłyszał prawdę o tym, co czeka miasto, i mógł wyprowadzić z niego swoją rodzinę. Wówczas Andrzej ze swoim towarzyszem spuścili na Sodomę i Gomoreń słupek siarki i ognia.

To nie były sny, lecz wspomnienia!

Powoli świadomość Kamińskiego ustępowała jego prawdziwej jaźni. Teraz rozumiał wypowiedane we śnie słowo *Akar*. To on był sprawcą nieszczęścia tych wszystkich ludzi, doprowadził ich do śmierci, a ich miasta do zagłady.

TO ON BYŁ ANIOŁEM ŚMIERCI!

Nagle pojał, co zaszło.

Jahwe zdecydował się ukarać ludzkość za jej wszelkie przewiny, grzechy, za butę i brak pokory. W tym celu wysłał na ziemię dwóch swoich aniołów, którzy od tysiącleci byli zwiastunami śmierci, karzącym ostrzem i narzę-

dziem zagłady. Mieli za zadanie zrównać z ziemią kilka miast, zabrać setki tysięcy istnień i wzbudzić w ludzkich sercach strach. Może wówczas, porażeni grozą, zaczyną ponownie wznosić modły, składać ofiary, korzyć się i błagać, jak niegdyś to bywało, bo człowiek stworzony został, aby wielbić boga.

Jednakże po raz kolejny jego plany chcieli pokrzyżować Baal i Asztarte, którzy nie wiadomo czemu otaczali opieką te nędzne istoty. Ich kapłani otrzymali rozkaz przeszkodzenia aniołom w dokonaniu zagłady. Miała się rozpocząć kolejna wojna o ludzkie dusze.

Jahwe wiedział, że gdy tylko jego słudzy zstąpią na ziemię, zaraz przeciw nim wystąpią kapłani Baala i Asztarte. Niepewny wyniku konfrontacji postanowił użyć podstęp. Jednemu z aniołów odebrał świadomość, pozbawił pamięci i przybrał w ciało śmiertelnika. Pod postacią człowieka, pozbawiony swojej mocy, ale również nie wykrywalny dla wrogów, miał ich wysledzić. Drugi z aniołów podążał cały czas jego śladem, krok w krok, i obserwował. Kiedy trzeba było, zabijał, aby tajemnica się nie wydała, i chronił swojego towarzysza. Czekał, aż ten doprowadzi do kryjówki ścierw Baala i Asztarte.

Andrzej Kamiński resztkami ludzkiej świadomości uświadomił sobie, że jako człowiek nigdy się nie narodził. Pojawił się nagle przed kilkoma dniami na gdańskiej starówce. Pod postacią oficera ABW prowadził śledztwo mające go doprowadzić do dwojga kapłanów. Teraz rozumiał, dlaczego nikt nie wiedział o jego śledztwie, nikt z ABW go nie wspomagał, dlaczego wokół niego umierali ludzie i dlaczego nie zginął na dachu kamienicy.

Misja została spełniona. Odkrył kryjówkę wroga i sprowadził swojego towarzysza. Teraz wspólnymi siłami zniszczą kapłanów, a potem bez przeszkód zrównają z ziemią wyznaczone przez boga miasta. Mógł wreszcie przybrać swoją prawdziwą postać.

Jego twarz zbladła, wydłużyła się, przybierając okrutny, nieludzki wygląd. Z dziąseł wysunęły się kły, palce zamieniły w szpony, kości układały się w zupełnie inne kształty. Rosnące mięśnie rozerwały ubranie, wyostrzyły się zmysły. Do jego uszu dochodziły lekkie skrzypnięcia gałęzi drzew na zewnątrz, słyszał wiewiórkę obgryzającą orzechy w swojej dziupli, zająca kicającego po polu, a krople deszczu uderzające o szyby grzmiały niczym wystrzały z armaty. Teraz zrozumiał, dlaczego nienawidzi deszczu. Był on symbolem jego odwiecznego wroga – Baala.

Nagle w nozdrza uderzyły go zapachy, setki, tysiące, miliony. Całe powietrze było nimi wypełnione, przedmioty, emocje, uczucia. Oczy zaczęły dostrzegać coraz więcej, feerie niezwykłych barw, dziwne kształty na pograniczu jawy i snu oraz rzeczy ukryte przed wzrokiem zwykłego śmiertelnika. Otaczający go świat, który wydawał się być zamkniętą, trójwymiarową przestrzenią, okazał się nieskończonym tworem, gdzie materia była zaledwie pyłkiem, drobną cząstką w nieograniczoności.

Cherem to nie tylko klątwa, ale również osoba przeznaczona przez Jahwe na zagładę. Dokonało się. Andrzej Kamiński przestał istnieć, jego człowiecza jaźń zniknęła raz na zawsze, dopełniając aktu poświęcenia. Wykonał już swoje zadanie. Ostatnią ludzką myślą anioła był żal

za utraconą duszą, za prawem wyboru, za wolną wolą. To nie zostało dane tym potężnym istotom, które były jedynie wykonawcami bożych rozkazów. Za to duszą obdarzeni zostali ludzie, będący kruchymi, słabymi istotami. Nie podobało się to aniołom i tym zajadlej ich nienawidzili.

Z gardła istoty wydarł się wściekły, ogłuszający krzyk, który wstrząsnął posadami budynku. Ziemia zatrzęsała się, burza przybrała na sile i teraz pioruny uderzały raz za razem. Zdawało się, że gdzieś tam w górze, pomiędzy chmurami, bój już się rozpoczął.

Aniołowie Pana runęli na swoich wrogów.

Człowiek zwany przez Sumerów Utnapisztim również uległ przemianie. Otoczyła go złota poświata, niewyobrażalna jasność, która zwykłemu śmiertelnikowi wypaliłaby oczy. Ciało mężczyzny wyprężyło się, a on sam urósł i teraz zdawał się mierzyć ponad dwa metry. Na jego głowie zmaterializował się wysoki hełm z rogami, taki, w jakim przedstawiany był sam Baal. Wyglądało to tak, jakby kananejski bóg zstąpił na ziemię, wcielając się w postać kapłana. W jego dłoni pojawiła się długa dzida, którą uniósł i wycelował w dwójkę zbliżających się aniołów.

Biegli ku niemu niczym dzikie zwierzęta, nisko pochyleni, długimi susami. Widać było ich szeroko rozwarłe szczęki, lśniące kły, gotowe szarpać i gryźć. Błysnęły pazury i pewne było, że za ułamek sekundy dopadną sługę Baala.

Z trzymanej przez kapłana włóczni wystrzelił nagłe błękitny piorun, trafiając prosto w pierś tego, który jeszcze niedawno był Andrzejem Kamińskim. Odrzuciło go kilka metrów, uderzył plecami o ścianę, a następnie osunął się na podłogę. Utnapisztim wystrzelił ponownie, ale drugi anioł wyskoczył w górę, aż pod sufit, a opadając, wypuścił z rąk strumień ognia. Jednakże kapłan Baala był na to przygotowany, uskoczył w bok, a w miejscu, gdzie przed chwilą stał, widniała olbrzymia, dymiąca dziura.

Teraz obaj przeciwnicy starli się ze sobą w potężnym uścisku. Sługa Jahwe gryzł zębami niczym dzikie zwierzę, szarpał ostrymi jak brzytwa pazurami, próbując rozerwać gardło wroga. Utnapisztim uderzał pięściami, a każdy cios zadawany był z siłą huraganu. Lecz nie tylko siła fizyczna tu się liczyła, ale również starożytna, dawno zapomniana magia. Wokół walczących płonęło powietrze, leciały iskry, szalała wichura i raz po raz uderzały błyskawice. Bryzgała czarna i szkarłatna krew.

Nagle obaj unieśli się w powietrze i teraz toczyli żarty bój trzy metry nad podłogą. Kapłan Baala zaczął zdobywać nieznaczną przewagę. Wyprowadzał ciosy częściej niż przeciwnik, jego aura zdominowała aurę anioła. Ten resztkami sił wyrwał się ze stalowego uścisku wroga, złapał oddech i ryknął na całe gardło. Świat zatrząsł się w posadach od niszczyielskiej mocy JWHW. Zdawało się, że dźwięk boskiego imienia zaraz rozerwie rzeczywistość, pozostawiając z niej jedynie strzępy. Jednakże nic takiego się nie stało. Utnapisztim w pierwszej chwili odchylił się do tyłu, jakby trafiony potężnym ciosem, a na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia, ale za

chwile wyprostował się, rozwarł szeroko ręce i emanował z siebie jaśniejącą poświatę. Krzyk anioła zamarł, jakby niewidzialny miecz przeciął mu gardło. Przeciwnicy ponownie starli się w mocarnym uścisku, teraz jednak przewaga kapłana Baala była wyraźna.

Sługa Jahwe błagalnie zerknął na swojego towarzysza niemrawo zbierającego się z podłogi. Ten oszołomiony zatoczył się w tył, zaraz jednak potrząsnął głową i rozejrzał się po pomieszczeniu. Od razu spostrzegł walczących i to, że szala zwycięstwa przechyla się na stronę sługi Baala. Zebrał wszystkie siły i moce, ryknął wściekle, ruszając na pomoc kompanowi. Nagle stanął jak wryty.

Drogę zagrodziła mu Marta, a raczej kobieta, która się za nią podawała. Teraz była inna, jeszcze doskonalsza, jeszcze piękniejsza, emanująca niezwykłym blaskiem. Jej oczy lśniły boskim światłem, włosy o wiele dłuższe niż przedtem falowały złościście, zdając się wypełniać całe pomieszczenie. Bogini zmanifestowała się w swojej kapłance. Uosobienie piękna i nierzędu.

– Asztarot! – Anioł syknął wściekle, nazywając ją biblijnym imieniem. Chciał wyciągnąć ku niej szponiastą dłoń i wyrwać serce, ale nagle z przerażeniem stwierdził, że nie może się poruszyć. Jakieś niewidzialne więzy krępowały jego ciało i wolę. Stał osłupiały, nie mogąc pojąć, co zaszło. Szarpnął się raz jeszcze. Nic. Tymczasem kapłanka Aszarte postąpiła krok ku niemu, na jej cudownie pięknych ustach pojawił się drwiący uśmiech, a w oczach błysk zwycięstwa. Teraz wszystko zrozumiał.

To on wpadł w pułapkę. Utnapisztim domyślił się, że aniołowie użyją podstępu, żeby go zniszczyć. We dwójkę bez problemu by sobie z nim poradzili. Wysłał więc swo-

ją żonę, żeby pierwsza odszukała tego, który podawał się za człowieka, i usidliła go. Wykorzystała seks oraz moce swojej bogini, zahipnotyzowała go, uzależniła od siebie i omotała umysł. Nawet teraz, przybierając na powrót postać anielską, nie był wolny od jej wpływu. Stał się bezbronny i zdany na jej łaskę. Warknął wściekle wyrażając tym samym całą pogardę, jaką do niej czuł, i nienawiść, która paliła go żywym ogniem. Tylko na tyle było go stać.

Kapłanka Asztarte delikatnie, prawie z czułością objęła dłońmi jego głowę. Następnie gwałtownym ruchem skrzyła mu kark. Runął na ziemię. Gasnącymi oczami ujrzał, jak jego towarzysz pada pod ciosami Utnapisztima i tylko chwile dzieliły go od zagłady. Nic na to nie mógł poradzić. Ostatnim uczuciem w jego anielskiej jaźni była złość. Tym razem przegrali.

Umarł, aby powrócić w innym czasie i miejscu.

Anioły rozpadły się w pył. Utnapisztim przez chwilę spoglądał na miejsca, w których to się dokonało, jakby w obawie, że zaraz zmartwychwstaną niczym feniks z popiołów. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Dobrze wiedział, że upłynie co najmniej stulecie, zanim odzyskają swoją moc. Jahwe był potężny, ale nawet on nie potrafił tak prędko tchnąć nowego życia w swoje sługi.

Kapłan Baala powrócił do ludzkiej postaci. Zniknęła otaczająca go aura i boskie atrybuty. Na powrót był człowiekiem. Na jego twarzy malowało się zmęczenie, pojawiło się kilka nowych bruzd, na czoło wystąpiły krople potu, ale w oczach dostrzec można było radosny błysk.

Kobieta podeszła do niego, teraz już pozbawiona boskiej postaci, przytuliła się mocno. Oboje odczuli ulgę. Dzisiaj udało im się uratować miliony ludzkich istnień. Teraz wreszcie można było odpocząć, ale nie za długo. Słudzy Jahwe powrócą, silniejsi i mocniejsi niż kiedykolwiek. A oni muszą być gotowi.

Utnapisztim wyjrzał przez okno. Wiatr powoli przeganiał ciemne chmury, lecz pojedyncze krople deszczu jeszcze dzwoniły o parapet. Słońce nieśmiało próbowało przebić się przez gęste obłoki, jakby bało się tego, co może zastać na ziemi. Na niebie pojawiła się tęcza, mieniąc się pełną paletą kolorów.

W górze rozpoczęła się gra, zabawa dwóch córek Baala. Padrija, bogini światła, goniła Taliję – boginię deszczu, pragnąc ją pochłonąć, a potem zesłać w dół jako słoneczną poświatę. Potem sama będzie uciekać, żeby nie dać się złapać deszczowej Taliji w tym odwiecznym tańcu natury. Cykl musiał trwać.



EPILOG

MAJ 2146 ROK N.E.

Ciężkie, burzowe chmury złowrogo zawisły na niebie, rzucając mroczny cień na miasto. Powietrze stało się duszne, w oddali słychać było grzmoty, od czasu do czasu błyskawice rozdzierały nieboskłon i pewne było, że lada chwila rozpęta się nawałnica. Pierwsze krople deszczu już zaczęły uderzać o szklane dachy strzelistych wieżowców.

Pomimo wczesnego poranka miasto nie spało. Można było powiedzieć, że miasto nigdy nie spało. Rozciągająca się na kilku tysiącach kilometrów kwadratowych metropolia o każdej porze dnia i nocy tętniła życiem. Trójwymiarowe neony reklamowe lewitowały w przestrzeni pomiędzy budynkami postawionymi niemal jeden przy drugim, uwodząc krzykliwymi obrazami i wpadającymi w ucho sloganami. Reklamowały produkty, sklepy, kluby, wydarzenia.

Wirtualna dziewczyna, której co sekundę zmieniał się kolor włosów, wyginała kusząco ciało wciśnięte w lateksowy strój i zachęcała do odwiedzenia targów ero-

tycznych, gdzie, jak zapewniała, dostępny będzie seks w dowolnych preferencjach. Nieco wyżej dwie świetliste sylwetki pięściarzy ścierały się ze sobą, reklamując walkę stulecia, która odbędzie się na śmierć i życie. Obok widać było billboard, na którym uśmiechnięty kucharz reklamował swoją restaurację, gdzie oprócz wykwintnych posiłków można było również dostać dania zawierające narkotyki. Zapewniał, że wrażenia smakowe oraz psychodeliczne są gwarantowane.

O tej porze miliardy ludzi podążało do pracy. W powietrzu na różnych wysokościach śmigwały autonomiczne pojazdy. Ciągnęły się w niewyobrażalnych korkach, klucząc pomiędzy strzelistymi wieżowcami. Z lotu ptaka przypominały mrówki wędrujące po olbrzymim mrowisku. Od czasu do czasu rozlegał się potężny huk silników policyjnych patrolowców, które zdążyły na interwencję. W tak wielkiej aglomeracji wiecznie dochodziło do przestępstw.

Trudno było o skrawek wolnej przestrzeni. Wszędzie dryfowały podniebne restauracje, sklepy, platformy wypoczynkowe z luksusowym wyposażeniem i baseny pod szklanymi kopułami. Na wysuniętych tarasach gmachów lądowały transportowce, ze zgrzytem otwierały swoje grodzie i roboty wyładowywały towary, zawożąc je na elektrycznych wózkach do środka budynków. Zdawało się, że miasto wypełnione jest jednym wielkim jazgotem.

Pośrodku wznosiła się wysoka budowla ze stali i szkła. Niczym wieża Babel górowała nad innymi budynkami, a jej szczyt znikał w chmurach, zdając się dobiegać nieba. Stała się symbolem, dowodem na to, że nic

dla ludzi nie jest niemożliwe, cokolwiek zamierzają uczynić. Urzekła swoim majestatem, pięknem, ciesząc oczy mieszkańców miasta, napawając dumą i pychą jej budowniczych. Wyzwanie rzucone Bogu.

Na najwyższym z tarasów stał ciemnowłosy mężczyzna, otulony w archaiczną czerwoną szatę. Z założonymi na piersi rękoma obserwował miasto. W brązowych oczach mężczyzny dostrzec można było smutek, żal, rozgoryczenie. Rozmyślał o mieszkańcach tej wielkiej metropolii, zepsutych i zdeprawowanych. Zapomnieli o odwiecznych prawach, obyczajach, moralności i wszystkim tym, co czyni człowieka człowiekiem. Zorganizowani w korporacjach handlowych, które zastąpiły państwa, nastawieni byli tylko na zysk, nie zważając na ludzką godność. Stworzyli społeczeństwo konsumpcyjne, w którym pogoń za luksusem zabiła współczucie, miłość, przyjaźń. Mieszkali zamknięci w swoich apartamentach, przebywając wiecznie w wysokich wieżowcach, nie wiedzieli, czym tak naprawdę jest zapach ziemi. Niewielu z nich kiedykolwiek dotknęło jej stopami.

Mężczyzna wiedział, że ludzkość coraz bardziej się degeneruje, bolało go to i czuł wzbierający w nim gniew. Jednakże był jej opiekunem, miał obowiązek bronić jej przed wszelkim złem. Westchnął ciężko i przeniósł wzrok na ciemne chmury kłębiące się na niebie. Teraz tym ludziom groziło niebezpieczeństwo, o jakim im się nawet nie śniło. Kara za pychę i grzechy zesłana przez okrutnego boga – Jahwe, który nie miał dla nich litości. Z otchłani przeszłości po raz kolejny nadciągała groza.

Utnapisztim zmarszczył czoło, wyobrażając sobie, jak na miasto spada deszcz siarki i ognia, po którym zostaną

tylko zgłiszcza i zwęglone ludzkie ciała. Jak przed czterema tysiącami lat w Sodomie i Gomorze. Mężczyzna potrząsnął głową, próbując odegnać od siebie ponure myśli. Tym razem do tego nie dopuści, taki mord więcej się nie zdarzy. Przymknął powieki, kierując twarz ku wschodniemu horyzontowi.

Czekał.

Za jego plecami pojawiła się kobieta. Jasnowłosa piękność ubrana była w powłóczystą szkarłatną suknię dodającą jej majestatu. Na nadgarstkach brzęczały cicho złote bransolety, między wyeksponowanymi pierściami zwisał okazały naszyjnik, a na palcach dostrzec można było pierścienie z rubinami. Zbliżyła się do mężczyzny powoli, zmysłowo i położyła dłoń na jego ramieniu. Czarnymi, nieprzeniknionymi oczami spojrzała na wschód, wiedząc, że stamtąd nadejdzie niebezpieczeństwo.

Utnapisztim wciągnął w nozdrza powietrze, otworzył oczy i rzekł:

– Oni nadchodzą!

*(...) a posłańcy walczyć z sobą będą,
aż czas i przestrzeń dobiegną końca.*

KONIEC



KSIĄŻKI DARIUSZA DOMAGALSKIEGO
WYDANE NAKŁADEM NASZEGO WYDAWNICTWA

1. Delikatne uderzenie pioruna
2. Aksamitny dotyk nocy
3. Gniewny pomruk burzy
4. I niechaj cisza wzniesi wojnę
5. **Cherem**

COPYRIGHT © BY Dariusz Domagalski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2011

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-648-8

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI Paweł Zaręba

GRAFIKA NA OKŁADCE © 108pictures | Dreamstime.com
© David Pedre | istockphoto.com

REDAKCJA Rafał Dębski

KOREKTA Magdalena Grela-Tokarczyk

SKŁAD Dariusz Haponiuk

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

 **fabryka**  ponad normę .pl amazonka.pl gandalf.com.pl

ZAMÓWIENIA HURTOWE



Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

WYDAWCA



Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel. 81 524 08 88, faks 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

DRUK I OPRAWA OPOLGRAF S.A. www.opolgraf.com.pl

fabryka
ponad norme



filmy
książki
muzyka
gry

Sprawniej, taniej, więcej!

Dbamy o ludzi pracy! Doradzimy w wyborze i wyślemy w 24h!

Ponad 600 tys. produktów na składzie!

Sprawdź na www.fabryka.pl

Wywróćcie ołtarze, połamiecie ich stele,
aszery ich ogniem spalicie,
porąbiecie w kawałki posągi ich bogów.
Zniweczycie ich imię na tym miejscu.

KSIEGA POWTÓRZONEGO PRAWA R.12 W.3

D·A·R·I·U·S·Z

DOMAGALSKI

CHEREM

Oto nadchodzą Aniołowie Pana!
Zwiastun Śmierci i Zwiastun Zniszczenia!
Bez miłosierdzia unicestwili Sodomę
i Gomorę, zgładzili Pompeje, siali zarazy
w Europie. Oni patrzyli, jak płonęło Chicago
i jak wieże WTC waliły się w gruzy.
Teraz znów tu są!

STRZEŻCIE SIĘ ANIOŁÓW ZAGŁADY, GDY KROCZA, BY WYWRZEĆ SWĄ POMSTĘ
NA KANANEJSKICH SŁUGACH BAALA.

Prawdziwi Bogowie, Stary Testament, Agencja
Bezpieczeństwa Wewnętrznego, mafia, sekty
i oddziały antyterrorystyczne.
Myślisz, że to mieszanka nie do połączenia?
Nie tutaj!

45 LAT TEMU ZNIESIONO INDEKS KSIĄG ZAKAZANYCH
GDYBY TAK SIĘ NIE STAŁO, „CHEREM” JUŻ BY TAM BYŁ WPISANY!

fabrykaslow.com.pl

Wydawnictwo
dyskrybutor



Patroni medialni:



Wiadomości24.pl



students.pl